

ERIC-EMMANUEL
SCHMITT

ZEMSTA
I PRZEBACZENIE

Eric-Emmanuel Schmitt

Zemsta
i przebaczenie

tłumaczenie
Łukasz Müller

znak *litera
nova*

KRAKÓW 2018

Siostry Barbarin

Gdybyśmy sobie wyobrazili raj na ziemi pod postacią wioski, byłoby to Saint-Sorlin.

Długie brukowane ulice zbiegały po łagodnym stoku aż do rzeki, a każda fasada wyglądała jak ogród. Podczas gdy glicynie zwieszały kaskadowo swe fioletoworóżowe lampiony, bodziszki płonęły w oknach, winorośl rozjaśniała partery, naparstnice rozlewały się za ławkami, a źdźbła konwalii kielkowały pomiędzy kamieni, kompensując swój niewielki wzrost silnym zapachem.

Na każdym, kto przemierzał Saint-Sorlin-en-Bugey, wieś sprawiała wrażenie, jakby panowała tam tylko jedna pora roku i cały czas był maj. Obfitość kwiatów, żywotnych, bujnych, zuchwałych, sprowadzała domy do roli podpórek. Pod błękitnym, ufnym niebem ściany opanowywało sprzysiężenie róż: róż różowych, grubiotkich, rozkwitłych, bardziej dojrzałych niż dojrzałe owoce, rozedrganych, szczęśliwych, wystawiających na pokaz mięsiste płatki, które domagały się pieszczot lub pocałunków, róż czarnych, wstydlivych, okrywających się purpurą, róż czerwonych, szczupłych i wysmukłych, róż żółtych, wydzielających przyjemną woń doskonałego pieprzu, róż pomarańczowych, niemych, bo pozbawionych zapachu, róż białych, spłoszonych, efemerycznych, zbyt szybko rozczarowanych, już zardzewiałych. Tu i ówdzie, niczym dzikusy przybyłe, by obozować w mieście, wiotkie krzewy dzikiej róży o ziarnistym listowiu prezentowały czerwieniące się pączki, z których mieszkańcy wioski wyrabiali konfitury. Granicząc z brzegiem zbiornika do prania bielizny, gęste różowawe hortensje obdarzały okolicę burżuazyjną czcigodnością. W Saint-Sorlin, od kościoła Świętej Marii Magdaleny po brzegi Rodanu, roślinność zachowywała się ekstrawagancko.

Przez Place de la Halle szła Lily Barbarin, wiekowa dama, której urok harmonizował z zadbanymi uliczkami. Uśmiechnięta, wątpła kobieta o delikatnej cerze, drobnym nosie i jasnych oczach była ucieleśnieniem dobroci. Jeśli Saint-Sorlin przypominało raj, Lily z całą pewnością uosabiała idealną babcię! Była życzliwa, troszczyła się o współobywateli, starała się im pomagać, i wydawało się, że uczyniła ze starości uprzejmą skromność połączoną z altruizmem. A jednak życie musiało ją skłonić do nienawiści, wywołać u niej żal. Czyż nie dręczono jej przez dziesięciolecia? Czyż nie była pogardzana, poniewierana, zdradzana, przeklinana? A przede wszystkim, czyż nie miała się nazajutrz stawić w sądzie w związku z morderstwem?

Tak samo jak miasteczko o idyllicznym wyglądzie miało swój udział w niechęci, zazdrości, zbrodniach, tak wiekowa dama kryjąca się za gładką, świeżą maską otarła się o piekło. Czy przekroczyła jego bramy? Czy zrobiła coś niewybaczalnego?

Jej oskarżyciel, Fabien Gerbier, obserwował ją ze swego warsztatu szewskiego. Ten wysoki, zwalisty mężczyzna marszczył brwi i patrzył na wszystko krzywym okiem, waląc młotkiem w podeszwy z gwałtownością wymierzoną w Lily Barbarin. Nie zważając na wiek owej damy, jej wątpliść ani na domniemanie niewinności, uważał za niedopuszczalne, że cieszy się ona wolnością i wzbudza wyrozumiałość bliźnich. To właśnie on wysunął podejrzenia, on zmobilizował żandarmów, zdopingował policjantów, zapoczątkował procedurę sądową, to on odpowiadał za elektroniczną bransoletkę zacisniętą wokół jej kostki, bo liberalne władze nie chciały aresztować kobiety przed rozprawą.

Jutro Fabien Gerbier uda się na proces do Bourg—en-Bresse. Jutro weźmie udział w pokazie sprawiedliwości w akcji. Jutro w końcu będzie wiadomo.

Od tygodni mieszkańcy Saint-Sorlin z upodobaniem opowiadali przy stole, obcym ludziom, albo przyjezdnym znajomym, historię Lily Barbarin. A raczej historię sióstr Barbarin, bo chociaż żyła już tylko jedna z nich, nie sposób było mówić o jednej, nie wspominając o drugiej.

*

– Nie do wiary!

Siostry Barbarin przyszły na świat tego samego dnia. O ile pierwsza wzbudziła podziw, o tyle druga wywołała zdumienie, wyłaniając się spomiędzy wycieńczonych ud matki pół godziny później. Nikt tego nie przewidział. W czasach, gdy lekarze rzadko obmacywali boki swoich pacjentek, dopiero poród ujawniał płeć i liczbę dzieci.

– Dwie, pani Barbarin! Oto co nam pani szykowała w tajemnicy: dwie wspaniałe córki!

Położna nie posiadała się z radości.

Siostry Barbarin, w najwyższym stopniu do siebie podobne, wręcz jednakowe, począwszy od lazurowych oczu, a skończywszy na zmarszczkach na palcach stóp, przepełniały rodziców dumą. Zmajstrować dziecko to już był nadzwyczajny wyczyn, a co dopiero dwoje zupełnie identycznych, toż to graniczyło z cudem!

– Ale ślicznotki!

Zachwyceni dorośli obecni przy porodzie wcale się nie rozwodzili nad gwałtownością, z jaką ta druga wtargnęła na świat, czy nad żalosnym piskiem oburzenia, który z siebie wydała, jakby miała ludziom za złe, że ani na nią nie czekali, ani się jej nie spodziewali.

– Jak je nazwiecie?

Starszej o trzydzieści minut córce państwo Barbarin bez wahania dali na imię Lily, tak jak planowali. W przypadku młodszej, nieoczekiwanej, byli przez chwilę w rozterce. Koniec końców zaproponowali Moïsette, bo gdyby urodził im się chłopiec, nazwaliby go Moïse.

Lily i Moïsette... Ci, których zdziwił brak harmonii między tymi wyrazami, bo pierwszy brzmiał uroczo, a drugi dziwnie, mieli rację, że się niepokoiili. Imię nadane z braku lepszego pomysłu niewątpliwie źle wróżyło na przyszłość...

Przez cztery lata Lily i Moïsette żyły szczęśliwie. Rodzina Barbarin cieszyła się z ich uderzającego podobieństwa i dla zabawy je podkreślała: dziewczynki nigdy nie rozdzielano, ubierano je podobnie i mówiono o nich „bliźniaczki”.

Lily i Moïsette, zanim nauczyły się mówić językiem społeczności, do której należały, posługiwały się własnym narzeczem, potoczystym, wyraźnym świergotem, który nieprzerwanie płynął od jednej do drugiej i stanowił mieszankę brzęczenia oraz szmerów, równie jasną dla nich, co niezrozumiałą dla otoczenia.

– Jak one się świetnie rozumieją! – wykrzykiwali często sąsiedzi, którzy stwierdzali, że dziewczynki raczkują, bawią się, jedzą, śpią, biegają i gaworzą jednomyślnie.

W rzeczywistości, gdyby lepiej im się przyjrzeć, nie „rozumiały się” w zwykłym tego słowa znaczeniu, bo żeby się rozumieć – wypowiadać się, słuchać, odpowiadać – trzeba być dwiema osobami. Lily i Moïsette dorastały obok siebie, nie mając poczucia, że się różnią. Wszystko wskazywało na to, że u zarania życia siostry były nieświadome swej dwoistości, tworzyły jedną i tę samą osobę, istotę o dwóch ciałach, organizm o czterech ramionach, czterech nogach, czterech wargach i dwojgu ust. Gdy jedna zaczynała jakiś gest, druga go kończyła. Jakby zawsze łączyło je niewidzialne łożysko, pławiły się w harmonii, strzeżone przez opiekuńczą kieszeń, bańkę nasyconą płynem o wodniowym, w którym ewoluowały, spokojnie, w stałej temperaturze, wibrując przyjemnym rezonansem.

Jakie zdarzenie rozerwało tę kieszeń? Jaki nóż rozdzielił dwie siostry?

Tamtego ranka, na ich czwarte urodziny, państwo Barbarin wręczyli niebieską paczkę Lily, a czerwoną paczkę Moïsette. Każda z dziewczynek, zachwycona, przyglądała się łakomie swojemu prezentowi, a potem nachyliła się, żeby obejrzeć podarunek siostry. Moïsette odłożyła czerwony i wzięła niebieski pakunek, który bardziej ją kusił, na co Lily przystała. Rodzice interweniowali:

– Nie! Niebieski należy do Lily, czerwony do Moïsette.

Ponownie rozdali prezenty. Cztery sekundy później uparta Moïsette zrobiła to samo.

– Moïsette, nie rozumiesz: twój jest czerwony, nie niebieski.

Moïsette zmarszczyła brwi. Wołała kolor niebieski od czerwonego, i nie rozumiała, dlaczego odsuwa się od niej tę paczkę. Przyciągnęła ją.

Powstrzymał ją lekki klaps w nadgarstek. Zagniewana, siedziała z rozdziawionymi ustami.

– No dalej, dziewczynki, otwórzcie swoje prezenty!

Moïsette obserwowała Lily, gdy ta rozwinęła lazururowe opakowanie i odsłoniła pudełko zawierające lalkę.

– Och! – zawołały chórem maluchy.

Podobnie jak starsza siostra, Moïsette wpadła w zachwyty na widok ubranej w biały atlas, wspaniałej jasnowłosej istoty, która siedziała w pudełku.

– Jest piękna! – szepnęła Lily.

– O tak! – zgodziła się Moïsette.

Lily delikatnie uniosła plastik, wyjęła lalkę i postawiła ją na nogi. Moïsette obserwowała tę scenę, sprawiając wrażenie, że bierze w niej udział.

Potem Lily pogłaskała lalkę po złotych włosach, zachęcona do tego przez Moïsette. W końcu Lily ucałowała jej różowe policzki, co sprawiło, że Moïsette oblała się rumieńcem, jakby to ona dostała całusa.

– Moïsette, a twój prezent?

Moïsette dopiero po dwóch sekundach spostrzegła, że rodzice zwracają się do niej.

– Nie jesteś ciekawa? – nalegali.

– Podoba mi się lalka.

– Masz rację, jest bardzo ładna.

– Lubię ją.

– Tak, ale to lalka Lily.

Lekceważąc tę uwagę, Moïsette wyciągnęła rękę, żeby Lily oddała jej zabawkę.

Rodzice postanowili okazać surowość.

– Nie, Moïsette, to jest lalka Lily!

Wyrwali dziewczynce zabawkę, którą przytulała do piersi, i siłą zwrócili ją Lily.

– Jest twoja, pilnuj jej.

Moïsette namyśliła się i po kilku sekundach wyciągnęła rękę w stronę Lily, a ona oddała jej lalkę. Znowu wmieszali się rodzice. Zapanował chaos.

– Nie, dość tego! Wystarczy już zamieszania. Oddaj prezent Lily. Rozpakuj swój.

Słyszając ten groźny ton, Moïsette rozplakała się odruchowo.

– Co za głuptas z ciebie! Dostajesz prezent i nawet na niego nie spojrzysz. Nie wiem, czemu zadajemy sobie tyle trudu...

Moïsette nic z tego nie rozumiała, poza tym, że nie ma już prawa postępować według własnego widzimisię. Lily rzuciła się, żeby ją objąć, i udzieliło jej się szlochanie. Uspokojona Moïsette uroniła jeszcze kilka łez, a potem oceniła sytuację: matka z uporem podawała jej czerwoną paczkę.

Pod przymusem, z nadąsaną twarzą, Moïsette rozerwała papier, spod którego ukazał się wspaniały miś.

– Och, jaki ładny miś! – wykrzyknęli rodzice, żeby ją ośmielić.

Moïsette zerknęła na niego z posępną miną.

– Podoba ci się?

Odwracając się w stronę siostry, która łakomie przyglądała się pluszakowi, bąknęła:

– Tak.

Uznając, że wykonała już swój obowiązek, chwyciła lalkę.

Doszło do awantury. Zmordowani rodzice podnieśli głos, Moïsette znów się rozplakała, a Lily, solidaryzując się z nią, zaczęła wrzeszczeć.

– O nie, Lily, tylko nie ty! Nie będziesz jej dodatkowo zachęcać! Ani robić z siebie takiego głuptasa jak Moïsette!

Padły obelgi, trzasnęły drzwi, rodzice się ulotnili, zostawiając męczone czkawką dziewczynki na podłodze, pośród strzępów opakowań.

Te urodziny nadszarpnęły jedynność bliźniaczek: każda mgliście pojęła, że nie zlewa się z drugą. W wieku czterech lat urodziły się na nowo, lecz tym razem dwie. Odrębne. Lily i Moïsette.

Dla Lily stanowiło to informację, dla Moïsette powód do rozpacz. Nie tylko nie była swoją siostrą, lecz także była samotna. Co więcej, gorzej ją traktowano. Każdy z nas został w dzieciństwie rażony gromem: dostrzegając nagle dystans między sobą a resztą świata, zdał sobie sprawę, że istnieje na uboczu, inny, jako unikalne ciało wśród obcych ciał, niepowtarzalny obwód myślowy. Świadomość jest niesprawiedliwa... Dla jednych oznacza olśnienie, dla innych poniżenie. O ile w świecie tych pierwszych unosi się zasłona, o tyle wokół drugich zamykają się ściany więzienia. Samotność to królestwo, w którym jedni widzą tron, a inni granice.

Lily odczuwała radość, eksplorując naturę wokół siebie. W dodatku szła przez życie obdarzona siostrą bliźniaczką! Moïsette, urażona, nieufna, uważała, że świat jest niegościnnie, i zorientowała się, że obecność siostry pozbawia ją wpływów, znaczenia, pierwszeństwa... Podczas tych czwartych urodzin Lily zyskała siostrę, Moïsette natomiast odkryła rywalkę.

Od tamtego dnia w oczach mieszkańców wioski bliźniaczki nadal stanowiły jedno, lecz były bardziej samodzielne.

W każdych okolicznościach, w obecności rodziców, nauczycieli, koleżanek, odruchowo stapiały się ze sobą. Jeśli matka po powrocie do domu potykała się o rozbitą lampę, obie dziewczynki zamykały się w sobie. „To nie ja!”, wykrzykiwała Lily. „To nie ja!”, dodawała Moïsette. Nie warto było czekać, żadna nie wskazałaby winnej. Każde wtargnięcie jakiejś władzy w ich przestrzeń zacieśniało to ich wzajemne porozumienie. W rezultacie albo nie było żadnej kary, albo nakładano ją na obie. Nie bardzo się przejmowały, gdy pozbawiano je deseru, gdy nauczycielka kazała im zostać kilka godzin po lekcjach albo gdy nie były zapraszane do kolegi, który załamał się po odwiedzinach bliźniaczek. Ich spółka liczyła się bardziej niż złość czy oskarżenia obcych. Tworzyły blok.

Za to z dala od spojrzeń ów blok się kruszył. Chociaż pod względem fizycznym różnił je od siebie tylko jeden kilogram – krągłość, która dotknęła Lily – pod względem psychologicznym tworzyły się pęknięcia.

Odważna Lily, ambasadorka bliźniaczek, zawsze wiodła prym. Dobrze się czuła w roli zwiadowcy i inicjowała spotkania, zabawy, wyprawy. Ponieważ to ona zagadywała ludzi, przywiązywali się przede wszystkim do niej. Spontanicznie objęta przez nią pozycja przywódcy przypieczętowała te przyzwyczajenia, dlatego częściej mówiło się o „Lily” lub o „bliźniaczkach” niż o „Moïsette”, a niektórzy zadowalali się nazywaniem jej „tą drugą”, bo zapominali, jak ma na imię.

Nie mając pomysłu, jak zakwestionować ów niemal naturalny porządek rzeczy, Moïsette podążała za starszą siostrą, lecz dostrzegała cień, który Lily na nią rzucała. Przez dwa lata nigdy nie miała o to żalu do swojej siostry, niezbędnej, nieodłącznej, siostry, bez której czuła się niekompletna. Winiła raczej niedbałych dorosłych, obojętnych i obdarzonych słabą pamięcią. Zresztą Lily całkowicie zgadzała się z Moïsette, kiedy ta skarżyła się na brak względów tej czy innej osoby, i zawsze jej broniła.

Ponieważ zarówno na Boże Narodzenie, jak i na urodziny dziewczynki dostawały odtąd różne podarunki, przyjęły pewną strategię: publicznie udawały radość, a potem, gdy tylko miały chwilę spokoju, wymieniały się

nimi. Moïsette, stale zawiedziona swoimi, koniecznie pragnęła przywłaszczać sobie prezenty Lily, która oddawała je siostrze bez wahania, nie irytując się nawet wtedy, gdy potem Moïsette nie chciała ich jej pożyczać.

Kiedy miały mniej więcej siedem lat, szkoła podstawowa nadwyrężyła ich więź. Moïsette, powolniejszej, mniej dokładnej od siostry, uczenie się przychodziło z trudem. Nauczycielki zwróciły na to uwagę ich rodzicom. Na tę rozmowę Moïsette zareagowała ponurą wściekłością: jej postępy w nauce, podobne do postępów jednej trzeciej klasy od końca, nie gorsze niż u kolegów, nie zwróciłyby niczyjej uwagi, gdyby nie stawiano jej obok błyskotliwej siostry. Z normalnej uczennicy stała się słabą, bo mierzono ją miarą Lily! Miała jej za złe wymuszenie tego porównania, przeklinała ją po cichu za to, że jest bardziej uzdolniona, i nabrała zwyczaju zrzucania winy na Lily, gdy dostawała złą ocenę.

Kiedy miały mniej więcej dziesięć lat, nadeszło nieuchronne: pewna nauczycielka zaproponowała rozdzielenie bliźniaczek, żeby umieścić każdą z nich w klasie odpowiadającej ich poziomowi. Na próżno podkreślała zalety różnienia się, obiecywała lepszy rozwój, opisywała skuteczność metody indywidualnego nauczania. Moïsette spuściła głowę i przyglądała się Lily z niechęcią.

Od tej chwili regularnie plądrowała pokój starszej siostry, uszkadzała jej książki, łamała kredki, niszczyła rysunki, dziurawiła ubrania. Ale Lily bez słowa porządkowała rzeczy i naprawiała szkody, chroniąc młodszą siostrę. Nie przychodziło jej do głowy, by ją krytykować, bo była przekonana, że inni nie doceniają Moïsette.

Spokojna, rozważna Lily nie dopuszczała do tego, żeby odkryto podłostki jej siostry. Gdy za bardzo cierpiała na skutek jej agresywności, dawała dowód zimnej krwi i sprytu. Na przykład w dniu ich pierwszej komunii, ponieważ zależało jej na rzeczach, o które prosiła, zawczasu skierowała się do stołu, na którym złożono prezenty, i zamieniła etykiety, mogła zatem jeszcze tego samego wieczoru, w nocnym zaciszu, gdy już Moïsette podmieniła ich upominki, odzyskać te, które chciała dostać.

W ich dwunastym roku życia równowaga uległa zachwianiu.

Pewnego ranka Moïsette przyjrzała się Lily i oznajmiła:

– Masz brzydką twarz.

Lily, z rozdziawionymi ustami, zmierzyła ją wzrokiem.

– Ty też.

Ustawiły się obie przed lustrem i doszły do wniosku, że odbicia przyznają im rację: ich twarze się zmieniły.

Tydzień później Moïsette wbiła wzrok w biodra Lily.

– Przestań się obżerać, przytyłaś tak bardzo, że spódnica zaraz pęknie ci na szwach.

– Tobie też.

Lustro ponownie utwierdziło je we wspólnym nieszczęściu. Hormony, niczym tajna armia, opanowały ich ciała i przystąpiły do ich przekształcania.

Nie było poranka, by jedna nie zauważyła u drugiej jakiegoś defektu, który natychmiast odkrywała też u siebie, pryszczka na czubku nosa, sterczących piersi, pojawiającego się owłosienia, tłuszczu na udach, przetłuszczającej się skóry, nowego zapachu... Opuściły już brzegi dzieciństwa, by dobić do kontynentu kobiet, lecz chwilowo błędziły po wodach niewdzięczności.

Lily ze zdumieniem odkrywała swoje nowe ciało u siostry bliźniaczki. Moïsette nie znosiła, gdy siostra dręczyła ją widokiem tej klęski. Czy spędza się dwadzieścia cztery godziny na dobę przed lustrem? W mniemaniu siostry okropna Lily nieustannie przypominała o jej własnej brzydocie. Krótko mówiąc, Lily tak bardzo ją gnębiła, obnosząc się ze swymi defektami, że Moïsette nabrała do niej wstrętu.

Szczęśliwym trafem, gdy już estrogeny przeprowadziły kolonizację i wyczelowały metamorfozę, siostry Barbarin okazały się ładne. Obie równie ładne.

Moïsette nie posiadała się z radości.

Żegnaj, nierówności, którą ujawniło chodzenie do szkoły. Teraz ponownie stawały się identyczne!

Paradoksalnie ich pierwsze flirty zbliżyły je do siebie. Przestraszone swymi pragnieniami, żądne wypróbowania nowo nabytych mocy na chłopakach, podekscytowane zabawą w uwodzenie, nieustannie się ze sobą konsultowały, toteż wytworzyła się między nimi silna więź, która okazała się raczej solidarnością żołnierzy w obliczu nieznanego niebezpieczeństwa niż prawdziwą przyjaźnią. Połączyło je braterstwo broni. Opowiadały sobie o swych próbach, porażkach, sukcesach, dlatego Moïsette, mniej zuchwała od Lily, wykorzystywała niepowodzenia starszej siostry, żeby z kolei samej odważyć się na coś więcej. To ona bardziej się podobała.

Niekiedy upajały się oszukiwaniem chłopaków, zamieniając się rolami przy okazji ukradkowego pocałunku czy romantycznych igraszek. Będąc w wieku, w którym młode dziewczyny obawiają się męskiej dominacji, ostentacyjnie okazywały radość, dumne z poskramiania pozorów, ze swej przewagi nad zalotnikami.

Czy się kochały? Lily bezsprzecznie uwielbiała Moïsette, troszczyła się o jej dobro i była szczęśliwa, gdy ona była szczęśliwa, a nieszczęśliwa, gdy coś trapiło jej siostrę. Moïsette liczyła się dla niej tak jak ona sama, a może nawet bardziej. Do bliskości cielesnej, która istniała między nimi od urodzenia, Lily dorzuciła głębokie, bezgraniczne przywiązanie.

W przypadku Moïsette chodziło raczej o przyzwyczajenie niż o miłość. Chociaż czuła niemal fizyczną potrzebę bliskości Lily, nie usychała z żalu, gdy tamtej się nie wiodło, nigdy nie wychodziła z inicjatywą na jej rzecz czy na rzecz ich obu, nie uwzględniała starszej siostry w swych marzeniach o przyszłości i potrafiła się nawet cieszyć, widząc ją w opałach.

– Przedstawiam ci Fabiena.

Pewnego popołudnia, gorącego niczym ukrop, Lily ruchem ręki wskazała siostrze młodego bruneta o oczach jak węgle, wypukłym torsie, wygiętych

plecach i pałkowatych nogach, jakby zsiadał z konia.

Lily opowiadała Moïsette o Fabienie, odkąd poznała go u jednej z koleżanek tydzień wcześniej, i nie ukrywała przed siostrą, że po raz pierwszy czuje się zakochana.

Moïsette, niecierpliwa, podekscytowana wtargnięciem „miłości” w ich życie, zrozumiała poruszenie Lily, gdy przyjrzała się uważnie Fabienowi. Był wysoki, smukły, a jego elegancki wygląd nieco mąciła zuchwałość. Miał kręcone, trochę za długie włosy i zielone tęczówki przedziurawione dużymi ciemnymi źrenicami, które sprawiały, że wydawał się zahipnotyzowany przez dziewczętą. Wyglądał na twardo stąpającego po ziemi, kogoś między idealnym zięciem i łobuzem, a na jego mięsistych wargach rysował się uśmiech okrutny i wesoły zarazem.

Moïsette zaczerwieniła się pod jego spojrzeniem, spojrzeniem zdumionym na widok uderzającego podobieństwa sióstr, spojrzeniem pełnym pożądania... Chłopakowi najwyraźniej spodobały się bliźniaczki Barbarin. Moïsette natychmiast przymknęła oczy. „Niebezpieczeństwo!”, wrzasnął jakiś wewnętrzny głos. Serce waliło jej jak młotem, pięści się zacisnęły, pot skroplił się pod pachami i bała się, żeby oszalała krew nie rozsadziła jej żył na szyi.

W ciągu popołudnia, które spędzili we troje, Moïsette pozwoliła Lily decydować o rozrywkach, spacerach, porze na herbatę, rodzaju herbaty, ciastkach, które zjedzą do herbaty, miejscu w ogrodzie, gdzie wypiją herbatę... Ponownie wycofana i onieśmielona jak w dzieciństwie, usunęła się na drugi plan, śmiała się tylko wtedy, gdy wtórowała siostrze, otwierała usta tylko wtedy, gdy jej przytakiwała. Zakłopotana obecnością chłopaka, myślała opieszale, doświadczając zmysłowej ociążałości. Ta sytuacja ją krępowała. Mając świadomość, że siostra rozpała się coraz bardziej, sama też doznała czegoś w rodzaju przegrzania. Było w tym coś dwuznacznego, bo z jednej strony podzielała entuzjazm Lily, a z drugiej wyrzucała sobie, że go odczuwa. Dlatego, wyczerpana tym napięciem, westchnęła z ulgą, gdy w końcu Fabien je opuścił.

– I co powiesz? – wykrzyknęła Lily.

– To samo co ty! – odparła Moïsette, wypuszczając powietrze.

– Podobam mu się, nie?

Moïsette pomyślała o ożywieniu Fabiena, gdy zerkał na Lily.

– Jasne!

Lily eksplodowała radością i zaczęła kręcić piruety. Moïsette nie wspomniała, że dostrzegła u Fabiena taki sam zachwyt, gdy patrzył na nią.

Gdy Lily skończyła pisać wokół stołu, Moïsette podrapała się po głowie.

– To głównie pociąg fizyczny to coś między tobą a nim?

– Nie tylko.

– Ale zaczęło się od spojrzenia.

– Oczywiście. Przecież nie poznałam go korespondencyjnie...

– Ani przez telefon...

– Ani przez telefon! Tak, masz rację, Moïsette: pierwsze spojrzenie poraziło nas prądem. To było wyładowanie. O sile trzystu woltów. Nie, tysiąca woltów. Grom z jasnego nieba, czyli miłość od pierwszego wejrzenia.

– Więc chodzi przede wszystkim o pociąg fizyczny.

– Nie, Moïsette, to po pierwsze pociąg fizyczny, a po drugie cała reszta...
No tak, cała reszta...

Rozmarzona Lily jeszcze kilka razy powtórzyła „cała reszta” tajemniczym tonem.

Moïsette potrząsnęła głową: nie ogarniała tej... „całej reszty”. Przez następne dwie godziny rozmowa była upstrzona jedynie banałami, wyświechtanymi zwrotami, odgrzewanymi żartami, chwilami krępującego milczenia przerywanymi przesadnym śmiechem. Tym lepiej zdawała sobie sprawę, że raczej jest świadkiem tej paplaniny, niż w niej uczestniczy. W jej mniemaniu Fabien okazał się pospolitym chłopakiem, ordynarnym,

przyjemnym, podobnym do tysięcy innych, wyróżniającym się tylko jedną cechą, szalonym pragnieniem podobania się. Chociaż wydawał się gotów na łowy, jego umysł funkcjonował bardziej ociężale niż jego oczy podrywacza.

Zachowując tę ocenę dla siebie, Moïsette pogratulowała sobie w duchu przenikliwości, która – bez dwóch zdań! – przewyższała przenikliwość jej biednej zakochanej siostry.

Fabien mieszkał niedaleko, w Ambérieu, dokąd przyjechał na dwa miesiące szkolnych wakacji. Ponieważ miał dużo wolnego czasu, jeździł, dokąd tylko chciał, na motorowerze pożyczonym od ojca chrzestnego i regularnie odwiedzał siostry Barbarin.

Temperatura między Lily a Fabienem rosła w błyskawicznym tempie, tak samo jak słupek rtęci w termometrach tamtego upalnego lata. Pod koniec lipca Lily oznajmiła Moïsette, że nie zamierza dłużej czekać: wkrótce będzie się kochała z Fabienem.

– Bez ślubu?

– Tak!

– I bez zaręczyn?

– Gwiżdżę na to.

– Słucham?

– Zrozum mnie, Moïsette. Oczywiście pragnę spędzić całe życie z Fabienem, bo go kocham, ale jak można mieć pewność, że do tego dojdzie? „Całe życie”... To abstrakcja, prawda? No i on przyjechał tu tylko na lato. We wrześniu wróci do Lyonu. Moje życie toczy się teraz, nie jutro. Poza tym nie zgrywaj zdziwionej, dyskutowaliśmy o tym obie sto razy, nie bierzemy pod uwagę małżeństwa. Jeśli do niego dojdzie, tym lepiej. Jeśli nie, i tak prześpię się z Fabienem.

Moïsette protestowała długo i z zapałem, całymi godzinami, przez wiele dni. Oczywiście, w przeciwieństwie do poprzednich pokoleń, domagała się także prawa do bycia kobietą, zanim zostanie się żoną, lecz jakaś uparta

siła skłaniała ją do przeciwstawiania się Lily przez wysuwanie coraz to nowych argumentów, by ją powstrzymać. Jaka siła? Strach o tysiącu obliczy, strach przed utratą siostry, strach przed ponownym utknięciem na podrzędnej pozycji, pozycji „tej drugiej”, bliźniaczki, tej małej, zapóźnionej, powolnej... Głupiej, ot co! Powstrzymując Lily przed rzuceniem się w ramiona Fabiena, walczyła o siebie, nie o siostrę.

W połowie sierpnia uspokoiła się, bo Lily już nie mówiła o oddaniu się Fabienowi i zmieniała temat rozmowy, gdy tylko siostra go poruszyła. Moïsette triumfowała. Przeszkodziła Lily dorosnąć. Lepiej, żeby w tym domu mieszkały dwie larwy niż jedna gąsienica i jeden motyl.

Wieczorem 15 sierpnia, po tradycyjnych uroczystościach maryjnych, które pozwoliły wszystkim się upoić, Moïsette nagle usłyszała szepty dochodzące z dołu uspiętego domu.

Na dzwonnicy właśnie wybiła północ.

Zaniepokojona wstała z łóżka i po cichu podeszła do okna. Na ulicy w blasku rdzawego księżyca Lily, boso i z sandałami w ręce, szła na spotkanie czekającego na motorowerze zawadiaki w bluzie od dresu. Siadając okrakiem na bagażniku, objęła jego tors, przytuliła się do jego pleców, już wyrażając przyzwolenie, a Fabien, odpychając się nogami od bruku, wykorzystał pochyłość i masę pojazdu, żeby posuwać się naprzód bez uruchamiania silnika aż do szosy, która przecinała wieś. Para prześliznęła się, nie robiąc hałasu, do rogu ulicy. Kilka sekund później dało się słyszeć buczenie cylindrów, które nasiliło się na krótko, a potem zamarło w oddali...

Cisza przygniotła zgaszony krajobraz ołowianą pokrywą.

Moïsette zadrżała. Nigdy nie czuła się taka samotna...

Dokąd jechali? Nie wiedziała. Podejrzewała za to, co zamierzają zrobić... Z dachu domu naprzeciwko wpatrywał się w nią kot o fluorescencyjnych oczach. Moïsette z wściekłości ugryzła się w zaciśniętą pięść. Jeśli jej siostra milczała w tych ostatnich dniach, to dlatego, że już podjęła decyzję. Lily kpiła sobie z niej podwójnie: nie słuchała jej i odkrywała miłość wcześniej niż ona.

– Nienawidzę jej! Nigdy nie czułam do niej takiego wstrętu.

Wyobrażała sobie siostrę pod nagim ciałem Fabiena, które poruszało się, wyginając lędźwie i unosząc pośladki.

– Maciora! Nic innego jak maciora!

Na te słowa, wysyczane przez zaciśnięte usta, kot wyprostował się nieufnie i wyprężył ogon.

Moïsette cofnęła się w półmrok pokoju i dostrzegła swą śmieszoną sylwetkę w ogromnym lustrze w szafie: wyglądała jak krewetka w piżamie.

– Zdzira! – powtórzyła pod adresem siostry.

Obrażony kot umknął po dachówkach.

Tamtego ranka, podobnie jak w następnych dniach, Moïsette patrzyła jak oniemiała na przemianę siostry. Lily, wspaniała niczym jutrzienka, promieniała – majestatyczna, dostojna, tak świetlista, że budziła szacunek. Lily, która była zachwycającą dziewczyną o bursztynowej cerze, włosach emanujących żywotnością, truskawkowych ustach, roziskrzonych oczach, stała się piękną kobietą. Z twarzą rozświetloną nieustannym uśmiechem, zwielokrotniała rozmach swych gestów: już nie chodziła, rwała się do przodu, gdy zastygała w bezruchu, zmieniała się w sfinksa, a gdy wyciągała się na sofie, uwydatniała gorącą zmysłowość niczym Afrodyta pozująca niewidzialnemu rzeźbiarzowi. Coś ją lekko przytłoczyło, sprawiając, że stała się bardziej ekscytująca, bardziej urocza, bardziej fatalna.... Czyżby to sekret lubieżności?

Moïsette przestała krytykować siostrę, tak bardzo jej zazdrościła. Pragnęła tylko znów być do niej podobna.

Wobec tego zaczęła jej bardzo schlebiać, starając się nawiązywać rozmowę. Dzięki delikatności, dając do zrozumienia, że jest świadoma, co się dzieje każdej nocy, a mimo to pozostaje jej lojalną współpracowniczką, odzyskała zaufanie Lily potwierdzone wynurzeniami. Ta opisała siostrze stodołę, do której zabierał ją Fabien, światło gwiazd na ich twarzach, dreszcze na skórze,

gdy ją rozbierał, jego seksualną moc, którą odkrywała w jego oczach rozpalonego samca w ekstazie, swoją erotyczną siłę, która prowokowała u Fabiena zarazem cierpliwość i niecierpliwość, delikatność i uniesienie. Później, nakłaniana przez Moïsette, przedstawiła ze szczegółami menu ich figli – co on jej robi, a co ona jemu, co lubi coraz bardziej, za czym przepada i czego wkrótce spróbuje... Wspomniała o strachu, który paraliżował ją na początku, a potem zachęcał. Opisała drogę wstydlivosti, ów wstręt, który odczuwały od dzieciństwa na myśl o pewnego rodzaju dotyku, wstręt, który zniknął podczas uprawiania miłości, wstręt, który przekształcał się w swoje przeciwieństwo, łakomstwo, krótko mówiąc, wstręt, który stanowił znak szczególny dorastających dziewczynek.

Moïsette, zafascynowana jej opowieściami, stawała się kobietą *per procura*, niemal odzyskując ich niepodzielność z pierwszych lat życia. Jednak nocą, gdy Lily uciekała z domu na motorowerze Fabiena, Moïsette, samotna w swoim łóżku, znów zaczynała złorzeczyć siostrze, zlekceważona, wściekła, że jedyne, co ma, to dużo czasu na fantazjowanie.

Trzydziestego pierwszego sierpnia życie rodziny Barbarin zakłóciło dramatyczne wydarzenie. Podczas wieczornego posiłku do drzwi zastukał kuzyn, żeby powiadomić ich, że babcia Garcin gaśnie i wzywa do siebie córkę.

Przerażona pani Barbarin postanowiła natychmiast pojechać do Montalieu, miejscowości oddalonej o piętnaście kilometrów na południe. Pan Barbarin popędził do garażu po samochód, żeby zawieźć żonę do matki.

Citroën z zapalonym silnikiem stał przed zewnętrznymi schodami, gdy pani Barbarin, odprowadzana przez bliźniaczki, przekroczyła próg i nieoczekiwanie odwróciła się do Lily.

– Pojedziesz ze mną.

Lily cofnęła się do sieni.

– Ja?

– Tak.

Lily, chociaż zasmucona losem babci, pomyślała o Fabienie, który będzie na nią czekał tej nocy, tak samo jak podczas poprzednich. Strapiona, rzuciła okiem na Moïsette i powtórzyła:

– Ja?

– Pośpiesz się. Jazda! Wkładaj buty.

– Jesteś pewna? – bąknęła Lily.

– Tak, będziesz czuwać przy babci.

– Dlaczego ja, a nie Moïsette?

Zdenerwowana, roztrzęsiona matka nie miała czasu zastanowić się nad odpowiedzią, więc rzuciła, wsiadając do samochodu:

– Bo babcia bardzo cię kocha!

Dziewczęta zadrżały, Moïsette oparła się plecami o ścianę korytarza – przewróciłyby się, gdyby przepierzenie jej nie podtrzymało. Co? To znaczy, że uwielbiana przez nią babcia jej nie uwielbiała? Wołała od niej Lily? Ona też?

Lily oceniła cios wymierzony siostrze i popatrzyła na nią z litością. Matka dostrzegła to spojrzenie, zrozumiała swój nietakt, ale zamiast się usprawiedliwić, rozzłościła się:

– Psiakrew, dość tego! Nie komplikujcie obie sytuacji. Nie dziś wieczór. Lily, jedziesz ze mną. Moïsette, pilnujesz domu. Do jutra!

Trzasnęła drzwiami samochodu. Lily miała dwadzieścia sekund, żeby wsiąść z tyłu. Citroën ruszył pełnym gazem.

Moïsette długą chwilę stała w drzwiach. Samotna... Raz jeszcze... Samotna... Z dala od rodzinnych dramatów... Samotna... Miała pilnować domu... Jak pies... Samotna...

Rozwiązanie nasunęło jej się natychmiast. Weszła do pokoju Lily,

zamknęła się w łazience, umyła się, wyszykowała, skropiła się perfumami siostry i włożyła jedną z jej sukienek.

Zaraz po północy, gdy zjawił się Fabien, Moïsette już dreptała pod gankiem sąsiadów, tak jak zrobiłaby to Lily.

Wskoczyła na bagażnik, przycisnęła się do Fabiena, przyłgnęła do jego pleców i pozwoliła się porwać.

Dwie godziny później stała się kobietą w ramionach mężczyzny. Nie rozpoznała wszystkiego tego, o czym opowiadała jej siostra, ale część owszem. Początkowo przykładała się, bez wątpienia za bardzo, żeby wykorzystać okazję, potem, podczas ich ostatnich uścisków, w końcu się odprężyła i poczuła silne emocje.

Teraz odpoczywali nadzy, leżąc obok siebie na plecach i wpatrując się w księżyc, który pojawił się za okienkami w dachu. Tego wieczoru niebo było usiane gwiazdami bardziej niż kiedykolwiek. Wyczerpani, milczeli oboje, usiłując złapać oddech.

Moïsette, początkowo uszczęśliwiona, w miarę jak się uspokajała, a jej serce biło coraz wolniej, podejrzewała, że czeka ją najtrudniejsze: rozmowa. Do tej pory wymienili zaledwie kilka pomruków w wiosce, jechali w ciemnościach, a potem natychmiast rzucili się na siebie pośrodku zaimprovizowanego legowiska wśród wiązek siana.

Czy zdradzi się, gadając? Nagle zaczęła się tego bać.

Fabien odwrócił się w jej stronę, podparł się na łokciu i pogłaskał ją po boku, wpatrując się w nią.

Uśmiechnęła się, skrępowana. On też się uśmiechnął.

– I co, Moïsette, podobało ci się?

Dziewczyna skamieniała, zawahała się, a potem znalazła w sobie dość energii, żeby wybuchnąć śmiechem, który nie zabrzmiałby fałszywie.

– Ha, ha, ha... Dlaczego nazywasz mnie Moïsette?

Uf, udało jej się odtworzyć ton głosu siostry: można by uwierzyć, że słyszy się Lily zdumioną dobrym żartem. Powtórzyła zatem:

– Dlaczego nazywasz mnie Moïsette?

– Bo ty jesteś Moïsette.

– W tej chwili Moïsette śpi w swoim łóżku, jak każdej nocy.

Uszczypliwy uśmiech Fabiena stał się szerszy.

– Bierzesz mnie za kretyna?

Moïsette zadrżała, ale nie dawała za wygraną:

– Powiedz mi, Fabien: dlaczego nazywasz mnie Moïsette?

Fabien spokojnie wskazał ciemne plamy na dolnej części prześcieradła.

– Nie traci się dziewictwa dwa razy.

Moïsette zzieleniała. Ślady krwi! W ferworze igraszek niemal nie zdawała sobie sprawy, że krwawi.

– Słucham?

– Ta krew tutaj dzisiejszej nocy to niby co?

Przerażona, zrozumiałwszy jednocześnie, co się stało i o czym myśli Fabien, podciągnęła nogi do klatki piersiowej, wcisnęła brodę między kolana i zamknęła się w sobie.

Śledził jej ruchy z szyderczym wyrazem twarzy. Czując ociężałość karku, już nie miała odwagi na niego patrzeć.

– Domyśliłem się – ciągnął powolnym, lubieżnym głosem. – A potem zyskałem dowód.

– Kiedy?

Wzruszył ramionami i z sarkazmem wskazał brązowawe plamy.

– Szybko.

– I kontynuowałeś?

– Tak jak ty...

Przestraszona, odwróciła twarz w jego stronę. Zmrużył oczy i roześmiał się, szczerząc zęby.

– Zaczniemy od nowa, kiedy tylko zechcesz.

Moïsette się skuliła. Nie podobał jej się taki obrót sprawy. Wszystko jej się wymykało spod kontroli.

Zerwała się na nogi, chwyciła swoje rzeczy i ubrała się w pośpiechu. On nadal leżał nagi, niewzruszony.

Gdy już była gotowa, złapał ją gwałtownie za kostki, przewrócił, przycisnął do ziemi i przetoczył pod siebie. Jego głos przybrał metaliczny ton:

– Mówię poważnie: zaczniemy od nowa, kiedy tylko zechcesz.

– Co? Zrobiłbyś to mojej siostrze!

– Jakie „to”?

– Zdradziłbyś ją!

– Tak, zrobiłbym to. Tak jak ty to zrobiłaś.

Moïsette wyszarpnęła się, wymierzając mu kopniaki.

– Ty gnoju! Zostaw mnie, cholerny zgniłku!

Zachwycony, że stawia mu opór, przygniótł ją, ujarzmił, unieruchomił. Jego oczy, kilka centymetrów od jej oczu, stały się okrutne.

– Patrzcie ją! Ona udziela lekcji moralności! Podrywa chłopaka swojej siostry, a potem się oburza!

– Zostaw mnie!

– Ja przynajmniej mam wymówkę, że cię z nią pomyliłem.

Odwróciła twarz. Uwolnił ją niespodziewanie, ześliznął się na bok i ubrał, zachowując obojętność.

Rozpamiętując doznane upokorzenie, Moïsette rozcierała nadgarstki.

Fabien, gdy już się doprowadził do porządku, sprawiał wrażenie, jakby dopiero ją odkrył na ziemi, podał jej rękę i uprzejmie pomógł wstać.

– Możemy to powtórzyć, kiedy zechcesz i gdzie zechcesz.

Wstała, nie odpowiadając. Nalegał szyderczo:

– Nawet z twoją siostrą, jeśli to was kusi.

Moïsette wyszła ze stodoły, stawiając wielkie kroki. Deptał jej po piętach, paląc papierosa.

Siedząc na motorowerze i przemierzając wrogą, zimną już teraz noc, zorientowała się, w jaką wpadła pułapkę. Co powie siostrze? Oczywiście nic. Ale on, jutro, jeśli wyjawi jej, co się działo tej nocy... Choćby częściowo. Jak ona się usprawiedliwi? Co...

Zadrzała.

Cóż za niesprawiedliwość! Chociaż właśnie doświadczyła wspaniałych doznań, wręcz bezbrzeżnych, chociaż osiągnęła szczyt kobiecości, nie miała prawa się tym delectować przez swoją przeklętą siostrę! Swoją siostrę, tę zarazę, tę zawadę psującą zabawę, tę zmorę niepozwalającą korzystać z rozkoszy! Wstrętna Lily!

Przy wjeździe do wioski, tuż przed pierwszymi latarniami ulicznymi, gdy Fabien zgasił silnik i zaczekał, aż Moïsette zsiądzie, dziewczyna stanęła przed nim. Ani jej głos, ani spojrzenie nie wyrażały wahania.

– Nic nie powiesz mojej siostrze.

– Czyżby?

– Nic nie powiesz mojej siostrze, bo w przeciwnym razie cię wkopię.

– Co?

– Wyjaśnię, że zeszłam na dół, żeby uprzedzić cię, że ona nie będzie mogła się z tobą spotkać z powodu naszej babci, ale mnie przymusiłeś

i zgwałciłeś.

– Oho, ho! To nawet prawdopodobne!

– Bardzo wiarygodne, bo sam przyznałeś, że siostry Barbarin podobają ci się z wyglądu, więc jedna czy druga to dla ciebie bez różnicy...

Skrzywił się.

Mówiła dalej uszczypliwie:

– Jak myślisz, komu uwierzy Lily? Tej, z którą dzieli wszystko od pierwszej chwili, siostrze bliźniaczce, od zawsze i na zawsze, czy swojemu chłopakowi na jedno lato?

– Ty...

Zbladł.

Czując, że ma nad nim przewagę, zadała mu ostateczny cios:

– Zresztą czemu miałbyś jej opowiedzieć o naszej nocy? Jeśli ci uwierzy, poczuje do ciebie odrazę. Jeśli nie uwierzy, przeklnie cię. Tak czy inaczej, stracisz ją. To jedyny pewnik.

Zwiesił głowę.

Moïsette wygrała.

Trwali tak przez minutę, ona mierzyła go wzrokiem, on wpatrywał się w ziemię. Ich ciała nadal były rozgrzane dwiema godzinami igraszek, ich skóra jeszcze wydzielala pociągające zapachy, ich kończyny ponownie miały ochotę na... Okropnie się podniecili.

– Ależ z ciebie suka – mruknął ochrypłym głosem.

Odpowiedziała szeptem:

– A z ciebie prawdziwa świnia.

Uniósł brodę i nagle, chociaż żadne z nich tego nie rozumiało, zaczęli się namiętnie całować. Ich języki szperały, odpychały się, owijały, pociągały, ściagały się, oślinione, pokryte pianą. Gdy położył rękę na jej pośladkach,

zacharczała z rozkoszy, a jej palce odszukały w płóciennych spodniach twarde członek.

Jakiś kot zamiauczał wściekle na poboczu.

Moïsette, uświadomiwszy sobie, że traci kontrolę nad sytuacją, gwałtownie przerwała pocałunek, przyjrzała się Fabienowi i splunęła mu w twarz.

On też ją opluł.

Pałaca ślina, która trafiła dziewczynę w skroń, spłynęła jej po policzku, po szyi, wywołując impulsy elektryczne w jej brzuchu. Wnętrznosci Moïsette przeszył skurcz, taki sam jak niedużo wcześniej pod dachem stodoły. Oszołomiona, obróciła się na pięcie i uciekła, bojąc się, że będzie miała, tam, na środku szosy, drugi orgazm.

W drodze powrotnej do domu, gdy usłyszała, że odjechał, przestała biec, oparła się o ścianę i zalała łzami, zirytowana, poruszona, nie potrafiąc ustalić, czy jest nieznośnie nieszczęśliwa czy głęboko szczęśliwa.

*

W tamten poniedziałek w Bourg-en-Bresse w pałacu sprawiedliwości bynajmniej nie kłębiły się tłumy.

Fabien Gerbier się skrzywił. Zazwyczaj zabójstwa wypełniały widownię po brzegi. On sam w ciągu osiemdziesięciu lat życia obserwował tu kilka procesów, na przykład proces czarnej wdowy Marie Morestier, proces ojca Puciera, który ukatrupił trzech swoich synów, albo kierowcy ciężarówki ćwiartującego kelnerki. Wszystkie rozprawy okazały się sukcesem, za każdym razem ciekawość triumfowała. Co się zatem stało? Siostra zabijająca siostrę to przecież rzadkość, ewenement, pikantne zdarzenie, coś zasługującego na tłumy, na wzburzenie znane z dawnych dobrych czasów... Tymczasem w zimnej sali rozpraw, w której ponura sprzątaczką jeszcze chodziła ze ścierką, sześciu osobników suszyło parasole pod ławkami. Na zewnątrz apatyczny deszcz wprawiał miasteczko w otępienie.

– To wszystko przez media! – wymamrotał.

Podobnie jak gazety codzienne stacje radiowe i telewizyjne nie nadały rozgłosu tej sprawie, społeczeństwo o niej nie wiedziało, i teraz też żaden reporter nie relacjonował owego zdarzenia.

Fabien Gerbier usiadł naprzeciwko pulpitu z dzikiej wiśni, za którym miała wkrótce zasiąść oskarżona.

– Będzie zmuszona na mnie patrzeć – zaśmiał się szyderczo. – Stanę się uosobieniem jej sumienia, skoro ona go nie ma.

Jakiś beztroski adwokat przechadzał się z kawą w dłoni, gawędząc z kolegą:

– Moim zdaniem odbębnimy to w jeden dzień: w aktach niczego nie ma.

Fabien Gerbier drgnął. Co? Policja niczego nie znalazła? Ci nieudacznicy lekceważyli to, co on twierdził od miesiący: że Lily Barbarin zamordowała swoją siostrę Moïsette, że ta ostatnia wcale nie zginęła w wyniku wypadku.

Wzburzony przypomniał sobie, jak długo walczył, żeby zmusić władze do wszczęcia dochodzenia, bo te początkowo doszły do wniosku, tak samo jak mieszkańcy wioski, że chodzi o nieszczęśliwy wypadek. Fabien bez wytchnienia przedstawiał poszlaki. Na próżno! Zmęczony tym, zagroził w końcu, że podburzy dziennikarzy, by ujawnić niedbałość dochodzenia.

– Właściwie dlaczego, panie Gerbier – powtarzali sędziowie śledczy – uważa pan, że osiemdziesięcioletnia dama miałaby zabić swoją siostrę bliźniaczkę?

– A cóż wy wiecie o tych bliźniaczkach? – odpowiadał Fabien Gerbier.

– Mieszkały razem od ponad osiemdziesięciu lat!

– Ach tak? Jest jakaś data graniczna? W wieku osiemdziesięciu lat już nie można zostać mordercą? Jeśli ja jutro zaciukam żandarma, nie zostanę aresztowany?

– Pan nie przedstawia dowodów, panie Gerbier, a jedynie argumenty

i podejrzenia.

– Argumenty i podejrzenia wystarczyły, żeby zaprowadzić wielu podejrzanym przed sąd, a potem do więzienia. Jej się nie da?

Odpowiedź na to pytanie pojawiła się w sali rozpraw eskortowana przez dwóch policjantów: zaróżowiona, ujmująca, delikatna Lily Barbarin, krucha niczym porcelana, z twarzą, którą rozświetlały drobne zmarszczki, posuwała się małymi, nieśmiałymi kroczkami, uosabiając łagodność i troskę, obdarzona niezmiennym kredytem zaufania niczym babcia rozpieszczająca wnuki.

„Nabiera wszystkich tych kretynów niepotrafiących wyjść poza pozory”, pomyślał Fabien. Marszcząc czoło i wysuwając podbródek do przodu, wpatrywał się w nią z niechęcią. W przeciwieństwie do innych był przekonany, że jest winna: znał ją, odkąd miał osiemnaście lat.

*

Moïsette się uspokoiła: Fabien nie pisnął ani słowa.

Lily wróciła do domu – babcia dochodziła do siebie po łagodnym zawale – i nie zmieniła swojego stosunku do siostry bliźniaczki. Nadal traktowała ją jak powierniczkę, zwierając się jej ze swych wahań, uciech, nadziei. Moïsette, świadoma, że korzysta z odroczenia wyroku i pewnego dnia może stracić szacunek Lily, okazywała jej głęboką życzliwość. Czyżby usiłowała w ten sposób wynagrodzić siostrze swą zdradę czy wręcz ją wymazać?

Co wieczór o północy Lily spotykała się z Fabieniem. Moïsette, która obserwowała z okna znikającą w ciemnościach parę, wiedziała już teraz, gdzie i jak odbywają się ich schadzki.

Odkąd Moïsette spędziła noc w ramionach mężczyzny, zbliżyła się do siostry, lepiej ją rozumiała i mniej jej zazdrościła. W gruncie rzeczy Fabien właściwie jej się nie podobał. Podczas ich spotkania rozkoszowała się przede wszystkim gwałtownością doznań, on zaś był narzędziem jej emancypacji, nie przyczyną. Posłużyła się nim. Nic więcej. Nawet jeśli zachowała miłe

wspomnienie jego ciała i jego pieszczot, miała o nim marne zdanie ze względu na jego ograniczenie umysłowe, przewrotne zachowanie, chamstwo wobec Lily.

Moïsette uważała, że Fabien popełnił jeden błąd: świadomie zdradził jej siostrę. Nie zasługiwał na Lily. Gdyby jej ktokolwiek zarzucił, że też postąpiła źle, odparłaby, że ona przynajmniej nie zrywa związków! Nie, ona nie nakłoniła Fabiena do zdrady, bo przecież podszyła się pod Lily. Wszystko wróciłoby do ładu, gdyby nie to, że się zawziął, by się z nią przespać po tym, jak ją rozpoznał. Tu zaczynała się rozwiązłość.

Chwilami Moïsette do tego stopnia czuła, że jest w harmonii z siostrą, kobietą jak ona, kobietą, która poznała skórę mężczyzny, zapach mężczyzny, członek mężczyzny w swoim łonie, że miała ochotę jej się z tego zwierzyć. Tak, pragnęła wyrazić swą radość, podzielić się swą ekstazą. Niestety, to pociągałoby za sobą przyznanie się, jak do tego doszło. Zachowywała milczenie, ale miała Lily za złe, że ją do niego zmusza. „Ona wszystko mi opowiedziała ze szczegółami, a ja muszę trzymać język za zębami. Co za niesprawiedliwość!”

Kiedy Lily zaczęła pochlipywać na myśl o tym, że koniec wakacji odbierze jej Fabiena, Moïsette ją strofowała:

– Żartujesz, Lily? Chyba nie zamierzasz kombinować z tym chłopakiem po zakończeniu lata?

– Kocham go.

– A on cię kocha?

– Tak sądzę.

– Powiedział ci to?

– Tak.

– Kiedy?

– Na początku.

– Na początku, a potem już nie?

– Eee... nie.

– Na początku, żeby się z tobą przespać. Od tej pory już nie. Nie wydaje ci się, że to ciekawe?

– Nie musi mi tego mówić, udowadnia mi to.

– Jak?

Lily zamrugła, czerwieniąc się.

– Dobrze wiesz...

Moïsette odwróciła głowę: rzeczywiście, wiedziała, aż za dobrze.

Zerwanie okazało się trudne. Za każdym razem, gdy Fabien wyjaśniał jej, że się rozstają, Lily go błagała. Ponieważ ulegał, ich romans odżywał i Lily wierzyła, że wygrała.

Czwartego września wyjechał do Lyonu, żeby zacząć naukę w ostatniej klasie liceum imienia Édouarda Herriota. Lily tak bardzo płakała, że Fabien raczył przyjechać do Saint-Sorlin na dwie soboty. Chociaż ponownie powiedział jej, że ich związek należy do przeszłości, ich młode ciała rzuciły się na siebie i kochali się raz za razem.

Moïsette była wściekła. Siostrze radziła, żeby odtrąciła chłopaka, który już jej nie chce. Sobie samej powtarzała, że niebezpieczeństwo zniknie dopiero wtedy, gdy Fabien zmyje się bez pożegnania.

– Posłuchaj mnie, Lily. Wasz romans się kończy i skończyć się nie może... A ty cierpisz! Rzuć go raz na zawsze, bez dyskusji, i już nigdy się z nim nie spotykaj. To była twoja pierwsza miłość, ale była to miłość wakacyjna.

– Z pewnością masz rację – przyznawała Lily między napadami płaczu.

Którejś październikowej soboty Lily wymyśliła urodziny koleżanki, by usprawiedliwić swą nieobecność w domu, i pojechała autobusem do Lyonu, żeby odwiedzić Fabiena. Zdziwił się, choć go uprzedziła, i ulegając jej

umizgom, przespał się z nią raz jeszcze w swym pokoju nastolatka pod plakatami piłkarzy. Gdy minęło oszołomienie wywołane rozkoszą, a ona błagała go, żeby wrócił do Saint-Sorlin, zaczął wrzeszczeć:

– Wystarczy! Zostaw mnie w spokoju! Już dość mam sióstr Barbarin!

Lily, jakby ją osa użądliła, odparowała:

– Sióstr Barbarin? Ty idioto! Ja nie jestem siostrami Barbarin, jestem Lily.

– Ach tak? Nie każdego wieczoru...

– Jak to?

– Obie jesteście wyuzdane.

– Co takiego? Przez dwa tygodnie zanudzasz mnie, żebym się z tobą przespała, ulegam ci, spędzamy ze sobą cudowne chwile, a ty odwdzięczasz mi się, mówiąc, że jestem wyuzdana?

– Dokładnie tak, wyuzdana! A twoja siostra tak samo jak ty!

– Och, daj spokój z moją siostrą! Moïsette nie ma z tobą nic wspólnego! Zresztą tym lepiej... Nie życzę biedaczce, żeby miała do czynienia z takim facetem.

– Ona ma inne zdanie na ten temat!

– Co?

– Twoja siostra ma ogień w dupie.

– Jeszcze czego! Insynuujesz, że moja siostra sypia z facetami?

– Nie z facetami, z jednym.

– Z jednym?

– Z jednym!

– Jakim?

– Ha, ha...

- „Ha, ha”... Ty błaznie! Wyobraź sobie, że powiedziałaaby mi o tym.
- Nie sądzę.
- Opowiadamy sobie o wszystkim.
- Naprawdę?
- Jasne.
- Czyżby?
- Skończ z tymi oszczerstwami. Siostra mówi mi o wszystkim!
- A powiedziała ci, że ze mną spała?

Na Lily to zdanie podziało jak cios sztyletem w pierś. Była oszołomiona, osłupiała.

Opowiedział je wówczas, z drobiazgowym okrucieństwem, co się wydarzyło. Początkowo nie chciała tego przyjąć do wiadomości, potem zniosła w milczeniu zakończenie jego relacji.

Moïsette miała rację, gdy oświadczyła Fabienowi, że Lily zerwie z nim, gdy tylko opowie jej o tamtej nocy: wysłuchawszy tego szczegółowego sprawozdania, pozbierała swoje rzeczy, nie odezwała się już do Fabiena ani słowem, wyszła z mieszkania i z konwulsyjnie wykrzywioną twarzą wsiadła do ostatniego autobusu, który odwiózł ją do Saint-Sorlin.

Zaraz po powrocie do domu weszła do łazienki, połknęła trzydzieści tabletek, które znalazła w apteczce, udała się do swojego pokoju, zamknęła się w nim i ze starannie uczesаныmi włosami, w wyprasowanym ubraniu wyciągnęła się na łóżku, żeby czekać na śmierć.

Na szczęście Moïsette usłyszała, jak siostra wraca, i zaniepokoiła się, gdy Lily nie przyszła, żeby wszystko jej wyznać, jak to miała w zwyczaju. Godzinę później zapukała do jej drzwi.

Przestraszył ją brak odpowiedzi. Nie dała za wygraną, przekręciła klamkę, pchnęła drzwi, które stawiały opór, błagała, a potem, nie doczekawszy się żadnej reakcji, wrzasnęła. W pokoju Lily nic się nie poruszało.

Moïsette pośpiesznie zeszła na dół, żeby uprzedzić ojca, który wyważył drzwi i znalazł nieprzytomną Lily. Wezwali do niej pogotowie.

Lily została uratowana przez zespół medyczny.

Chociaż rodzice przypisywali jej postępek zawodowi miłośnemu, Moïsette domyślała się, że powód rozpaczy był poważniejszy: do obojętności Fabiena dołączyło się szelmostwo siostry.

Miała to sobie za złe.

Bardzo.

Niezbyt jednak długo, bo potępanie się ją drażniło. Moïsette raczej nie miała skłonności do wyrzutów sumienia i nie cierpiała być wrogiem samej siebie, toteż opierała się poczuciu winy, wynajdowała okoliczności łagodzące, wyliczała je w myślach, oskarżała matkę, ojca, babcię, Fabiena, potem zaś, by uwolnić się od złego samopoczucia, obwiniła swoją ofiarę, gdyż Lily ponownie skupiała na sobie uwagę, Lily stawała się pępkiem świata. Pomimo wstydu Moïsette przeklinała siostrę.

Rodzice zaproponowali, że zabiorą ją do szpitala.

– Nie! – wrzasnęła Moïsette.

Widząc ich osłupienie, poczuła potrzebę usprawiedliwienia się:

– Nadal się waham. To dla mnie zbyt bolesne.

Ulegli jej. Następnego dnia, zagadnięta ponownie, odmówiła im w identyczny sposób, dodając do tego łzy, jeszcze następnego złość, a w końcu zagroziła, że podetnie sobie żyły, jeśli będą się upierać.

Tydzień później Lily zażądała obecności siostry.

Z braku wymówek Moïsette weszła do szpitalnego pokoju ze zwieszoną głową, rozpalonymi policzkami, bardziej omdlewająca niż więzień prowadzony na tortury. Szpitalne ściany w kolorze skorupki jajka tworzyły dziwną atmosferę, jakby zgasło słońce, które niegdyś oświetlało mury. Lily, w krótkiej koszuli nocnej, odpoczywała na łóżku z błyszczącymi masywnymi

chromowanymi okuciami i prezentowała się imponująco.

Patrzyła, jak siostra się zbliża.

Gdy ich spojrzenia się spotkały, Moïsette znieruchomiała. Sparaliżowana, wstrzymała oddech.

– Wiesz, że ja wiem, prawda? – powiedziała Lily miękkim głosem.

Moïsette spuściła głowę na potwierdzenie. Lily westchnęła.

– Domyślałaś się. To dlatego mnie nie odwiedzałaś? Wstyd ci?

Po policzkach Moïsette popłynęły łzy.

Lily wysunęła rękę spod pościeli i chwyciła siostrę za nadgarstek.

– Przebaczam ci.

Moïsette zauważyła aksamitną intonację tego zdania – jej skóra była lodowata, podczas gdy skóra Lily wydzielala ciepło – lecz nie od razu je zrozumiała.

Lily powtórzyła:

– Jesteś moją siostrą, przebaczam ci.

Moïsette uniosła głowę, podobna do skazanego na śmierć więźnia, który nie jest w stanie uwierzyć, że kat odrzucił daleko swój topór.

Lily uśmiechnęła się z wysiłkiem, opieszale.

– Żaden chłopak nas nie rozdzieli, nie nas...

Moïsette wytrzeszczyła oczy, a Lily uściśliła:

– Ten na pewno nie!

Bliźniaczki wybuchnęły śmiechem, śmiechem gardłowym, bolesnym, przypominającym donośne rozdarcie, śmiechem, który przeganiał niepokój, rozczarowanie, przerażenie, samotność. Moïsette przypadła do piersi siostry i szlochała bez końca.

Lily kochała swoją siostrę bliźniaczkę. Kochała ją taką, jaką była, z jej

wadami, jej zazdrością, jej niezmienną chęcią przywłaszczania sobie tego, co należało do starszej siostry, jej skłonnością do perfidii, kradzieży, występku. Ponieważ Moïsette cierpiała bardziej niż ona, domyślała się, że ta zawsze będzie postępowała źle. W wieku osiemnastu lat nie miała już nadziei, że ją zmieni, starała się natomiast ją usprawiedliwiać, chronić.

Po powrocie do domu Lily szybko wyzdrowiała, jakby nieprzemyślana próba samobójcza pozwoliła jej na przemyślenia. Uwolniona od zaćmienia, które wywołała namiętność, z przenikliwością analizowała sytuację: nie wybaczyła Fabienowi, bo w gruncie rzeczy nigdy go nie kochała; wybaczyła Moïsette, bo ją kochała. W przyszłości, przysięgała sobie, już nie pomyli pożądaną z prawdziwym uczuciem. To nauka wyniesiona na całe życie... Wydawało jej się, że dotarła do prawdy, popełniając błąd, nabrała rozumu, popełniając szaleństwo.

– Moja biedna Moïsette...

Lily rozmyślała i nabrała podejrzeń, że jej obecność w domu nie poprawi charakteru Moïsette. Młodsza siostra, będąca siłą rzeczy obiektem nieustannych porównań, które nie stawiały jej w najlepszym świetle, z większą przykrością niż inni przechodziła przez zwyczajne etapy życia. Bez Lily nie chwiałaby się w ogniu krytyki, kroczyłaby mniej wyboistą drogą.

Ten domysł wstrząsnął Lily. Odtworzyła w pamięci ich wspólną historię i uznała, że jest odpowiedzialna za wynaturzenia siostry bliźniaczki. Gorzej: ponosi za nie winę! „Nikt nie jest zły z własnej woli”, ta sokratejska sentencja, którą nauczyciel filozofii dał jej jako temat wypracowania, rozbrzmiewała w jej głowie: Moïsette nie była zła ani z natury, ani umyślnie, była zła z powodu Lily.

Mając poczucie winy, Lily miesiącami okazywała siostrze dużo serdeczności, do tego stopnia, że ta, czując ulgę, zaczęła zapominać o swoim występku i ponownie się cenić.

W czerwcu zdały maturę – z oceną dobrą w wypadku Lily, w terminie poprawkowym w wypadku Moïsette. Egzamin oznaczał koniec dzieciństwa.

Miały się teraz zasymilować ze społeczeństwem i znaleźć sobie w nim miejsce. Moïsette oznajmiła, że ubiega się o pracę kelnerki w oberży w Bresse, niedaleko ich wsi, przy Szlaku Pstrągów. Lily, po trwającym miesiąc milczeniu, wyznała rodzicom, że chciałyby studiować prawo w Lyonie.

Ta nowina wywołała zamęt: do tej pory Lily nie wspominała ani słowem o planach na przyszłość i bliźniaczki podążały w tym samym kierunku.

Później państwo Barbarin wyrazili zgodę i obiecali córce wsparcie finansowe. Moïsette nie przyjęła tej decyzji z radością: niepokoiła ją perspektywa wyjazdu Lily. Była mrukliwa, strapiona i przestała jeść na kilka dni.

- Jesteś smutna, Moïsette?
- Lily wyjeżdża, mamó.
- Moje biedactwo...
- Kocham swoją siostrę – wzdychała Moïsette.

Naturalnie Moïsette nazywała miłością to długotrwałe obcowanie z siostrą, ich fizyczne pokrewieństwo, ich zwierzęcą bliskość, nazywała miłością to, że nieustannie z nią przestawała, nazywała miłością własną wygodę u boku istoty, która nigdy jej nie potępiała, nazywała miłością swoją zazdrość, swoje pożądanie, swoją urazę, swoje pragnienia zemsty, swoje przebłyski agresywności, nazywała miłością swoją uporczywą nienawiść do starszej siostry.

Pod pozorem chandry chodziła nadąsana. Oto Lily raz jeszcze zdobyła status gwiazdy: odtąd wszyscy będą się o nią niepokoiли, wydawali na nią pieniądze, patrzyli na nią z podziwem. Moïsette przewidywała rozwój wydarzeń w najbliższych latach: przyćmiona wyższymi studiami siostry, znów znajdzie się w cieniu, znów stanie się tą, o której się nie mówi, „tą drugą”.

Lily podjęła tę decyzję tyleż ze względu na własne życie, ile ze względu

na Moïsette, w przekonaniu, że wycofując się, wyswobodzi siostrę bliźniaczkę, która stawi czoła przeznaczeniu uwolniona od porównań.

Dziewczęta oddaliły się od siebie i było im z tym dobrze.

Lily nauczyła się radzić sobie w metropolii, w Lyonie, tym podwójnym, lecz łagodnym mieście, gdzie dwa wzgórze, Fourvière i Croix-Rousse, przegładają się w nurcie dwóch rzek. Dziewczyna, początkowo osamotniona, szybko znalazła się w otoczeniu studentów i studentek, których przyciągała jej radosna osobowość. Kilku chłopaków próbowało ją poderwać, ona jednak, nauczona zawodem doznanym w związku z Fabienem, zdecydowana poświęcić energię na studiowanie prawa, trzymała ich na dystans, czekając na tego właściwego.

W oberży w Bresse Moïsette rozwijała skrzydła jako kelnerka. Była to pragmatyczna praca, która jej odpowiadała i którą wykonywała z polotem. W przeciwieństwie do siostry, mając więcej wolnego czasu i bardziej interesując się mężczyznami, wdawała się w liczne romanse. Podobnie jak w kuchni degustowała dania, które wносиła na salę, wypróbowała chłopców poza godzinami pracy. Prowadziła tę grę dyskretnie i skutecznie, wyznaczając jej początek i koniec, ujarzmiając swe nieistniejące uczucia, usiłując się poznać i lepiej osaczać męską faunę.

Gdy bliźniaczki się spotykały, to Moïsette miała mnóstwo historii do opowiedzenia, co cieszyło Lily i przekonywało ją, że postąpiła słusznie, wyjeżdżając. Jej siostra nabierała pewności siebie.

W głębi duszy Lily żałowała jednak wyjazdu z Saint-Sorlin, swej ukwieconej wioski zaludnionej wyłącznie znajomymi twarzami, jej brukowanych uliczek przemierzanych tysiące razy, jej opiekuńczej ciasnoty. W swojej garsonierze przycupniętej na górze wieżowca, nękana zawrotami głowy, rozmyślała o rodzicach, tęskniła za oczeretami nad brzegiem Rodanu – w Lyonie rzeka obmywała jedynie kamienne bulwary – za kotami drzemiącymi na murach, przymilnymi psami biegającymi wolno, sikorkami ćwierkającymi niczym konsjerżki, jaskółkami, które latały nisko, żeby ostrzec

przed burzą, delikatnymi ślimakami opanowującymi żywopłoty po deszczu, osłami o rozmarzonych oczach, krowami pozdrawiającymi przechodnia muczeniem. W gruncie rzeczy niezbyt się pasjonowała wykładami prawniczymi. Sumiennie odbywała studia, idąc drogą, w którą wyruszyła pewnego letniego wieczoru, żeby ustąpić miejsca siostrze. Kontynuowała je raczej z powodu determinacji niż z upodobania.

Pewnego dnia, gdy była pogrążona w melancholii, zwierzyła się nierozważnie przyjaciółce, a ta nazajutrz powtórzyła ich rozmowę Moïsette. Zapominając o niedawnym rozejmie, młodsza z bliźniaczek wpadła we wściekłość. Co takiego? Jej siostra zgrywała męczennicę? Jej siostra twierdziła, że się poświęca? Hipokrytka! Wyciągała od rodziców pieniądze na studia, awansowała w społeczeństwie dzięki swym dyplomom, spotykała się z intelektualistami, i trzeba się było nad nią użalać? Trudno o większy tupet... Ona, Moïsette, nie kosztowała nikogo ani grosza! Chociaż mieszkała z rodzicami, pokrywała część wydatków domowych, włączała się do wspólnych prac. Tymczasem Lily wracała – o ile wracała! – z Lyonu znużona, niczym księżniczka, i dbano, żeby mogła odpocząć. Czy człowiek tak szybko się męczy, mając dwadzieścia lat? Czytanie książek wyczerpuje? Słuchanie profesora daje w kość? Gdyby Lily chociaż ruszyła tyłek, gdyby biegała z jednego końca obozu na drugi z potrawami parzącymi ręce, można by zrozumieć jej zmęczenie, jasne, gdyby użerała się z klientami, którzy narzekają, że zamawiali „pstrąga z grilla”, a nie „w mące”, albo że ich ciotka Zoé zupełnie inaczej robi leguminę, można by jej współczuć, ale tak? Przecież nie musi się martwić o pieniądze i mieszka w garsonierze z widokiem na elegancką dzielnicę Part-Dieu!

Dawne demony ponownie zawładnęły Moïsette. Trzy lata uspokojenia wcale jej nie zmieniły, kipiała ze złości! Kiedy znów zobaczyła się z siostrą, nie dała niczego po sobie poznać, ale zorientowała się, zadając obojętnym tonem kilka zręcznych pytań, że ich przyjaciółka mówiła szczerą prawdę: Lily nie była zadowolona z tego, że mieszka z dala od bliskich i od Saint-Sorlin.

Zamiast litości czuła niechęć. Lily zmuszała się do tego wszystkiego z miłości i już samo to irytowało Moïsette. Ona by tak nie postąpiła! Nie narzuciłaby sobie niczego podobnego! Po co?

Moïsette zastanawiała się nad tym tygodniami i w końcu ustąpiła wobec oczywistej prawdy: nigdy by się nie poświęciła, ponieważ nie czuła żadnego przywiązania. Żadne uczucie nie skłaniało jej do przedkładania siostry nad siebie. Przeciwnie. I to ją właśnie zaszokowało: odkryła, że Lily ją kocha, podczas gdy ona nie kocha jej.

– Zdzira!

Bezwiednie znalazła słowo, którego już niegdyś użyła, tamtej sierpniowej nocy, gdy Lily uciekła z domu na motorowerze Fabiena Gerbiera.

– Zdzira!

Czy ów monopol na miłość nie był dla Lily nowym sposobem wzniesienia się do najwyższej rangi, rangi wiernej siostry, idealnej bliźniaczki, doskonałej, niezrównanej?

Ta miłość poniżała Moïsette, która jej nie podzielała. Brukała ją, czyniła godną politowania, żalowaną, nędzną. Upokarzała ją, podobnie jak wszystko, co od zawsze pochodziło od starszej siostry. Brzydziła się tą miłością.

Lily, nieświadoma myśli, które nurtowały młodszą siostrę, rozpoczęła studia magisterskie na prawie i zakochała się w Paulu Denisie, błyskotliwym studencie bez grosza przy duszy, który z powodu swych niedbale naprawionych okularów spoglądał na nią jak na niedostępną gwiazdę, choć miał dwa metry wzrostu.

Pojawienie się tej tyczki było dla Moïsette dzwonkiem alarmowym: musiała zareagować i nie pozwolić się wyprzedzić siostrze.

W swojej rezerwie byłych kochanków oraz kochanków aktualnych i przyszłych poszukiwała takiego, dzięki któremu najbardziej by zyskała w wypadku małżeństwa. Ten przegląd wyłonił zwycięzcę, Xaviera Forêta pochodzącego z zamożnej mieszczańskiej rodziny Forêtów, która miała

udziały w okolicznych supermarketach, inaczej mówiąc, spadkobiercę fortuny.

Sprytna Moïsette, świetnie znająca mężczyzn, potrafiła zapewnić sobie oddanie Xaviera Forêta, rozpalala go, rozgrzewala, spławiała, ponownie rozbudzała w nim namiętność i w ten sposób udało jej się wymusić prośbę o rękę.

Tamtego niedzielnego wieczoru u państwa Barbarin popijano szampana. Lily ukończyła studia prawnicze, a Moïsette postawiła krzyżyk na restauracji, bo przecież wychodziła za syna bogatych rodziców. Co za sukces!

Śmiali się, pili, znów się śmiali i znów pili. Pośród tej euforii Lily, czerwieniąc się, wyznała rodzicom, że również ona pragnie poślubić mężczyznę swego życia, Paula Denisa.

– Czym się zajmuje? – wykrzyknęli rodzice.

– Studiuje prawo.

Oczy Moïsette zabłysły, gdy delektowała się tą sceną, którą przewidziała.

– A jego rodzice?

– Nie żyją.

– Co takiego?

– Zginęli w katastrofie lotniczej.

– Ma rodzinę?

– Nie.

– Nie?

– Nie.

– Niektórzy naprawdę mają pecha! – doszła do wniosku matka, mówiąc to oschłym tonem, jakby osierocony chłopak sam zabił swoich bliskich.

Ojciec kopnął ją pod stołem, by jej przerwać, a że też był oszołomiony, wznowienie rozmowy zajęło mu trzydzieści sekund.

– Kto finansuje jego studia? – zapytał z chłodną miną.

– Nikt. Dostał stypendium.

– Aha...

– A w nocy pracuje jako parkingowy, żeby opłacić sobie pokój.

Podczas gdy głos Lily cichł, Moïsette cieszyła się w duchu.

Matka odchrząknęła i zdołała wyszeptać:

– To mu się chwali...

Moïsette z entuzjazmem odkorkowała nową butelkę szampana i powiedziała, uśmiechając się do siebie:

– Jeszcze trochę wina musującego? Co ja mówię, musującego... to przecież dom pérignon! Do diabła ze skąpstwem! Możemy zaszaleć, Xavier przysłał mi całą skrzynkę, dwanaście butelek! Komu nalać?

Odgłos bąbelków urozmaicił pełne konsternacji milczenie rodziców, którzy nie mieli śmiałości zdecydowanie przeciwstawić się Lily.

– Jakże on ma dyplomy?

– Właśnie skończył czwarty rok, tak jak ja, ale zajdzie znacznie dalej, bo jest bardzo zdolny.

– Ile czasu to zajmie?

– Trzy lata. Cztery... Och, tato, mamó, my się kochamy.

Państwo Barbarin się skrzywili. Moïsette cieszyła się z ich zmieszania, bo wręcz słyszała, jak myślą: „Co? Moïsette przyprowadza nam najlepszą partię, podczas gdy nasza Lily, w którą tyle zainwestowaliśmy, szaleje na punkcie osieroczonego stypendysty z niepewną przyszłością... Gdybyśmy zdołali to przewidzieć...”.

Moïsette pozwoliła im nurzać się w niepokoju, a potem rzuciła wesoło:

– A gdybyśmy wzięły ślub tego samego dnia?

– Słucham?

– Co?

Rodzice, udając, że nie usłyszeli, wpatrywali się w nią, nic nie rozumiejąc.

– Proponuję, żebyśmy z Lily wyszły za mąż tego samego dnia.

Zakłopotana Lily przyjrzała się siostrze. Moïsette podbiegła do niej i wzięła ją w ramiona.

– Tak bardzo bym się cieszyła, Lily. Zdajesz sobie sprawę? Urodziłyśmy się tego samego dnia i tego samego dnia wyjdziemy za mąż! Świetne, nie?

Lily zalała się łzami, czując wdzięczność: Moïsette pomagała jej przekonać opornych rodziców do Paula, Moïsette o nią walczyła.

– Proszę cię, Lily, urządzmy wspólny ślub!

– Och, to by mi odpowiadało...

Rodzice, rozczerwieni emocjami bliźniaczek, wzruszyli ramionami, obniżyli wymagania i zrędcząc, pogodzili się z tym, że muszą ustąpić.

Podwójny ślub był spektakularnym wydarzeniem, które w pełni zaspokoilo okrucieństwo Moïsette.

Różnica między tymi dwiema parami rzucała się wszystkim w oczy: pięciuset gości Moïsette i Xaviera Forêta, trzydziestka Lily i Paula Denisa. Okazałe prezenty – srebra, kryształy, porcelana, stylowe meble – o które zadbali wszyscy przedsiębiorcy handlujący z rodziną Forêtów, dla tych pierwszych; książki i płyty oferowane tym drugim przez kolegów ze studiów. Chociaż obie panny młode miały na sobie równie wytworne suknie – za które zapłacili państwo Barbarin – Moïsette błyszczała od klejnotów i otoczyła się druhami, snobistycznymi i przesadnie wystrojonymi.

„Urządzmy wspólny ślub!”, błagała Moïsette.

W rzeczywistości starała się, żeby oba śluby były na identycznym poziomie, pożyczając Lily limuzynę, dziękując *urbi et orbi* państwu Forêt za

wynajęcie zamku dla nich czworga, w żadnym momencie nie szcędząc starszej siostrze luksusu. Moïsette okazywała wspaniałomyślność bez żadnego wysiłku. W gruncie rzeczy ta wielkoduszność zaspokajała jej małostkowość: im bardziej dzieliła się z Lily swoim szczęśliwym trafem, tym bardziej cieszyła się z własnej wyższości. Była usatysfakcjonowana, dlatego szczerze się rozplakała tamtego wieczoru przed ogromną orkiestrą prawdziwych muzyków, którzy uświetniali bal, chociaż natychmiast padła w ramiona teścia, chcąc pokazać gościom, kto sfinansował ów kosztowny dodatek.

To wcale nie zepsuło dnia Lily, bo nie podejrzewała siostry o taką perfidię. Promieniała w ramionach Paula, który, w za małym fraku z wypożyczalni, nie zrobił na nikim wrażenia, chyba że swoim wzrostem. Podczas gdy Moïsette wyjechała nazajutrz w podróż poślubną na safari w Afryce Południowej, Lily i Paul zadowolili się pozostaniem w Saint-Sorlin, w domu z dzieciństwa. Grali w karty z rodzicami, spacerowali, trzymając się za ręce nad brzegiem Rodanu, kosztowali tarty z cukrem na murach obronnych Pérouges, ślicznego średniowiecznego miasteczka, które cudem przetrwało stulecia.

Ciąg dalszy potwierdził słusność planu opracowanego przez Moïsette. Obie pary rozpoczęły życie małżeńskie. Paul i Lily w maleńkim mieszkaniu w Bron, żeby on skończył studia, podczas gdy ona pracowała jako początkująca prawniczka; Moïsette i Xavier w jednej z posiadłości Forêtów w Montalieu, w dworze z szarego kamienia i czerwonej cegły, zbudowanym w dziewiętnastym wieku przez pewnego magnata rozmiłowanego w Wersalu.

Moïsette triumfowała. Dumna z osiągniętego sukcesu, nigdy nie wahała się popisywać swoimi przywilejami, do znudzenia opowiadała o przyjęciach, na które ją zapraszano, krótko mówiąc, zachłannie brała na siebie rolę nowobogackiej. Często do tej salwy wymierzonej w siostrę dodawała jeszcze jedną strzałę, strzałę współczucia:

– I jak wam się żyje w Bron? Nie jest zbyt ciężko?

Delektowała się zakłopotaniem Lily i bez końca dopytywała się o trudności przeżywane przez małżeństwo.

– Myślisz, że Paul wkrótce ukończy studia?

Wzdychała przy tym głośno.

– To straszne, tak dużo się uczyć i tak mało mieć z życia. Nie, naprawdę, powtarzam to Xavierowi: zasługujecie na pochwałę.

Lily podejrzewała czasami, że Moïsette czerpie przyjemność z litowania się nad nią, ale wyrzucała sobie, że tak myśli i, choć zmieszana, uprzejmie odpowiadała siostrze.

Mijały lata.

Moïsette kochała wszystko w swoim małżeństwie z wyjątkiem męża.

Oczywiście nigdy nie miała złudzeń co do Xaviera, bo wybrała go tak, jak się wybiera samochód, z zimną krwią i z rozsądkiem. Przewidziała niedostatki jego charakteru i od samego początku zdawała sobie sprawę, że ma przeciętną powierzchowność oraz skłonność do tycia, toteż ominęła ją przykra niespodzianka, gdy odnotowywała dodatkowe braki. Ponieważ nie pomyliła się ani co do jego rodziny, ani majątku, niczego nie żałowała. Problem w tym, że się nudziła. Nie życiem, które prowadziła, lecz koniecznością prowadzenia tego życia z nim. Był dla niej kulą u nogi. Dlaczego dokądś nie wyjedzie?

Często robiła sobie wymówki: „Uspokój się, Moïsette! Inny facet tak samo by ci się naprzykrzał, ale mniej by cię rozpieszczał”. W ostatecznym rozrachunku uznała słuszność swej dawnej decyzji i powtarzała sobie w kółko, że każde zadanie zawsze ma przyjemną i nieprzyjemną stronę, a z przyjemnością wiąże się trud. Małżeństwo nie oszczędziło jej radości – pieniądze, życie towarzyskie – lecz kosztowało ją wiele wysiłku w sferze intymnej. Z dala od cudzych spojrzeń wywiązywała się z obowiązków żony z zapalem najemnego robotnika. „Uf, nikt nie wie, jak bardzo się zmuszam!” Igraszki z mężem do tego stopnia ją nużyły, że nawet nie marzyła

o cudzołóstwie. Kiedy ją pieścił, ukrywała zahamowania, oddawała mu się z uśmiechem, rumieniła się, udawała, mruzczała. Zręcznie wykonywała stosowne ruchy, żeby czym prędzej osiągnął orgazm i uważał się za bohatera. Gdy już było po wszystkim, zadowolona, że ma spokój, bynajmniej nie myślała o powtórce – ani z nim, ani z nikim innym. Frustracja seksualna sprawiała, że całkowicie dochowywała mu wierności.

Siostry skończyły trzydzieści lat, ale żadna nie miała dziecka.

Lily początkowo wykluczyła taką możliwość, do czasu aż mąż ukończy studia. Później Paul się wybił – został jednym z rozchwytywanych międzynarodowych specjalistów od prawa fiskalnego. Napływały kontrakty, ważne i intratne, toteż oboje odnosili korzyści z trudnych lat, bo po zaciskaniu pasa nadszedł dostatek. W przestronnym mieszkaniu w zabytkowym centrum Lyonu ciężko pracowali, ale mogli sobie pozwolić na podróże, z których wcześniej rezygnowali. Spędzali wieczory w dobrych restauracjach jak para zakochanych, a w weekendy wyjeżdżali w góry na narty albo pływali w Morzu Śródziemnym.

W końcu nadszedł odpowiedni moment: Lily przestała brać pigułki.

Bez porozumienia z siostrą zrezygnowała z nich również Moïsette, uświadamiając sobie, że dzieci skonsolidowałyby jej związek.

Gdy obie to sobie wyznały, uśmieły się i odnawiając wzajemne zrozumienie, które łączyło je w pierwszych latach, informowały się odtąd na bieżąco o tym, co dzieje się w ich brzuchach.

Niestety ich usiłowania okazały się daremne. Ponieważ jednak przyjaciółki zapewniały je, że po latach stosowania antykoncepcji macica nie od razu staje się na powrót płodna, cierpliwie czekały.

Co ciekawe, ich zbliżenie dokonywało się również na płaszczyźnie społecznej. W miarę jak Lily i Paul się bogacili, Moïsette i Xavier ubożeli. Niepowodzenia na giełdzie, sprzedaże nie w porę, nieudane transakcje uszczupliły majątek Forêtów, skłaniając ich do zredukowania kwot, które wypłacali pięciorgu swoim dzieciom. Xavier zamiast prowadzić mniej

wystawne życie, trwonił tyle samo pieniędzy, a nawet więcej, co zmuszało go do zaciągania pożyczek. Jego zadłużenie osiągnęło taki poziom, że skąpił na prezenty, suknie i rozrywki, które ofiarowywał Moïsette. Zaszokowało ją to, bo jedynie dobrobyt uzasadniał oddanie, które okazywała mężowi.

Pewnego ranka rozpromieniona Lily oznajmiła Paulowi, że jest w ciąży. Godzinę później poinformowała o tym przez telefon Moïsette, która udawała radość, ale poczuła się skrzywdzona. Starsza o trzydzieści minut siostra znów była górą! Szatański cykl zaczynał się od nowa.

Moïsette była wściekła, choć jednocześnie poczuła ulgę: skoro jej idealna siostra bliźniaczka mogła zajść w ciążę, ona też może! Z fizjologicznego punktu widzenia problem nie leżał zatem po jej stronie, lecz Xaviera.

Tydzień później zdradziła męża z ich pracownikiem, szoferem, trzydziestoletnim jak ona, dobrze zbudowanym jak ona, żyjącym w związku małżeńskim jak ona – ważne, by się nie przywiązywać: cudzołóstwo pozostaje uczciwe, jeśli jest popełniane wyłącznie z pobudek seksualnych, bez żadnych uczuć! Czy robiła błąd? Nie, spełniała swój obowiązek: starała się zapewnić potomstwo rodowi Forêtów. Do tego stopnia to sobie wmawiała, że niemal czuła zakłopotanie, drżąc z rozkoszy w żylastych, umięśnionych ramionach kochanka.

Po trzech miesiącach Lily poroniła. Ta wiadomość pocieszyła Moïsette: wyprzedzi siostrę. Szofer został zaangażowany do pracy na pełnych obrotach, ona zaś ulegała od czasu do czasu Xavierowi: „Po pierwsze, musi wierzyć, że dziecko jest jego. Po drugie, może rzeczywiście będzie jego...”. Im dalej się posuwała, tym bardziej przekonywała samą siebie, że postępuje słusznie.

Lily, gdy już otrząsnęła się po tragedii, mocno wspierana przez Paula, zasięgnęła porady specjalisty. Profesor Norpois zbadał parę, przeprowadził testy, sprawdził wyniki, a potem oznajmił im, że nie poczną potomka, bo Lily okazała się niezdolna do donoszenia ciąży.

Lily i Paul bardzo się zmartwili. Do tej pory życie się do nich uśmiechało, a teraz zbliżył ich do siebie smutek. Niczym bluszcz, który na wieki spleta

w grobie Tristana i Izoldę, łączyła ich niepłodność, znak wspólnego przeznaczenia, zobowiązanie, że nigdy się nie rozstaną. Natura w swej mądrości pozwoliła im się spotkać i pokochać.

Mimo to pewna myśl prześladowała Lily: musi przestrzec Moïsette. Siostra bez wątpienia była dotknięta tą samą ułomnością. Bała się chwili, w której jej to wyzna, wiedząc, jaki ból sprawi Moïsette, a chciała jej go oszczędzić.

Odczekała kilka miesięcy, zanim pojechała do siostry.

Ta zaś, mając już zszargane nerwy, odprawiła szofera, bo okazał się nie bardziej płodny niż Xavier, i nawiązała romans ze swoim kinezyterapeutą, żonatym czterdziestolatkiem, który dochował się czworga dzieci. Nie wspomniała Lily o tych kłopotach i przymierzała się do wypicia herbaty.

– Piłaś kiedyś białą herbatę? Xavier zamawia ją w Tokio. Jest najdroższa z najdroższych. Listek w cenie kawioru. Skosztuj, posmakuj ci.

Zostały jej już tylko tego rodzaju szczegóły, żeby mogła okazywać swą wyższość nad Lily. Chwytała się tych błahostek jak tonący brzytwy.

– Moïsette, wolałabym ci nigdy nie mówić tego, co mam do powiedzenia.

Słyszając jej niepewny głos, widząc jej nozdrza zaciśnięte ze zdenerwowania, siność jej ust, Moïsette uświadomiła sobie, że siostra cierpi katusze. Usiadła, słuchając z uwagą, w nadziei, że Lily opowie jej o jakimś zachwycającym nieszczęściu. Paul od niej odchodzi? Paul ma kochankę? Skandal rujnuje jego kancelarię? Śliniła się na samą myśl...

– Tak?

Lily szukała w sobie odwagi, nie znalazła jej i pochyliła się.

– Jestem bezpłodna.

Moïsette, zwrócona twarzą w stronę siostry będącej jej lustrzanym odbiciem, natychmiast pojęła wagę tych słów. Żeby jednak dać sobie kilka sekund wytchnienia, nie przyjmowała tego do wiadomości i udawała, że nie

rozumie:

- Jesteś...?
- Jestem bezpłodna.
- Ach...
- Zrobiłam wszystkie badania.
- Och...
- Więc...
- Więc?
- Więc ty też, moja kochana Moïsette.

Tak oto zapadł wyrok. Moïsette musiała stawić mu czoła. Poczowała w sobie pustkę, miała wrażenie, że jej ciało się zapada, toczone przez wewnętrzną nicość. Przez sekundę liczyła na to, że straci przytomność.

Lily przyglądała się siostrze szeroko otwartymi oczami, obdarzając ją litościwym spojrzeniem i wyciągając w jej stronę ręce, gotowa ją podtrzymać.

Moïsette się zachwiała, stwierdziła ze złością, że nie mdleje, wyobraziła sobie przez chwilę, że daje się pocieszać Lily, a potem nagle, gdy zobaczyła, że ta jest serdeczniejsza i czulsza niż pieta, przepełniła ją nienawiść. Co? Znowu ona! Wykracze każde nieszczęście!

- Wyjdź!
- Co?

Moïsette wstała, roztrzęsiona, czerwona na twarzy, z ustami wykrzywionymi gniewem, i wyprostowanym palcem wskazała drzwi.

– Wynoś się! Niech twoja noga nigdy więcej tu nie postanie. Nigdy, rozumiesz? Nigdy!

– Ależ Moïsette, nie przemawia przeze mnie złośliwość... Znam ból, którego to przysparza, sama przez to przeszłam! Mówię ci o tym, żebyś się przygotowała, żebyś poinformowała Xaviera, żebyś...

- Precz stąd!
- Ale...
- Ty to ty, a ja to ja.
- Przecież...
- To nie ma nic do rzeczy.

Lily chciała zaprotestować, przekonać ją o szczerości swoich intencji, objąć ją na pocieszenie, ale Moïsette, początkowo zastygła w bezruchu, zaczęła chwytać bibeloty i ciskać nimi w siostrę.

Lily uciekła.

- Co za ulga! – warknęła Moïsette.

W ciągu następnej godziny wezwała do siebie kinezyterapeutę, zmusiła go, żeby się z nią przespał i, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, przeżyła najsilniejszy orgazm w życiu.

*

Fabien Gerbier kipiał ze złości. Ten silny, zwalisty mężczyzna o masywnej, kanciastej głowie wciśniętej w ramiona i brązowych oczach zapadniętych pod łukami krzaczastych brwi, ubrany w szorstki welur, patrzył na przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości, nie kryjąc dezaprobaty, niczym marynarz, który obserwuje deszcz bez obawy, że zmoknie.

Spektakl, jakim był ten proces, wzbudzał w nim odrazę. Sąd, podatny na umizgi szanowanej wiekowej damy, przesłuchiwał Lily Barbarin w białych rękawiczkach. Dotyczyło to również prokuratora. Za każdym razem, gdy zadawali jej pytanie, robili to delikatnie, dawali do zrozumienia, że wymaga tego surowość wymiaru sprawiedliwości, ale oni przystają na to bardzo niechętnie. Wyraźnie uświadamiali oskarżonej, że jej nie podejrzewają i biorą udział w parodii rozprawy, której wynik – uniewinnienie – jest z góry znany.

- Może niech podadzą herbatę i ciasteczka, jak już tu są – mruczał pod nosem Fabien Gerbier.

Sześciu widzów, nieco zbitych z tropu tyłoma względami okazywanymi oskarżonej, w końcu straciło zainteresowanie rozprawą i większość spała.

Kilku mieszkańców wsi przyszło złożyć zeznania, kłaniając się Lily równie nisko jak sądowi. Przypomnieli o wzajemnym zrozumieniu, które od zawsze łączyło obie siostry. Wspomnieli również o ostatnich miesiącach, donieśli, że Lily głośno krzyczała, odkrywszy zwłoki – tak jak niegdyś po śmierci męża – że płakała rzewnymi łzami, gdy przekazywała ubogim ubrania Moïsette, i że w każdą środę udawała się na grób siostry do Montalieu, gdzie długo oddawała się kontemplacji. Fabien wiedział o tym wszystkim, bo kiedyś nawet śledził Lily w drodze na cmentarz, zaintrygowany tym cotygodniowym oddawaniem czci zmarłej.

Odmówiono wezwania go na świadka. Co miał do powiedzenia? Nic, według adwokatów obu stron. Był pierwszym kochankiem Lily, sześćdziesiąt lat wcześniej, ale od tamtej pory niemal się do niej nie odzywał. Osiadł na stare lata w Saint-Sorlin i otworzył warsztat szewski. Zajmował się tym bardziej z zamiłowania niż z konieczności, bo emerytura pracownika działu handlowego zapewniała mu utrzymanie. Podobnie jak inni mieszkańcy wsi wiedział, że podstarzałe siostry mieszkały razem w domu swoich nieżyjących rodziców. Podobnie jak inni mieszkańcy wsi zauważył, że Moïsette maltretuje Lily, ubliża jej, dręczy ją narzekaniem i stawia w krępujących sytuacjach w miejscach publicznych, ale tak jak wszyscy inni mieszkańcy wsi dostrzegał rezygnację, pobłażliwość i życzliwość Lily. Wydawało się, że nigdy nie przestała kochać swej podłej siostry i w imię tej miłości za każdym razem jej wybaczła.

„I tego się trzymają, wszyscy! Nie chcą uwierzyć, że w końcu ją to zmęczyło i się zemściła”.

Fabien pokładał nadzieję w biegłym. Zapewne potwierdzi on, że Moïsette nie wpadła przypadkowo do studni w ogrodzie, że Lily ją popchnęła.

Biegły wyliczył swoje tytuły i odpowiedział na pytania sędziego. Opisał studnię znajdującą się w głębi ogrodu państwa Barbarin, studnię, która

według dokumentów pochodziła z siedemnastego wieku.

– Czy w ciągu trzech wieków pojawiły się wzmianki o kimś, kto do niej wpadł?

– Nie.

– Czy ta studnia jest niebezpieczna?

– Nie wiem, czy niebezpieczna, ale z pewnością głęboka. Poziom wody gruntowej znajduje się zaledwie dziesięć metrów niżej. Poza tym w chwili zdarzenia była wyschnięta. Tak głęboka dziura stanowi śmiertelne zagrożenie, jeśli się do niej wpadnie.

– Czy można do niej kogoś wepchnąć?

– Bez trudu, bo brzeg studni nie jest zbyt wysoki. Ma sześćdziesiąt centymetrów, więc sięga nieco powyżej kolan. Siada się na nim, żeby zaczerpnąć wody.

– To oznacza, że jeśli ktoś siedzący straci równowagę, łatwo wpadnie do studni.

– Właśnie.

Prokurator się obruszył i wymierzył w sufit oskarżycielski palec.

– A to oznacza, wysoki sędzie, że jeśli ten ktoś, on czy ona, zostanie popchnięty, wpadnie do studni.

– Też – przyznał biegły.

– Ta studnia stanowi idealny sposób, żeby pozbyć się jakiejś osoby...

– To prawda!

– ...i pozwala popełnić zbrodnię, pozorując wypadek.

Fabien Gerbier odzyskał nadzieję. Prokurator się budził, w końcu wchodził w swoją rolę, oskarżał, szukał dowodów obciążających.

Prokurator mówił dalej:

– Łatwo zatem ukryć morderstwo, starając się, żeby wyglądało na przypadkowe wpadnięcie do studni. Naturalnie pod warunkiem że ma się motyw... którego jednak jak dotąd nie dostrzegliśmy, a pan, jako biegły, również nam go nie przedstawił.

Biegły przytaknął z uśmiechem. Przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości jak na komendę spojrzeli życzliwie na Lily, na wypadek gdyby zaniepokoiła się na kilka sekund.

Fabien Gerbier zacisnął pięści: oskarżonej okazywano coraz większą życzliwość. Z góry uznano, że Lily jest niewinna. Znalazłszy się u kresu wytrzymałości, wstał i zwrócił się do zespołu sędziowskiego:

– Jak wyjaśnicie, że Moïsette, która znała tę niebezpieczną studnię od dzieciństwa, nie miała się na baczności?

Lily posłała Fabienowi spojrzenie zaniepokojonego ptaka, a potem jej źrenice rzuciły zimny, niemal zabójczy blask niepasujący do pogody ducha osoby niewinnej. Wyraźnie go dostrzegł.

– Spójrzcie na jej minę! – wykrzyknął. – Widzieliście to tak jak ja: porzuciła swą rolę czarującej damy.

Zespół sędziowski odwrócił się w stronę Lily Barbarin i ponownie zobaczył szacowną, wytworną wiekową damę, czyli taką, do jakiej był przyzwyczajony, a przewodniczący zawołał ze złością:

– Kim jest ten pan? Proszę go wyprowadzić. Nie wolno zakłócać pracy sądu.

Fabien Gerbier zrozumiał, że poniósł porażkę. Jego temperament sangwinika odebrał mu całą wiarygodność, już nikt go nie posłucha.

Rzucili się na niego woźni sądowi. Odruchowo stawiał opór, ale potem pozwolił się wyprowadzić z sali rozpraw.

Czyżby oszalał? Gdy przechodził przed ławką Lily Barbarin, wywlekany na zewnątrz przez woźnych, dostrzegł na wargach kobiety szyderczy grymas.

*

Moïsette okazała się nieprzejednana: od czasu rozmowy, podczas której siostra bliźniaczka uświadomiła jej, że prawdopodobnie jest bezpłodna, nie chciała się z nią spotykać, nawet u rodziców. Nieporozumienie nabrało oficjalnego charakteru.

Lily przez delikatność nie powiedziała nikomu o sprzeczce, która doprowadziła do zerwania, przekonana, iż jedynie ból sprawił, że siostra zachowała się niezręcznie, niesprawiedliwie, nieustępliwie. Chciałaby ją przytulić, uspokoić, przekonać, że będzie mogła rozwinąć skrzydła, nie wydając na świat dzieci, bo ona i Paul pogodzili się z tą perspektywą, ale szanowała jej nadmierny ból i cierpliwie czekała.

Moïsette żyła z dzwonkiem alarmowym wszczepionym do mózgu. Miała się na baczności i niczym zwierzyzna płowa, która dziesięć razy rozgląda się dokoła, zanim skorzysta z wodopoju, drżała, gdy tylko na dłużej zatrzymało się na niej czyjeś spojrzenie, ponieważ bała się, że inni odkryją jej sekret. Wyczuwała osoby, które się do niej zbliżały, zwłaszcza kobiety, bo wykształciła filtrujący węch pozwalający jej unikać przenikliwych umysłów. W obecności mężczyzn jej ochota na seks się nasilała, wstrząsana strachem, podsycona niepokojem, więc wyszukiwała kolejnych kochanków z zapamiętałością, która zdradzała raczej rozpacz niż żądzę.

Pochłonięta wyłącznie sobą, Moïsette nie zauważyła, że jej mąż więcej podróżuje, uczestniczy w seminariach – on, rentier i próżniak – i rzadziej bierze ją w ramiona. Do tego stopnia nim gardziła, że uważała go za swoją własność.

Pewien telefon wyprowadził ją z błędu. Jakaś kobieta zadzwoniła do ich domu, gruchając swobodnym tonem, i natychmiast się rozłączyła, gdy usłyszała jej głos. Moïsette wybrała ów numer, a odpowiedzią na jej „halo” była pełna paniki cisza.

Omam nie rozbiła słuchawki. „Nie dość, że wziął sobie kochankę – pomyślała – to jeszcze trafił na głupią babę, która nie potrafi nawet udawać,

że się pomyliła!”

W ciągu następnych dni przyglądała się mężowi, któremu dotąd nie poświęcała większej uwagi. Wyszczupłał, zmienił perfumy oraz styl ubierania się i przez cały dzień pogwizdywał. Oczywisty wniosek wprowadził ją w konsternację: Xavier był szczęśliwy!

Przyjrzała się z kolei sobie w lustrze: ona też się zmieniła. Jej rysy się wyostrzyły, w kącikach ust pojawiły się zmarszczki w wyniku rozgoryczenia, brwi zbliżyły się do siebie, zwalczając się wzajemnie, a jasne tęczęwki jej oczu odrzucały światło, zamiast je przyjmować. Dotykając szyi, piersi, bioder, zorientowała się, po cienkiej skórze i wystających kościach, że wychudła, bo ciało zostało wchłonięte przez wewnętrzne szaleństwo.

W obliczu tej katastrofy natychmiast odnalazła swą rolę: rolę ofiary. Przez cały tydzień gromadziła dowody, że Xavier ją zdradza, a niszczyła te, które pozwalały dostrzec jej winę. Zaangażowała na miesiąc prywatnego detektywa, a potem, zaopatrzona w dokumenty, ze łzami w oczach, zjawiła się u rodziców, żeby trąbić o swoim nieszczęściu zniesławionej kobiety.

Państwo Barbarin zareagowali tak, jak tego oczekiwała: zawtórowali jej, gdy wypowiedziała słowo „rozwód”.

Nazajutrz poinformowała Xaviera o tym, co wie. Początkowo była niezbyt pewna siebie, bo zastanawiała się, czy mąż domyśla się jej niewierności, ale horyzont się rozjaśnił, gdy zrozumiała, że nic nie wie o jej kochankach. Zażądała separacji. „To cię będzie drogo kosztowało, mój dzióbasku!”

Adwokaci rzucili się na akta i rozwód zmienił się w wojnę handlową.

W trakcie tych negocjacji Lily wyraziła pragnienie – za pośrednictwem rodziców – okazania współczucia siostrze. Ponieważ Moïsette ponownie stała się pępkiem świata, panią sytuacji, łaskawie się zgodziła, więc bliźniaczki się zdzwoniły.

– Przykro mi ze względu na ciebie – powiedziała Lily. – Xavier tak

bardzo mnie rozczarował.

– To tylko mężczyzna.

– Nie wkładaj wszystkich mężczyzn do jednego worka.

– Rządzi nimi ich własny fiut.

– Moja biedna Moïsette, jak on mógł ci to zrobić? Przecież tak bardzo go kochałaś.

Moïsette powstrzymała śmiech: skąd jej siostra wzięła taki pomysł? Ach tak, od siebie samej – ponieważ kochała swojego Paula, wyobrażała sobie, że ona jest zakochana w Xavierze. Lily zdecydowanie niczego nie rozumiała, przypisywała jej własne uczucia.

– Nie trać wiary w siebie – ciągnęła Lily. – Podobasz się mężczyznom, jesteś uwodzicielska. Ten jeden cię opuścił, ale inni będą się tobą interesowali.

„Jeszcze jak!” – pomyślała Moïsette, którą bawiła ta rozmowa.

– Teraz zadam ci delikatne pytanie.

– Tak?

– Wybaczysz mu?

Moïsette poczuła w sobie pustkę. Nigdy o tym nie pomyślała. Zapanowało milczenie. Zduszony głos Lily wyrażał niepokój:

– Halo! Halo!

Moïsette zwlekała z odpowiedzią.

– Hm...

– Och... słyszałaś, co powiedziałam?

– Tak, słyszałam.

– Moïsette, mogłabyś wybaczyć mu... jego wybryk. Jeśli to się nie powtórzy...

- On mnie zdradził.
- Tak, ale...
- Okłamał mnie.
- Tak, ale...
- Zdeptał złożoną przysięgę.
- Tak, ale...
- Pamiętaj, co sobie przysięgaliśmy w kościele, stojąc jedni obok drugich: wierność!
- Błędzenie jest rzeczą ludzką, Moïsette.
- Ludzką, ale nie małżeńską!
- Jeśli go kochasz, Moïsette, jeśli go kochasz... możesz mu wybaczyć.

Moïsette tupnęła, a jej palce tak mocno zacisnęły się na słuchawce, że aż pożółkły. „Znów się zaczyna, Wyjaśnia mi, że jestem bez serca...” Rozłączyła się.

Rozwód przyniósł wiele rozczarowań. Najpierw Moïsette odkryła, że jej mąż jest bliski bankructwa – nawet ich posiadłość była obciążona hipoteką. Potem szofer-kochanek, którego odprawiła – i jako kochanka, i jako szofera – zemścił się, donosząc na nią Xavierowi. Ponieważ zrywała z mężczyznami jeszcze brutalniej niż wtedy, gdy pracowała w oberży w Bresse, jako że dostatek obdarzył ją arogancją, bała się, że ów przypadek niedyskrecji pociągnie za sobą kolejne – i rzeczywiście tak się stało. Tabuny kochanków złożyły zeznania. Zdemaskowana, tyranizowana przez teściową, która zawsze uważała ją za intruza i traktowała oziębło, po wielu upokarzających perypetiach straciła partnera, majątek i musiała zrezygnować z dotychczasowego stylu życia. W dodatku, ponieważ nie miała dziecka, otrzymała jedynie marne alimenty, wręcz symboliczne.

Moïsette bynajmniej nie czuła się winna. Uważała się za ofiarę i użalając się bardziej niż kiedykolwiek nad własnym losem, ponownie zamieszkała

z rodzicami w Saint-Sorlin, gdzie zgodziła się widywać z Lily. Siostra współczuła Moïsette tym szczerzej, że nie wiedziała – podobnie jak reszta rodziny – o jej rozpuście, która kosztowała ją małżeństwo i była przyczyną rozwodu.

Moïsette bez przekonania szukała pracy, za to z zapałem zaczęła grać. Rezygnując z gier polegających na przewidywaniu – takich jak obstawianie na wyścigach lub zakłady sportowe – które wymagały informacji, czy też gry w karty, gdzie potrzebna jest pewna strategia, postanowiła zmierzyć się z hazardem. Od drużyn, koni, przeciwników wołała Nieznane, Tajemnicę, Nieprzewidywalność. Ponieważ dysponowała ograniczonym budżetem, nie chodziła do kasyn, lecz nabrała zwyczaju odwiedzania sklepiku z gazetami i papierosami, gdzie kupowała losy na loterię i zdrapki. Właśnie opuściło ją szczęście, więc ponownie o nie zabiegała, łasa na to oczekiwanie, które z wielokrotnia przyjemność.

Tymczasem Lily i Paul zbudowali sobie pod Lyonem nowoczesną willę z dużymi oknami, przez które widać było drzewa w ich rozległym ogrodzie. Lily pracowała niewiele, za to Paul bardzo dużo. Pomimo swego wieku – zbliżali się do czterdziestki – przypominali parę zakochanych studentów: podczas spacerów po mieście czy na wsi niedbale ubrany, szczudłowaty żuraw uwielbiał przytulać do siebie synogarlicę Lily i nachylając się, dziobać ją w czoło pocałunkami. Tej dwójce wystarczyło na siebie spojrzeć, żeby się roześmiać.

Moïsette tolerowała partnera siostry. W gruncie rzeczy uważała Paula za postać tak groteskową, że nawet się nie fatygowała, żeby go nienawidzić. Za każdym razem gdy mu się przyglądała, zachodziła w głowę, jak można pożądać tego płaskiego, niekończącego się szkieletu: to tak, jakby sypiać z pokrowcem na kije golfowe. Dla spokoju ducha nie nosiła w sobie ani trochę zazdrości. Kiedyś w rozmowie z koleżanką tak się wyraziła o Paulu: „Mając do wyboru to i nic, wolę nic”.

Paul musiał wyjechać na miesiąc do Waszyngtonu. Sprawy, które go tam zawiodły, utknęły w martwym punkcie i pobyt się przedłużył. Ponieważ Lily

za nim tęskniła, poleciała na kilka dni do stolicy Stanów Zjednoczonych, ale wróciła stamtąd w złym humorze.

Tamtej niedzieli zwierzyła się siostrze, którą odwiedziła w Saint-Sorlin:

– Miałam wrażenie, że moja obecność mu przeszkadza.

– Był zbyt zaharowany – mruknęła Moïsette, obojętna, jeśli chodzi o Paula.

– Ale tak czy inaczej...

Zakłopotana Lily ciągnęła:

– Może dlatego, że przez dwa miesiące byliśmy pozbawieni swojego towarzystwa, nie odnalazłam takiego Paula, jakiego znałam.

Nagle oczy Moïsette rozbliły, dostrzegając zdobycz.

– Zmienił perfumy?

– Co? Nie... nie wiem... Ja... Czemu o to pytasz?

Moïsette użyła wybiegu:

– Ponieważ wspomniałaś, że nie czułaś tego, co zwykle, to może zmienił perfumy...? To by wystarczyło, żeby cię wyprowadzić z równowagi, nie?

Lily podrapała się po łokciu.

– Masz rację. Tak! Rzeczywiście zmienił perfumy...

Roześmiała się.

– Dziękuję, Moïsette. A więc chodziło tylko o to: zmienił perfumy! Och, ale mnie pocieszyłaś.

Moïsette pohamowała jej radość, wydymając wargi.

– Pff, mnie by to nie uspokoiło. Kiedy mężczyzna zmienia perfumy...

– Tak?

– Kiedy mężczyzna zmienia perfumy... na ogół...

– Co?

– ...zmienia kobietę.

Lily wytrzeszczyła oczy. Moïsette kilkakrotnie pokiwała głową i wypaliła smętnym głosem:

– Xavier zmienił perfumy, gdy znalazł sobie kochankę.

Lily wyprostowała się rozgorączkowana.

– Nie, nie on! Nie Paul! Nie mój Paul!

Moïsette uniosła wzrok i powiedziała, udając, że zmieniała zdanie:

– Nie Paul. Nie twój Paul. Wybacz.

Lily zachichotała, próbując się uspokoić, a potem, zdenerwowana, wyszła pod jakimś pretekstem z pokoju. Moïsette westchnęła z rozkoszą: zasiała w Lily ziarno wątpliwości.

Piętnaście dni później Lily pojechała do Waszyngtonu, gdzie poważnie rozmówiła się z Paulem. Przyznał się, że uległ urokowi pewnej niedawno rozwiedzionej nowojorskiej prawniczki, która nie zawahała się jednego wieczoru, zbyt mocno zakrapianego alkoholem, wykonać pierwszego ruchu i... Przysięgał, że to był przelotny romans, błąd, że już żałuje, że to się nigdy nie powtórzy...

Lily wróciła do Francji tydzień przed nim. Moïsette, zwabiona wonią krwi, odwiedziła siostrę w Lyonie.

Gdy Lily otworzyła drzwi, jej poważna twarz, zaczerwienione powieki, zagniewane czoło, urywany oddech mówiły więcej niż słowa o tym, co się wydarzyło.

– Nic nie mów, wszystko rozumiem.

Lily skinęła głową. Moïsette wybuchnęła:

– Ach, co za gnojek! Faceci to świnię!

Weszły do salonu. Moïsette, z drapieżnym współczuciem, objęła siostrę

i szepnęła: „Moje biedactwo”. Lily opadła na sofę i zalała się łzami, a Moïsette, szczerza w swej roli pocieszycielki, delektowała się każdą sekundą tej sceny.

– Moja droga Lily, chciałabym ci polecić dobrego adwokata, ale nie przysłużyłabym ci się, rekomendując mojego, bo to bałwan. Mówiono mi jednak o niejakim mecenasie Blasierze. Jeśli chcesz, zadzwonię do swojej przyjaciółki Clotilde...

Lily przerwała jej, otarła policzki i wybąkała:

– Nie fatyguj się.

– Aha! Masz już kogoś odpowiedniego.

– Nie, nie mam nikogo. Nie zrywam z nim.

– Nie...?

– Nie rozwiodę się.

– Co?

– Wybaczam Paulowi. Och, może popełniam błąd, ale mu wybaczam.

Moïsette aż podskoczyła na sofie. Już się cieszyła, że siostra wreszcie cierpi – jak ona – że siostra wreszcie zazna problemów materialnych – jak ona – a tymczasem musiała się obejść smakiem. Zaczęła gorączkowo przytaczać argumenty, wśród których zderzały się ze sobą godność, przyzwoitość, honor, przestrzeganie zobowiązań, czasy faworyzujące mężczyzn i tak dalej. Nakłaniała siostrę, żeby rzuciła Paula na zawsze.

Lily zadowolona się następującą odpowiedzią:

– Skoro go kocham, to mu wybaczam.

– Skoro mu wybaczasz, nie kochasz siebie, nie szanujesz się.

– Ale na tym właśnie polega miłość. Chcieć, żeby druga osoba była szczęśliwa. Przedkładać drugą osobę nad siebie.

– Rozwiedź się!

– Nie. Nie popełnię tego samego błędu co ty.

Moïsette wyszła od siostry, nie oglądając się za siebie.

*

Adwokat Lily uprawiał woltyżerkę w sferze retoryki. Natężał głos, rozdymał zdania, żonglował składnią, wprowadzał metafory, łączył hiperbole z synekdochami, odwoływał się do litości, ostrej krytyki i przerażenia, uderzając zaś w tragiczne tony, był skuteczny, jakby jego klientka ryzykowała życie. Tymczasem sąd wiedział, że Lily Barbarin nie powinna była zostać oskarżona. Co do szczupłości audytorium – sześciu obojętnych, drzemiących widzów – nie wymagała takiej wirtuozerii. Jednak czy to z przyzwyczajenia, czy dla dodania sobie animuszu, mecenas Morbier des Jonquilles, akrobata słowa, atleta argumentacji, oferował popis swych talentów:

– Stoi przed wami nie oskarżona, lecz znieważona! Tak, podkreślam to: znieważona. Znieważona obłudą hipotez i szaleństwem podejrzeń. Czy ktoś widział, jak Lily Barbarin wpycha siostrę do studni? Nie ma żadnego świadka. To ona, zrozpaczona jej nieobecnością, szukała jej wszędzie godzinami, zanim dostrzegła zwłoki. Czy ktoś przedstawił powód, dlaczego miałyby popełnić to morderstwo? Pieniądze? Dysponowała małą fortuną, którą dzieliła się z siostrą od dziesięcioleci, pozwalając jej prowadzić godne życie, i niczego po niej nie odziedziczy. Zazdrość? Ich mężowie już dawno nie żyją. Temperament? Lily Barbarin niemal od wieku wydaje się osobą łagodną, altruistką. Uraza? Lily Barbarin, zdaniem sąsiadów i bliskich, stale okazywała siostrze najszczerzą miłość. Na czym zatem opierają się podejrzania? Na czym? Na argumencie węższym niż skrzydło muchy: Moïsette od urodzenia wiedziała, jakie zagrożenie stanowi brzeg studni, dlatego nie mogła do niej wpaść. Czyżby? Oskarżenie jest liche, absurdalnie liche, nieuczciwie liche. Gdy ma się osiemdziesiąt lat, przypominam wam, ciało się kurczy... No właśnie, już nie reaguje tak szybko jak w młodości, już nie ma mięśni, które stanowiły o jego sile, już się nie wspina po zboczach, na które zawsze się wdrapywało, nie trafia na stopnie, które przeskakiwało,

przewraca się tam, gdzie niegdyś się nie przewracało. I uwaga, zdradzę wam sensacyjną wiadomość: zdarza mu się nawet umrzeć, choć nigdy wcześniej nie umarło!

Sąd powitał ten dowcip pomrukiem zadowolenia.

– Moïsette Barbarin nie zapanowała nad równowagą. To proste, to głupie, to smutne – nic poza tym! Dzisiaj Lily Barbarin, po przeżyciu traumy, jaką było odkrycie jej zwłok, oplakuje siostrę, którą kochała od pierwszego dnia w matczynym łonie. Nasz proces ją znieważa, nasz proces rani ludzkość, nasz proces uwłacza sprawiedliwości. Czuję wstyd, panowie, wstyd. W ciągu czterdziestu lat kariery prawniczej nigdy nie odczuwałem takiego wstydu. Czego się wstydzę? Nie tego, że bronię Lily Barbarin, nie, to dla mnie zaszczyt. Otóż wstydzę się, że zostałem zobligowany, żeby ją bronić, zmuszony przez haniebne podejrzenia. Zaklinam was zatem, uznajcie jej niewinność, orzeknijcie umorzenie sprawy i zwróćcie mi honor.

Walnął się w pierś tak po męsku, że odgłos uderzenia rozniósł się po całej sali. Gdyby lew nosił czarną togę adwokacką i uderzył się w klatkę piersiową, byłby podobny do mecenasa Morbiera des Jonquilles.

*

Historia przyznała rację Lily. Paul, uzyskawszy przebaczenie żony, wrócił do niej, równie zakochany, jak wdzięczny, a ich małżeństwo zostało scementowane przez to przywiązanie, które oparło się ciężkim próbom.

Żyli razem aż do śmierci Paula. W tym czasie Moïsette zrezygnowała ze zdobycia partnera i z uporem kierowała porywy namiętności na grę. Z wyrachowaną przezornością, która ją cechowała, nie narażała się na ryzyko finansowe, ograniczając swe inwestycje do loterii i do zdrapek. Obstawiała co tydzień, z mocno bijącym sercem w ciągu godzin poprzedzających losowanie, bliska zawału w jego trakcie i potwornie rozczarowana po nim. Nazajutrz wstawiała pełna werwy: następnym razem się uda. Chociaż trafiała rzadko, nigdy nie traciła nadziei na zgarnięcie wielkiej wygranej.

„Przecież – myślała – istniała niewielka szansa, że będę miała siostrę

bliźniaczkę, jak 1 do 250, a jednak ją mam. To znaczy, że mam szansę wygrać na loterii, jak 1 do 19 068 840, zwłaszcza jeśli będę często grała”. Jak fetyszystka przechowywała w worku wszystkie kupony loterii i nierzadko sięgała do swego archiwum, żeby się przekonać, czy w jakimś innym momencie nie skreśliła kombinacji zwycięskiej w danym tygodniu. Choć było to próżne i nudne zajęcie, strasznie ją absorbowало.

Gdy poinformowano Lily, zbliżającą się wówczas do sześćdziesiątki, że jej mąż właśnie zmarł na zawał serca na korcie tenisowym, załamała się. Umieszczono ją w szpitalu w stanie zagrażającym życiu i obawiano się, żeby śladem męża nie trafiła do grobu.

Jakże niezwykle okazał się pogrzeb Paula Denisa! Zjawili się na nim wszyscy przedstawiciele lyońskiego świata przemysłu, finansów i handlu, bo Paul był obrońcą w bardzo wielu sprawach, i bardzo wiele wygrał. Na cmentarzu zgromadziło się pięćset osób, z wyjątkiem wdowy po nim, poddanej intubacji na oddziale reanimacyjnym, podczas gdy nad trumną stał jej idealny sobowtór. Wraz z upływem czasu, znużeniem, zmarszczkami bliźniaczki ponownie upodobniły się z wyglądu, odzyskując wzorcową jedność z ich dzieciństwa, potrzeba było zatem niezwyklego taktu współpracowników Paula, by odwieść uczestników pogrzebu od składania kondolencji Moïsette.

Moïsette mieszkała wtedy sama w ogromnym domu rodziców – zmarłych dziesięć lat wcześniej – który z trudem utrzymywała, bo jej skromna pensja urzędniczki gminnej, uszczuplona przez wydatki na grę, pokrywała jedynie jej podstawowe potrzeby. Zdumiona, że siostra za jednym zamachem straciła wszystko – męża i zdrowie – nabrała zwyczaju przychodzenia do szpitala, żeby przy niej czuwać. Siedząc u jej wezglowia, przed tym niemym ciałem utrzymywanym w śpiączce farmakologicznej, czuła się żywa, silna, uprzywilejowana. Niemoc siostry przynosiła jej całkowitą satysfakcję.

Lily długo trwała na granicy życia i śmierci, a gdy w końcu odzyskała przytomność, zobaczyła, że czuwa przy niej siostra bliźniaczka. Podziękowała jej za to wylewnie, kiedy już mogła mówić, a gdy postawiono

ją na nogi, zaproponowała, że po wyjściu ze szpitala zamieszka razem z siostrą w ich domu rodzinnym.

Ta perspektywa zachwyciła Moïsette. Wreszcie nie będzie się martwiła o pieniądze! Wreszcie będzie miała z kim dzielić niewdzięczne prace! Wreszcie nie będzie się podrywała z przerażenia, gdy wśród ścian rozlegnie się jakieś skrzypnięcie. Wreszcie przestanie liczyć tylko na wygraną na loterii: będzie grała dla czystej przyjemności, nie dla pieniędzy. W dodatku, gdy szepnęła sąsiadom słówko o tej decyzji, zgodnie ją pochwalili: „Cóż to za godne podziwu oddanie, Moïsette! Podnosić siostrę na duchu! Zająć się rekonwalescentką! Nie pozwolić jej umrzeć w samotności! Ustrzec ją przed depresją! Ależ ta Lily ma szczęście! Jaki to fart urodzić się bliźniaczką!”.

Moïsette, której schlebiały te słowa, doszła do wniosku, że w oczach innych bierze na siebie szlachetną rolę.

Siostry zamieszkały razem. Lily sprzedała nowoczesną willę, która przypominała jej szczęśliwe lata z Paulem, zreorganizowała swój portfel i zapewniła im obu komfort materialny.

Wydawało się, że nastał czas idylli.

Niestety w wiosce, z tych samych powodów co niegdyś, zaczęto mówić „bliźniaczki Barbarin”, „Lily” i „ta druga”. W mgnieniu oka Moïsette wróciła do nawyków z przeszłości, wychwytywała szczegóły świadczące o tym, że bardziej liczą się z Lily niż z nią, zapamiętywała słowa, które ją upokarzały. W odwecie, z małostkową sumiennością, starała się zatruć codzienność Lily: przesalać jej jedzenie, przeznaczać dla niej czerstwy chleb, zapominać, na jakie pokarmy siostra ma alergię, unikać potraw, które chwali, gubić jej pocztę, nie zawiadamiać jej o telefonach, rozbijać jej bibeloty, zatrzymywać dla siebie przynoszone dla niej upominki, mylić program podczas prania jej ubrań, żeby się kurczyły lub odbarwiały, źle je przypinać na suszarce w ogrodzie, gdy wiał wiatr... Niczym skąpiec, który szuka tysiąca okazji do radości, wydając mniej, spędzała całe dni jedynie na wymyślaniu świństw i złośliwości.

Wyniosła Lily wzruszała ramionami i jej wybaczała.

Im bardziej wybaczała, tym bardziej Moïsette była wściekła. „Czy kiedyś wreszcie przestanie brylować? Czy da sobie spokój z dręczeniem mnie swoją pobłażliwością? Tak, tak, wszyscy dobrze wiedzą, że mnie kocha! Ale ja jej odbiorę na to ochotę. Już ja jej odbiorę ochotę na górowanie nade mną. To trwa osiemdziesiąt lat... Nigdy się nie prosiłam o siostrę. A tym bardziej o bliźniaczkę. Zaatakowano mnie przy narodzinach. Gorzej, nawet przed narodzinami. Dwie to o jedną za dużo. A ona stale się przede mną pyszni. Coraz bardziej. Jest coraz miłsza. Coraz rozmowniejsza. Coraz inteligentniejsza. Coraz zdolniejsza. Coraz cierpliwsza. Coraz uprzejmiejsza. Bardziej i bardziej! Jedyne, co jej się nie udało, to być ładniejszą: jesteśmy takie same! Dwie to o jedną za dużo. Doprowadzę ją do ostateczności. Zmuszę ją, żeby mnie znienawidziła. Dowie się, jak to jest!”

*

Proces dobiegł końca. Lily Barbarin opuściła gmach sądu uniewinniona.

Fabien Gerbier przestał się złościć. Coś mu umknęło – i umknęło również sędziemu. To niewiarygodne, żeby Moïsette straciła równowagę obok studni. Znała ją przecież od dzieciństwa, a była osobą ostrożną, paranoiczką, która miała się na baczności przed wszystkim i wszystkimi. Z całą pewnością sama się nie potknęła przez przypadek: albo Lily ją popchnęła, albo Lily powiedziała coś, co ją wyprowadziło z równowagi.

Po powrocie do Saint-Sorlin doznał olśnienia. Oczywiście! Oto trop, który należało zbadać: znaleźć postępek Moïsette, który spowodował użycie siły przez Lily. „Ależ z ciebie dureń! Czemu wcześniej na to nie wpadłeś? Tu tkwi rozwiązanie. Moïsette przekroczyła pewną granicę i Lily ją ukarała”.

Codziennie zastanawiał się nad tym, co się liczyło dla Lily. Pieniądze? Nie skarżyła się, gdy ich nie miała, i rozdawała je, odkąd nimi dysponowała. Dom? Doprowadzając go do ruiny, Moïsette porywała się na dzieciństwo, na nieżyjących rodziców... Paul Denis! Oto wspomnienie, którego nie należało ruszać. Paul! Moïsette musiała go oczernić, unurzać jego pamięć w błocie,

stwierdzić, że...

Usiadł zadyszany i zaczął się pocić z emocji. To oczywiste! Moïsette zrobiła z Paulem to, co kiedyś z nim: podszyła się pod siostrę bliźniaczkę i przespała się z jej mężem. Jakby tego było mało, wyjawiała jej to.

Ocierając czoło ogromną kraciatą chustką do nosa, nie wiedział, czy słabnie z radości, z przestachu czy z odrazy.

Lily! Sześćdziesiąt lat wcześniej pobladła, gdy w Lyonie, na swym wąskim łóżku nastolatka powiedział jej, że Moïsette zdradziła ją z nim. Potem wróciła do siebie, żeby targnąć się na własne życie. Tym razem po otrzymaniu ciosu również targnęła się na życie, tyle że na życie siostry. Taka była korzyść z dojrzałości: człowiek bierze się za winnych, nie za siebie.

Rozprostował nogi i uspokoił oddech.

W gruncie rzeczy jej nie potępiał. Miała rację, że się zemściła. Zresztą nie pomściła jedynie siebie, pomściła Paula, a nawet pomściła jego.

Dzielna Lily! Na szczęście jej proces zakończył się umorzeniem sprawy, więc zbrodnia pozostanie tajemnicą. Teraz tylko on, Fabien, o niej wiedział, ale nigdy jej nie wyjawiał, bo ją popierał. Więcej, pochwalał ją.

Na tydzień zaszył się w swoim warsztacie i nie śmiał z niego wychynąć, gdy Lily Barbarin przechodziła ulicą. Czuł wszakże wewnętrzną potrzebę, by wypaść na zewnątrz, oznajmić jej, że zrozumiał, że usprawiedliwia jej czyn, że pozostanie jej współnikiem do końca świata. Powstrzymywała go jednak nieśmiałość. No i co pomyśleliby sobie mieszkańcy wioski, gdyby podszedł do Lily? Wszyscy uważali, że zachował się napastliwie, w sposób nielojalny.

Medytował. Powinien wszystko jej powiedzieć, pojednać się z nią, skoro Moïsette, ta zaraza, odeszła, zmniejszyć brzemię poczucia winy, uznając słuszność zbrodni.

Wróciło do niego odległe wspomnienie. Otóż wspinając się na dach pralni, można było przejść dziesięć metrów po belce i dotrzeć do muru, który okalał ogród państwa Barbarin. Stamtąd, dzięki bluszczowi, zdołałby się do

niego dostać i zaczekać dyskretnie na Lily, żeby z nią pomówić.

W niedzielę, gdy już dzwony zgromadziły wiernych w kościele, skorzystał z panującego we wsi spokoju podczas nabożeństwa i przystąpił do realizacji swego planu.

To ćwiczenie dowiodło mu, że jego ciało zmieniło się z biegiem lat, bo wspomnienie owej drogi pokonanej z łatwością, gdy miał osiemnaście lat, przyćmiła zadyszka wywołana wysiłkiem i częstym przystawaniem.

Mimo to dotarł do muru, zszedł z niego, przytrzymując się pędów bluszczu, a następnie stanął nieruchomo w głębi ogrodu.

„Jeśli wejdę do domu, wystraszy się. Wolę cierpliwie poczekać tu, gdzie jestem dobrze widoczny”.

Obszedł ogród dookoła. Obok drewna na opał, nieopodal feralnej studni, klatki na króliki i zagroda dla kur świadczyły o tym, że kiedyś hodowano tu zwierzęta przeznaczone do bieżącej konsumpcji.

Po godzinie, znużony wyczekiwaniem, schował się do cienia, pod niewielki drewniany daszek, który osłaniał klatki, i usiadł na wyschniętej słomie.

Były tam jakieś worki, które zajmowały dwa czy trzy metry sześciennie, jednak nie z płótna, jak można się było spodziewać w tak dawno nieużywanym miejscu, lecz plastikowe. Zaciekawiony Fabien pchnął zasuwkę, otworzył okratowane drzwiczki i wyciągnął jeden z nich.

– Co to...

Wewnątrz znajdowały się setki kuponów loterii. Po ich wyblaknięciu można się było domyślić, że zostały wydrukowane dziesiątki lat wcześniej.

„Ciekawe... Zachowała kolekcję Moïsette. Wydawało mi się, że pozbyła się jej rzeczy, jej ubrań...” Przypomniawszy sobie dwukólkę należącą do Towarzyszy z Emaus, miejscowej organizacji charytatywnej, wiozącej kufry z sukniami, płaszczami, lampami, bibelotami.

W ciągu kilku sekund sprawdził zawartość innych worków: to samo. Całe lata gry zostały zdeponowane tam, w królikarni, w głębi ogrodu. Zmarszczył brwi i spragniony, wciąż trzymając w ręku jeden z worków, powlókł się do studni, żeby się orzeźwić.

Gdy wyciągał z głębin wiadro z zimną wodą, przypomniał mu się pewien obraz: podróż Lily. W każdą środę udawała się do Montalieu na grób Moïsette, a potem zatrzymywała się w Le Bons Vivants, w bistro przylegającym do cmentarza. Ów szczegół zaintrygował wtedy Fabiena, który w Saint-Sorlin nigdy nie widział, żeby Lily wchodziła do jakiejś kawiarni, ale wytłumaczył sobie ten postój zmęczeniem drogą. Rzecz w tym, że w bistro nie sprzedawano jedynie napojów i wyrobów tytoniowych. Sprzedawano losy.

Siedząc na kamiennym brzegu studni, zwinnym ruchem poszukał w worku kuponu loterii niewyblakłego, o świeżych kolorach. Wyjął jeden, włożył okulary i przyjrzał mu się. Z ust wyrwał mu się okrzyk: kupon nosił datę sprzed dwóch tygodni.

W tym momencie zwrócił się do niego czyjś głos:

– Co ty tu robisz?

Widząc Lily, zakłopotany Fabien wybąkał:

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Czy nie dość mi już napsułeś krwi?

– Wybacz mi, Lily, nie zrozumiałem.

– Czego nie rozumiałeś?

Jej głos stał się szorstki.

Fabien już miał przedstawić Lily to, co roztrząsał od wielu dni, gdy zerknął na wyjęty właśnie z worka kupon loterii, który trzymał między kciukiem a palcem wskazującym... Nagle pojął, do kogo się zwraca.

– Moïse...? – wyszeptał, podnosząc wzrok.

Ledwie miał czas zobaczyć, jak polano spada mu na głowę. Zachwiał się i jego ciało runęło dziesięć metrów w dół, na dno studni.

Mademoiselle Butterfly

Sytuacja była poważna. Rozpoczęło się nieuchronne odliczanie wstecz. Choć większość z dziesięciu mężczyzn jeszcze nie wiedziała, jakie niebezpieczeństwo wisi w powietrzu, wszyscy rozumieli, że nie wzywa się o północy dyrektorów banku, jeśli nie grozi mu katastrofa. Opuścili w pośpiechu a to przedstawienie, a to kolację, a to wieczorne spotkanie z rodziną, a to łóżko, żeby przybiec na zebranie kryzysowe.

William Golden, w posępnym nastroju, zasiadał na honorowym miejscu u szczytu stołu. Swoim zwyczajem okopał się w mroku, niewyraźny, potężny, imponujący, podczas gdy na członków zarządu, niczym na oskarżonych, padało światło z reflektorów punktowych umieszczonych na suficie. Pozbawiona okien sala mieszcząca się w ośrodku matematycznym gmachu Tour Golden, zamknięta ciężkimi opancerzonymi drzwiami, zmieniałaby się w blokhauz, gdyby nie to, że boazerie, markietaze, złocenia i imponujące obrazy podnosiły ją do rangi luksusowego salonu.

Na mahoniowym blacie, zmienionym przez politurę w lustro, prezentowała się gościom srebrna taca zaopatrzona w mnóstwo butelek – burbon, porto, martini, koniak – i kieliszki z rżniętego szkła. Żadna ręka nie wyciągnęła się w jej stronę. Choć kurczyły się żołądki i zasychało w ustach, nikt nie odważył się pić. Wszystkich paraliżowała przyzwoitość zmieszana z niepokojem.

– Iloma godzinami dysponujemy? – zapytał Stanowski, dyrektor inwestycyjny.

Głowy odwróciły się w stronę zaciemnionego miejsca, gdzie zasiadał William Golden, właściciel banku. Nie odezwał się ani słowem. Choć czas naglił, zależało mu, by pozostać panem sytuacji.

William Golden władał zarządem w milczeniu. Nie widząc go ani nie słysząc, mężczyźni wyczuwali jego gniew.

Paul Arnoux, dyrektor naczelny, wypowiedział się zamiast niego:

– Zjawią się tu o szóstej.

Napięcie wzrosło. Paul Arnoux mówił dalej:

– Poufny telefon, który musi pozostać tajemnicą, uprzedził pana Goldenę, że sprawą zajął się wymiar sprawiedliwości, a brygada finansowa wkroczy do akcji o świcie.

– Telefon z Pałacu Elizejskiego? – zapytał dyrektor handlowy.

Z mrocznej dziury ulotniło się obrzydzenie wydzielające pogardę. Oczywiście, że ostrzeżenie pochodziło z pałacu prezydenckiego, jeśli nie od samego prezydenta... Za kogo oni brali Williama Goldenę? Czyżby zapominali, że utrzymuje stosunki ze wszystkimi, którzy się liczą? Miał przyjaciół na każdym szczeblu, często dłużników, którzy, gdy przyjdzie czas, podziękują mu za oddane przysługi...

Błysnęła iskra. William Golden zapalił cygaro i w czerwonym blasku zapalki dało się dostrzec jego wyraźne, szlachetne rysy, jego zadziwiająco niewzruszoną twarz. W żadnych okolicznościach, także tej nocy, nie tracił panowania nad sobą. Zaciągnął się dymem tak, jakby pił nektar, z lubością zatrzymał go w płucach, a potem delikatnie uwolnił przez zaokrąglone usta. Kółko uniosło się powoli, opieszale, apatycznie, jakby z żalem się z nim rozstawało.

– Podsumujmy, co wiadomo o tej sprawie – zaczął spiżowym głosem. – Trzy lata temu mój syn utworzył w ramach banku, równoległe do naszej tradycyjnej działalności, fundusz inwestycyjny FIGR – Fundusz Inwestycyjny Golden Ryzyko. Zwracając się do firm, które z nami współpracują, czy też do zamożnych osób prywatnych, których portfelami zarządzamy, przekonał niektórych, żeby powierzyli mu pewne kwoty i obiecał im stopę zwrotu w wysokości piętnastu procent. Pomimo niepewności rynkowej i kryzysu,

który dotyka obecnie gospodarkę, dotrzymał słowa. Jego zadowoleni klienci otrzymali obiecane odsetki. W rezultacie większość wpłaciła poważniejsze sumy i zachęciła do tego przyjaciół. FIGR odnotował zatem dynamiczny wzrost. Dziś obraca trzema miliardami.

Odłożył cygaro na popielniczkę z czarnego turmalinu.

– Wniesiono skargę przeciwko FIGR, zgłaszając oszustwo: ani jedno euro wpłacone do funduszu w celu zainwestowania zainwestowane nie zostało. W skardze zakłada się, że pieniądze zniknęły w rajach podatkowych. Twierdzi się również, że ci, którzy zażądali zwrotu środków, kapitału lub odsetek, zostali spłaceni przez nowe osoby inwestujące w fundusz. Krótko mówiąc, skarga wywołuje widmo szwindlu, zresztą dość pospolitego, to znaczy schematu Ponziego, czyli piramidy finansowej, a więc tego rodzaju mistyfikacji, za którą ostatnio posłano Bernarda Madoffa do więzienia na sto pięćdziesiąt lat.

Ponownie wziął do ręki cygaro i spojrzał na jego końcówkę, która spalała się, rozżarzona na pomarańczowo niczym palenisko w kuźni.

– Pierwsze pytanie, które się narzuca, brzmi: czy oskarżenie jest uzasadnione?

Po sali przeszedł szmer. Padały słowa: „wstyd”, „skandal”, „ukartowana intryga”, „konkurencja”, „zmowa”, „spisek”.

William Golden stuknął palcem wskazującym w stół.

– Od razu wam przerwę, panowie. Nie ma sensu, byście tracili energię na gesty oburzenia: oskarżenie jest uzasadnione.

Wskazał zieloną teczkę po swojej lewej stronie.

– W ciągu kilku godzin przekonaliśmy się, Paul i ja, że zaprzeczanie nie będzie właściwą reakcją. Gdy tylko ktoś, wiedziony podejrzeniami, zagłębi się w tajniki wpłat, odkryje dwuznaczne posunięcia. Nie mieliśmy dość czasu na dochodzenie, jedynie na odkrycie tropów. To przykre, lecz nie ulega najmniejszej wątpliwości, że mój syn zbudował oszukańczy system.

– Dlaczego nie ma go z nami? – zaskrzeczał Stanowski, dyrektor finansowy.

William Golden zagłębił się w fotelu, nie potrafiąc powstrzymać uśmiechu.

– Dobre pytanie, Stanowski.

Zaciągnął się kilka razy cygarem, nie kwapiąc się do rozwinięcia tematu. Stanowski się zniecierpliwił:

– Pozwolę sobie nalegać, panie Golden, i powtórzyć pytanie: dlaczego nie ma tu pańskiego syna?

– Chciałem się przekonać, kto pierwszy mnie o to zapyta.

– Słucham?

William Golden pochylił się, a jego szerokie ramiona podkreślały wojowniczą minę.

– Chciałem wiedzieć, kto zareaguje pierwszy, kto wskaże mojego syna jako jedyne odpowiedzialnego. Dziękuję, że się pan zdradził, Stanowski.

– Co? Bynajmniej. Ja...

William Golden rozpląszczył dłoń na stole, nakazując milczenie.

– FIGR nie funkcjonował bez współników, partnerów w tym oszustwie, którzy je ukrywali i którzy czerpali z niego korzyści.

Jego usta wykrzywił grymas obrzydzenia. Po kolei mierzył wzrokiem obecnych.

– Zgodnie z przeprowadzoną przeze mnie analizą wystarczyły trzy poziomy. Jeśli mój syn nie zdawał sobie z tego sprawy, pan mu to wyjaśnił, pan, Stanowski. Ukrycie afery zarówno przed Paulem, jak i przede mną wymagało dwóch zdrajców w naszym najwyższym gremium... Dupont-Morelli... i Pluchard.

Wskazał ich palcem.

– Nieprawdaż, panowie?

Obaj mężczyźni zgięli karki.

– Dziękuję, że nie zaprzeczacie. Czas nagli.

William zwrócił się do pozostałych członków zarządu:

– Otóż to, panowie. Jest tu siedem osób uczciwych i trzech łajdaków w białych kołnierzykach.

Stanowski zeszywniał, słysząc tę zniewagę.

– Zabrakło tu pańskiego syna!

– Tak, zabrakło mojego syna.

– To od niego wszystko się zaczęło.

– Wszystko się zaczęło. Niech pan nie obwieszcza tego zbyt głośno, bo jeśli będzie się pan przy tym upierał, dojdę do wniosku, że się pan nim posłużył.

Stanowski skamieniał. Inni wpatrywali się w niego. Spuścił wzrok, nie potrafiąc znieść niewidzianych dotąd spojrzeń, jakie mu rzucono. Niczym wąż, który kąsa w chwili, gdy uznaje się go za martwego, wykrzyknął z wściekłością:

– Po co nas pan wezwał? Wyręcza pan policję? Wymiar sprawiedliwości? Kary też pan wymierza?

William Golden doceniał opór dyrektora, jego odwagę, jego przebojowość, te same cechy, które wiele lat wcześniej skłoniły go do zaangażowania Stanowskiego.

– Zgromadziłem was, żeby znaleźć odpowiedź na pytanie, które mnie prześladowa: co robić?

Wyprostował swe wysokie ciało, nadal wysmukłe, ponownie wziął do ręki zieloną teczkę i przyjrzał się uważnie dziesięciu mężczyznom.

– Co robić? Nie będziemy czekać z założonymi rękami niczym skazani na

śmierć, aż pojawi się brygada, przeprowadzi rewizję, skonfiskuje komputery i dokumenty. Musimy działać, walczyć, ingerować jak najskuteczniej w bieg spraw.

Obdarzony niezrównaną pewnością siebie, przemawiał żarliwie, lecz się nie rozpalał. Podszedł do drzwi w głębi, które prowadziły do jego gabinetu. Zatrzymał się na progu.

– Daję wam godzinę do namysłu. Dostaniecie wodę i kanapki. Co do mnie, muszę się skupić, potem do was dołączę.

Pchnął drzwi, ale nagle poczuł wyrzuty sumienia:

– Zechciejcie mi wybaczyć, panowie. Zostawiam tu osoby uczciwe w towarzystwie krętaczy. Co więcej, proszę was, żebyście współpracowali. To obraża waszą przyzwoitość, przyznaję, ale uczciwość nie ma monopolu na rozsądek. Do zobaczenia.

Starannie zamknął za sobą pikowane drzwi, bo nie chciał słyszeć gwałtownych reakcji zebranych, a następnie usiadł w fotelu pokrytym ciemnoczerwoną skórą.

Z kieszeni kamizelki wyjął zegarek z dewizką, otworzył pokrywę i przyjrzał się zdjęciu, które zdobiło jej wewnętrzną stronę. Westchnął, zasięgając rąk na twarz z fotografii:

– Jaka byłaby twoja decyzja?

Portret się uśmiechał.

*

Nazywano ich „Orłami”, a oni wierzyli, że nimi są.

Byli młodzi, hardzi, zapalczywi, sprawni, zarozumiali, i tworzyli klan, którego przywództwo, spontanicznie, objął William. Ramię w ramię tych sześciu chłopaków, zachwyconych i zblazowanych w tej samej chwili, łączywie poznawało życie.

– Pękasz czy nie pękasz?

– Nie pękam!

William, z obnażonym torsem, przebiegł błyskawicznie po drewnianym pomoście, odbił się mocno i rzucił w otchłań, zatykając sobie ręką nos. Tafla jeziora wymierzyła jego ciało policzek, chłód je pochłonął. Oszołomiony, szamotał się w wodzie, żeby jak najprędzej wypłynąć na powierzchnię, wynurzył głowę z fal, zaczerpnął powietrza i, zadowolony, że mu się udało, zmienił okrzyk bólu w ryk triumfu:

– Uuaa!

Żeby zapanować nad dreszczami, popłynął pośpiesznie w stronę brzegu, usiłując się rozgrzać stylowym kraulem i ryzykując, że się udusi... Przede wszystkim nigdy nie wolno okazać najmniejszej słabości. Szpanować. Być pewnym siebie. Jego gesty były skierowane do paczki, której szefem chciał pozostać. Wyskoczył z wody, przesadnie rozradowany, żeby nie zauważono, że się trzęsie, i ryknął, wyżymając dół kąpielówek:

– Niesamowite!

– Nie jest za zimna?

– Wcale nie. Wasza kolej, chłopaki!

Chłopcy spojrzeli po sobie zakłopotani, niezdecydowani, zbici z tropu, William zaś pogratulował sobie, że odwrócił ich uwagę, bo dzwonił zębami. Woda w górskim jeziorze była lodowata również w lecie, zwłaszcza gdy wskakiwało się do niej po dniu spędzonym na słońcu. Prawdę mówiąc, rzucając się w toń, William obawiał się szoku termicznego i w tej krótkiej chwili, kiedy zawisł w powietrzu, nawet szykował się na śmierć. Rzecz w tym, że kierowało nim coś silniejszego niż rozsądek, pragnienie panowania, panowania nad sobą, panowania nad grupą, panowania nad światem. Był orłem wśród Orłów.

Poprzez każde wyzwanie William tyleż służył grupie, co się nią posługiwał. Pociągało go to, co wyjątkowe, i rozmyślnie wystawiał się na niebezpieczeństwo. Upojony swym młodym ciałem, siłą, którą w nim

odkrywał, poddawał je próbie, jeżdżąc na nartach, na rowerze, na motorze, samochodem – choć oczywiście bez prawa jazdy – i kolekcjonował nedorzeczne zakłady. Na słowa „nie pękam” zastrzyk adrenaliny przepełniał go radością, radością, którą podwajała zapowiedź wielkiej przyjemności.

Jego towarzysze przystąpili do układania koszul i spodni na brzegu. Nie robili tego z taką samą odwagą jak on. Nic dziwnego, brakowało im pasji.

William musiał się wykazywać bardziej niż inni, bo otrzymał mniej niż oni. Tych pięciu siedemnastolatków należało do bardzo zamożnych rodzin, byli milionerami z liceum Louis-le-Grand. Ich ojcowie kierowali w Paryżu znanymi spółkami, podczas gdy ojciec Williama uczył ekonomii na uniwersytecie Dauphine. Chociaż ta profesja nie uwłaczała jego synowi, zarobki pozwalały rodzinie tylko na skromny tryb życia, co wykluczało chłopca z grona Orłów. William został do niego przyjęty dzięki swemu wujowi Samuelowi Goldenowi, który wzbogaciwszy się na operacjach giełdowych, założył prywatny bank. Z tej okazji tak dużo mówiło się o nim w mediach, że odprysk sławy Samuela spadł na jego bratanka Williama i sprawił, że spadkobiercy fortun darzyli go sympatią.

– Pękacie czy nie pękacie? – wykrzyknął William.

– Nie pękamy! – odpowiedziało słabym głosem pięciu chłopców.

Żaden się nie ruszył. Wahali się.

Ciesząc się ze swej przewagi nad nimi, William dostrzegł okazję, żeby ją umocnić, więc oznajmił:

– Uwaga, znacie zasadę: jeśli nie skoczy się w ciągu trzydziestu sekund, nie skoczy się nigdy.

Przytaknęli, drepcząc w miejscu, ale nie podeszli bliżej.

William wrzasnął:

– Banzai!

Pchany energią własnego okrzyku, ponownie popędził po deskach.

Chłopcy, bez zastanowienia, porwani jego przykładem, wrzeszcząc, dotrzymani mu kroku i znaleźli się w głębinach jeziora.

Gdy wypłynęli na powierzchnię, śmiali się wesoło, posyłając Williamowi triumfalne, pełne wdzięczności uśmiechy: to on raz jeszcze skłonił ich, by przeszli samych siebie. Bez wątpienia był ich przywódcą.

Później chłopcy ścigali się wzdłuż brzegu, żeby szybciej wyschnąć, a następnie, już ubrani, z mokrymi kąpielówkami w ręku, ruszyli pod górę w stronę domu.

Spędzali sierpień w Alpach. Ojciec Paula Arnoux, który miał wspaniałą górski domek na zboczu w Cluzet, oddał go do dyspozycji syna i jego kolegów. Co za gratka! Chociaż domem zajmowała się para służących – żona kuchnią, mąż pozostałymi pracami – chłopcy, uwolnieni od rodziców, którym musieliby się tłumaczyć, mieli poczucie ogromnej swobody. Organizowali sobie czas według własnego widzimisię, a raczej nie organizowali go wcale, ulegając zachciankom, natchnieniu, improwizacji.

Gdy wspinali się ścieżką biegnącą wśród traw pożółkłych od sierpniowego skwaru, dostrzegli w górze młodą dziewczynę, która podskakiwała w towarzystwie kozy i psa o rozczochranej sierści.

– Jest i Głuptaska!

Roześmiali się. William zadrżał.

Od dwóch tygodni przezwisko Głuptaska oznaczało dziewczynę, która teraz odcinała się na tle górskiego grzbietu, lekka, radosna, kipiąca energią w harmonii z naturą. Czy była ładna? Przede wszystkim promienna. Poza tym, w miarę zbliżania się do niej, odkrywało się jej doskonałe ciało, entuzjastyczne i nieskończenie zmysłowe, gotowe służyć. Poniżej ognistych włosów prezentowała się gładka, naprężona skóra. W końcu, z bliska zachwycaly szczegóły, piegi na policzkach, delikatny meszek na białym karku.

Niestety, dziewczyna była upośledzona umysłowo. Mówiono, że podczas

porodu pępowina owinęła się wokół jej szyi, dusząc ją i powodując uszkodzenie płatów mózgowych. Późno zaczęła mówić, a szkoła przyprawiała ją o migrenę, bo czytanie, pisanie, liczenie niemal przerastały jej możliwości.

– Przymknijcie się! Jest z nią ojciec Zian.

Za dzikuską podążała kołysząca się postać.

Głuptaska, która w rzeczywistości miała na imię Mandine, mieszkała sama, tylko ze swoim starym ojcem. Ojciec Zian, kościsty, chudy mężczyzna, wątlejszy niż pęd winorośli, nosił wąsy kojarzące się z rozwścieczonym kotem i mówił mniej niż jego zwierzęta. Był nieufny, podejrzliwy, a zarost miał równie biały, jak czarne miał oczy. Utykał, wykazując całkowitą obojętność wobec swej ułomności, jakby utykanie było normalnym sposobem chodzenia.

Mandine wirowała między kozą a psem. Im bardziej się myślało o słabości jej umysłu, tym lepiej zauważało się, na zasadzie kontrastu, jej idealne ciało, długie nogi, wiotką talię, sprężysty krok. Była tyleż rozwinięta fizycznie, co niedorozwinięta umysłowo.

– William, nie spuszczasz oka z Głuptaski. Podoba ci się?

William drgnął, a potem odpowiedział Gilles'owi, który mu docinał.

– Żartujesz?

– Och, trzeba było widzieć twoją minę!

– Żal mi jej.

– William zostanie świętym, koledzy! Mój Boże, co uczyni Wasza Świątobliwość dla tej biednej dziewczicy o uspionym mózgu? Przeleci ją, żeby wywołać szok?

– Gilles!

– Chyba w ten sposób przywraca się rozum dziewczynom.

– Przestań chrzanić.

– Mówię poważnie: poświęć się. Kiedy się prześpisz z Głuptaską, być może przetkasz jej w ten sposób zwoje mózgowe. A poza tym tylko pomyśl, jeśli to poskutkuje, jaki będzie postęp w nauce...

William rzucił się na Gillesa, zaklinał mu szyję między swymi ramionami i udawał, że go dusi, tamten zaś symulował, że brak mu powietrza. Zaczęli się mocować.

Czterej koledzy natychmiast wybrali sobie faworyta i zaczęli go dopingować. W głowach zaszumiało, napięcie wzrosło i w końcu wszyscy wzięli się za łby, okładali się pięściami, szarpali się nawzajem, przygniatali się do ziemi i tarzali się w zaroślach. Po kilku sekundach zapomnieli, o co im poszło, wystarczała sama przyjemność z bijatyki, jak u szczeniąt, które pokazują kły, nigdy się nie gryząc.

Wyczerpani, ogłosili koniec walki i wyciągnąwszy się w trawie, z twarzami zwróconymi w stronę błękitu, łapali oddech.

W dole Mandine, ojciec Zian, koza i pies zapuszczali się w wysokopienny las świerkowy. Rude włosy dziewczyny rozjaśniały półmrok i widać było już tylko ten czerwony blask.

William przyglądał się jej, aż zniknęła.

W gruncie rzeczy całe szczęście, że Mandine była opóźniona w rozwoju! W przeciwnym wypadku Orły straciłyby dla niej głowę. W obliczu jej urody chłopcy, zmuszeni zachowywać się jak mężczyźni, cierpieliby katusze. To normalne, że by ich poróżniła. Tak, uniknęli niebezpieczeństwa. Chwilowo pozostali zjednoczeni, zakochani w swojej grupie i panującej w niej harmonii, wierniejsi jedni drugim niż jakiegś narzeczonej. Elementem ich męskiej przyjaźni był strach przed kobietami, kobietami, które na nich czyhają, kobietami, które niebawem ich rozdziela, kobietami, które zmuszą ich do definitywnego pożegnania się z dzieciństwem. Wakacje przybrały jesienne barwy ostatniej chwili wytchnienia. Trzymali się razem, bo wkrótce ciało, którego zapragną dotykać, nie będzie już pobłażliwym ciałem kolegi, lecz zgubnym ciałem kusicielki, awanturnicy z szerokich wód, syreny, która

srowadza na manowce, kobiety budzącej lęk i pożądanie. Upośledzenie Mandine dawało im poczucie bezpieczeństwa, pozwalało zwracać na nią jedynie powierzchowną uwagę, jak na dziecko. Nie liczyła się. Jej niedorozwój sprawiał, że w mniejszym stopniu była dziewczyną, a oni w mniejszym stopniu chłopakami.

Żeby się zabezpieczyć przed jej uwodzicielskim wdziękiem, podkreślali jej problemy, jej dziecinadę, jej pomyłki, opowiadali sobie o nich, powtarzali je w kółko, a niekiedy je wymyślali, choć gdy inni dostrzegali w tym przesadę, wykrzykiwali: „Przykro mi, ci nieszczęśnicy tak mają!”. Młodzieńcy starali się ją dyskredytować z ożywym okrucieństwem typowym dla swojego wieku. Woleli zatem mówić o niej „Głuptaska” niż „Mandine”, a w końcu uprzedzenia społeczne wzniosły mur obronny: wieśniaczka, która od rana do wieczora podskakiwała na alpejskich halach, nie tylko nie należała do ich klasy społecznej, kulturalnej, cywilizowanej, zamożnej, ale wręcz ledwie wykazywała ludzkie cechy. Spędzała cały czas ze zwierzętami! Za towarzyszy miała kozę i psa! Spała na słomie! Kładła się z kurami! Wstawiała wraz z paniem koguta! Mieszkając z bydłętami, siłą rzeczy zniżala się do ich poziomu.

Orły, nasycone słońcem i padające ze zmęczenia, postanowiły, że tego wieczoru zjedzą kolację na tarasie górskiego domku.

William oparł się łokciami o balustradę i podziwiał rozciągający się w dole krajobraz, cichą wioskę wciśniętą między dwa zbocza, maleńkie poletka ograniczone kamienistymi skarpami, modrzewiowe lasy, które nabierały atramentowej barwy.

Wraz z zachodem słońca dolina pokryła się cieniem melancholii. W miarę jak znikало światło, pojawiały się zapachy, które, dotąd powstrzymywane, czekały do zmierzchu, by się ujawnić: żywica, paprocie, grzyby, konające kwiaty... Tłumiona przez cały dzień wilgoć mściła się i poruszała chłopców. W mięśniach, na skórze, czuli ochotę na coś innego niż biegi, zawody, wyzwania, bijatyki. Przepojeni przyrodą, która stawała się kobieca i wilgotna, wbrew sobie wzdychali tęsknie i marzyli o delikatności, pobudzani głosem,

którego nie potrafili jeszcze nazwać.

Gilles podał Williamowi kieliszek, a potem delektował się zawartością swojego u boku kolegi.

– Wcale nie żartowałem: pożerałeś Głuptaskę wzrokiem.

– Też coś...

– Podoba ci się.

– Wszystkim się podoba, dopóki nie otworzy ust. Wobec tego...

– Przecież nie sypia się z mózgiem.

– Są pewne granice... Wyobrażasz sobie, żebym ja kochał się z dziewczyną, która nigdy nie przeczytała książki, która ma słownictwo uboższe niż pies, której najlepszą kumpelką jest koza? Co byśmy sobie wcześniej powiedzieli? O czym byśmy rozmawiali potem? Litości! Nie podrywam upośledzonych. Przy szurniętej nawet by mi nie stanął.

– Racja, mnie też nie! – przyznał Gilles.

Zamoczyli wargi w mocnym winie o smaku trufli uzyskanym z winogron mondeuse. Próbując wyglądać na dorosłych, nabierali płynu do ust, a potem go wypluwali.

Na ścieżce, która wiła się chaotycznie, stado krów wracało do obory, głośno dzwoniąc wszystkimi dzwonkami. Niebo przygasło.

Gilles wykrzyknął:

– Pękasz?

– Słucham?

– Pękasz czy nie pękasz?

– O czym ty mówisz?

– Prześpisz się z Głuptaską?

– Och! Odbiło ci...

– Wymiękasz!

– Zamknij mordę!

Gilles się odwrócił i podnosząc głos, wziął grupę na świadka:

– Chłopaki, William ma cykora! Rzuciłem mu wyzwanie, a on wykręca się sianem.

– Jakie wyzwanie? – zapytał Paul.

– Przespać się z Głuptaską!

Wybuchnęli śmiechem, sprośnym, zbyt sprośnym, uporczywym, nalegającym.

Obserwując strojących miny kolegów, którzy poklepywali się po udach, William poczuł przyływ pogardy. Ich przesadna wesołość świadczyła o zażenowaniu, niedojrzałości, niepokoju prawiczków drżących przy najdrobniejszej aluzji do seksu. Wydali mu się nagle żałośni, nędzni i właśnie dlatego, nieoczekiwanie dla samego siebie, odpowiedział stanowczym głosem:

– Nie pękam!

W następnym tygodniu William odłączył się od klanu, bo Orły dały mu czas na ściganie zdobyczy.

Chociaż żałował zakładu, cenił sobie te godziny, które spędzał samotnie, oficjalnie podążając tropem Głuptaski, a w rzeczywistości leżąc na plecach i obserwując chmury, odkrywając ich podobieństwo do ziemskich obiektów. Tu olbrzym grający na trąbce, tam kępka lawendy albo gruszka. Kiedy indziej wyciągał z kieszeni książkę. Od czerwca miał bzika na punkcie Jamesa Bonda, bohatera Iana Fleminga, eleganckiego szpiega skupiającego w sobie zalety, które na ogół rozkładają się na kilka osób, wytworność, przenikliwość, świetną pamięć, odwagę, zimną krew, poczucie humoru, wdzięk. James Bond, który jest dla rodzaju ludzkiego tym, czym szwajcarski nóż oficerski dla świata scyzoryków, oczarował go swą pewnością siebie. Obiecał sobie, że będzie ją naśladował.

Mandine natychmiast zauważyła Williama. Za pierwszym razem obdarowała go swym wspaniałym uśmiechem, uśmiechem niewiarygodnie hojnym, w którym oddawała się bez zahamowań. William, choć zdziwiony, odwzajemnił go bez trudu. Czy się zarumieniła? Nie przysięgłby, że tak, ale przyśpieszyła kroku, zachęcając pstryknięciem palców kozę i psa, by bezzwłocznie poszły przodem. Od tego czasu uśmiech każdego dnia trwał dłużej, a ona umykała mniej śpiesznie.

William obserwował obierane przez nią ścieżki, związane z różnymi pracami, które wykonywała. Choć wcześniej dostrzegał jedynie wolną jak ptak dzikuskę hasającą po polach, teraz wiedział, że spędza cały dzień na pracy i nigdy nie próżnuje.

Dlaczego jej nie zagadnął? Hamował się z wielu powodów. Po pierwsze, tak bardzo delectował się samotnością z dala od grupy, że nie śpieszył się z przeprowadzeniem swojej misji. Po drugie, jędrne, zdrowe, promieniejące ciało Mandine wprowadzało go w oszołomienie. No i wreszcie instynkt kłusownika podpowiadał mu, że zwierzyna płowa sama powinna do niego przyjść, by mógł ją schwytać.

Tamtego dnia lato miało władzę absolutną. Znużone południowe słońce przytłoczyło góry. Nic się nie poruszało. Nie śpiewał żaden ptak. Nie toczył się żaden kamień. Skwar był tak palący, że William schronił się w cieniu jakiegoś liściastego drzewa.

Uciekając przed paraliżującą ospałością, Mandine, eskortowana przez kozę i psa, schodziła zachodnią doliną i dostrzegła Williama u stóp dębu. Czytał.

Popędziła w jego stronę. Odgadując, że coś się wydarzy, zmuszał się do udawania skupienia i podniósł głowę dopiero w ostatniej chwili.

Zaparło mu dech w piersi.

Mandine jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie. Lśniła przed nim, ponętna niczym owoc. Źle skrojona spódnica i zbyt dopasowany fartuszek sprawiały, że jej ciało było jeszcze bardziej godne pożądania. Czerpało

wdzięk wyłącznie z samego siebie, nie z jakiejś odzieżowej sztuczki. William podziwiał jej piaskową skórę, jej mięsiste usta, jej mleczone ramiona prześwitujące przez bluzkę.

Przechyliła na bok głowę, a potem wybuchnęła śmiechem, śmiechem naturalnym, bardziej radosnym niż szyderym, upajającym.

Jej kształty – biust, biodra, uda, łydki – niepokoiły Williama, który nigdy wcześniej nie przyglądał się pulchnej kobiecie, bo moda zobowiązywała dziewczęta z jego środowiska do szczupłości. Owa krągłość wydawała mu się niestosowna, nie na miejscu, krępująca, pociągająca.

– Jestem Mandine.

– William.

To imię jej się spodobało, powtórzyła je kilka razy, ściszone głosem, przeżuwając je, smakując.

Potem usiadła obok niego.

– Skąd jesteś?

– Z Paryża.

Zafascynowana Mandine potrząsnęła głową, szepcząc w kółko „Paryż”. William nie wprawiłby jej w większy zachwyty, gdyby powiedział „z Marsa”. Gdy trwało to oszołomienie, doszedł do wniosku, że jej umysł dychawicznie nie ma informacji.

Pochyliła się i obdarzyła go niespodziewanie niszczycielskim uśmiechem, wbijając w niego orzechowe oczy. Zadrżał. W tym uśmiechu migotało tysiąc zdań: „Podobasz mi się”, „Lubię mieć cię przy sobie”, „Mam na ciebie ochotę”, „Rób, co chcesz”, „Na co czekasz?”...

Williamowi krew zaczęła szybciej krążyć, rozdymając żyły na szyi. Bał się, że pęknie.

Drżącą ręką musnął kolano Mandine. Dziewczyna zachichotała. Ręka została na kolanie. Mandine się roześmiała. Ręka pogłaskała tę jakże

delikatną skórę.

Nagle, gdy palce chłopaka wędrowały niżej, na jej udo, Mandine podskoczyła, zrobiła trzy kroki w tył i przywarła do pnia z uśmiechem. William zrozumiał, na czym polega gra. Zerwał się na równe nogi i zaczął ją gonić.

Nastąpiła zabawa w chowanego między drzewami, podczas której Mandine niemal dawała się złapać, wymykała się, zwalniała. William, bardziej niezręczny od niej, przystawał na te przekomarzanki. Wyolbrzymiał nawet swoją niezdarność, często się przewracając, żeby skłonić ją do zmysłowego gardłowego śmiechu, który go zachwycał.

Co za ulga, że można się było obyć bez języka! Nie podrywać, uciekając się do oklepanych formułek! Żegnajcie, nudne gry wstępne! Uwielbiał ten zwierzęcy pościg, figlarny, wesoły, uroczy, który przypominał tańce godowe znane wszystkim gatunkom. Nareszcie prostota!

W chwili, którą wybrała Mandine, William unieruchomił ją i poturlali się, spleceni ze sobą, w paprocie. Gdy ich twarze znalazły się naprzeciwko siebie, William delikatnie, lecz bez wahania złożył usta na jej wargach.

Doświadczył tego pocałunku jak rozkwitu kwiatu, który otwiera się pod promieniami świtu.

Odurzony, zdziwiony, wstrzymał oddech, ona zaś szepnęła z ekspresją rozmodlonej madonny:

- Więc to ty, mój ukochany?
- Na to wygląda.
- Od dawna na ciebie czekałam.
- Na mnie?
- Na mojego ukochanego.

Opuściła powieki, a William zrozumiał wiadomość między słowami: była dziewczycą.

Skrupuły go ostudziły. Czy nie posuwał się za daleko w związku z tym zakładem? Wykorzystać biedną dziewczynę, żeby zaimponować kumplom...

Dostrzegła jego wahanie.

– Nie bój się – szepnęła, znów go całując.

Tym razem nie wiedział kto, ona czy on, walczy ze strachem.

Wyzwolila się z jego objęć, wyslizgując się na bok, i w ćwierć sekundy już się wyprostowała.

– Gust! Białaska!

Żółty pies i koza podbiegły do swojej pani.

Uśmiechnęła się figlarnie do Williama.

– Do jutra.

Poczuł ulgę, że wzięła ich znajomość w swoje ręce.

– Do jutra – wyszeptał, powtarzając za nią jak echo.

Mandine zniknęła wśród wysokich drzew.

William miał od tej pory wrażenie, że żyje życiem kilku osób. Albo raczej że czerpie parę historii z własnego.

Orłom opowiadał, że robi postępy, że gdy już zdobędzie duszę Głuptaski, jej ciało wkrótce mu ulegnie. Kiedy był sam, wahał się, jak powinien postąpić: egoistycznie skorzystać ze szczęśliwego trafu czy natychmiast zrezygnować z tego niedorzecznego zakładu, przez który dręczył niewinną dziewczynę oddającą się namiętności. Przy Mandine przestawał się nad tym zastanawiać, całował jej drobne dłonie oznaczone różowymi dołeczkami u podstawy palców, głaskał rude kosmyki u nasady szyi i cierpiał na swoistą amnezję, bez oporów biorąc na siebie rolę, którą mu przypisywała: rolę ukochanego, któremu, po upływie stosownego czasu, ulegnie.

Sierpień dobiegał końca. Dni były coraz krótsze, ale nadal upalne. Chłopcy zdawali sobie sprawę, że zaraz będzie po wakacjach i w pewnym

sensie już teraz za nimi tęsknili.

William uprzedził Mandine, że zostały mu jeszcze tylko trzy wieczory. Bynajmniej nią nie manipulując, jak się przechwalał przed kolegami, pozwalał jej działać.

Po tym, jak w południe spacerowali wzdłuż szemrzącego strumyka, trzymając się za ręce, wyszeptała:

– Dziś wieczorem o dziesiątej, w stodole Cherpazów.

Zbladł, nie wiedząc, czy z radości czy z rozpacz: zanosił się zatem na to, że...

Po powrocie do domku, pragnąc zachować randkę w tajemnicy, zaszył się przed końcem wieczoru w swoim pokoju pod pretekstem bólu żołądka. Na szczęście pokój mieścił się w osobnym skrzydle. Zamknął drzwi na zasuwę, wziął prysznic, otworzył okno i wyszedł w ciemność.

Gwiazdy ochłodziły powietrze. Niecierpliwy William przewrócił się kilka razy w parowach i jamach, które znał tylko za dnia, obijał się o murki, ślizgał się na skałach, ale nie zwalniał kroku. Mimo ciemności rozpoznawał niską, przysadzistą bryłę stodoły. Dokoła las przekształcił się w posepny, wrogi szaniec. Rozgorączkowany chłopak z płonącymi policzkami dotarł do owczarni pokaleczony, czując smak krwi na języku, bo żeby ją zatamować, lizał otarcia na kolanach i nadgarstkach.

Gdy przeszedł przez niskie drzwi, oplotło go dwoje ramion i Mandine pocałowała go z niezrównaną żarliwością. Odwzajemnił pocałunek, aż poczuł zawrót głowy.

W głębi jedyne go pomieszczenia, nieopodal owiec, rozłożono na materacu czyste prześcieradło, oferując posłanie otoczone aureolą migotliwego blasku świecy.

Przyklęknęli zwróceniem twarzą do siebie.

Chłód górskich szczytów przenikał do budynku znacznie złagodzony.

Jednym ruchem rozpuściła włosy, które zapłonęły blaskiem. Potem wskazała wzrokiem olśnionemu kochankowi, że ma jej zdjąć ubranie.

Rozbierając ją, odkrył jej kształty idealnie wypełnione ciałem, jej jakże jasne piersi, ledwie zaróżowione, jej wysoko położony pępek, jej biodra, które prosiły się o pocałunki i pieszczoty.

Rozbierając jego, Mandine odkryła płaski brzuch, masywne, wystające kości, zarysowane na torsie owłosienie i członek, który domagał się jej ze wszystkich sił.

Kochali się.

Rano, gdy rosa zniknęła, tworząc opary nad doliną, William miał trudności z rozstaniem się z Mandine. Za to wieczorem nie miał żadnych trudności z wykorzystaniem tego samego fortelu, by spędzić z dziewczyną kolejną noc.

Mandine, wbrew jego przewidywaniom, okazywała niezmierną pewność siebie, jeśli chodzi o rozkosz cielesną, z którą się zapoznawała. Każdy gest, od najwstydlivszego po najzuchwalszy, wydawał mu się uzasadniony. Zachwycony William podziwiał jej wrodzoną śmiałość i przepadał za ich igraszkami. Mandine przechodziła niespodziewanie od jednego stanu do drugiego, od głębokiego snu do okrzyku „jestem głodna”, z którym rzucała się do jego stóp. Zdziwienie, żądza, radość, rozkosz, zmęczenie... wszystko to przeżywała z pełną intensywnością, jak dziecko pochłonięte chwilą.

Na ostatnią sobotę chłopcy zaplanowali imprezę, mocno zakrapianą, która miała być uroczystym pogrzebem ich bajecznych wakacji. William, który nie miał najmniejszej ochoty stracić ostatnich chwil z Mandine, wymyślił sposób na uniknięcie pijatyki:

– Dziś wieczorem, koledzy, zamykam sprawę!

– O!

Chłopcy rozdziawili usta, tym bardziej zdumieni, że w rozmowach między sobą zakładali, że William przegrał. Ten zaś poczuł potrzebę przechwałek:

- Czeka na mnie o dziesiątej.
- Gdzie?
- Nie wolno mi tego zdradzić.
- U niej? Zamierzasz posuwać Głuptaskę w jej łóżku, podczas gdy ojciec Zian będzie komentował zza przepierzenia twoje ruchy tyłkiem?
- Nie, w okolicy nie brakuje ani owczarni, ani obór... Chyba zauważyliście?

Gilles gwizdnął z podziwem.

- No to brawo, stary! Przynajmniej ty nie jesteś świętoszkiem.

Rozmyślając o cudownych chwilach dzielonych z Mandine, William miał ochotę uderzyć tego tumana. Powstrzymał się jednak i zrobił drwiącą minę.

- Zakład to zakład! Trzeba czegoś więcej, żeby mnie powstrzymać.

W następnych godzinach William zorientował się z zachowania Orłów, że odzyskał utracony prestiż, choć wcześniej tego nie zauważył, bo jego myśli krążyły gdzie indziej. Poczł w związku z tym pogardę, lecz nie potrafił powiedzieć, czy była ona wymierzona w chłopaków... czy w niego.

Mniejsza o to! Liczyła się tylko noc z Mandine. Tym razem nie musiał symulować choroby ani wspinać się na okno. Wszedł w światło latarek, oklaskiwany przez Orły, pośród komentarzy w rodzaju: „Ucałuj ode mnie Głuptaskę!”, „Powiedz nam, czy odzyska mowę zaraz po”, „Uważaj, żebyś nie złapał syfa!”, „Zostawcie dla mnie jednego szczeniaka!”...

Zacisnął zęby, wzruszył ramionami i gdy tylko znalazł się poza zasięgiem ich wzroku, puścił się biegiem do owczarni.

Ta noc okazała się równie cudowna, jak przykra. Mandine dużo płakała, tyle samo, ile się śmiała. Kilkakrotnie osiągnęli orgazm, z radością, z rozpaczą, z rozgoryczeniem. Obiecał jej wszystko, o co go poprosiła, jednocześnie szczerze i po to, żeby jej nie zasmucać. Opuścił ją przed świtem, gdy tylko zasnęła.

W pociągu, który wiozł ich z powrotem do Paryża, Orły traktowały Williama jak bohatera. Chociaż początkowo zasłaniał się zmęczeniem, żeby nie reagować zanadto na ich natrętą ciekawość, w końcu odmalował epopeję swych wyczynów, przedstawiając relację, która miała na celu zaspokoić ich pragnienie i ochronić prawdę. Chociaż był przygnębiony, wyraźnie widział w ich oczach, że triumfuje. Po upływie kilku godzin wszystko budziło w nim wstręt, ten powrót, zakład, jego przechwałki, igraszki z Mandine, reakcje kolegów. Ponieważ kilkakrotnie opowiadał im swoje wymysły i słyszał, jak je powtarza, w końcu sam w nie uwierzył, a potem przysiągł sobie, że nigdy więcej nie będzie myślał o prawdziwej Mandine, wyrzucając w nicość własne wspomnienia.

Zaczął się nowy rok szkolny, oferując wiele nowych przedmiotów i niesłychanych trudności, więc William zakładał, że zdoła zapomnieć.

Jakiś czas po rozpoczęciu nauki dostał list. Na podstawie wyglądu koperty przypuszczał, że to pomyłka: liliowy papier, turkusowy atrament, koślawe litery, narysowane serduszka i kwiatki układające się w girlandy wzdłuż krawędzi. Można by go uznać za wiadomość od dziewczynki z pierwszej klasy. Tyle że z przodu figurowały jego nazwisko i adres.

Mandine napisała do niego:

William, muj kochamy. Tensknie za tobo. Kiedy wrucisz? Koham cie. Mandine.

Wyrzucił kartkę jak najdalej od siebie. Co za wstyd! Nie tylko chciał się uwolnić od tej zbędnej osoby, debilki niepotrafiącej napisać ani jednego słowa bez błędu, lecz także odtrącał ukłucie tkliwości, którą odczuwał.

Widząc kulejącą ortografię, chwiejne pismo i kleksy, które plamiły każdą linijkę, zdał sobie sprawę, że Mandine to w istocie Głuptaska. Po takim liściku nie można już było mieć co do tego złudzeń. Głuptaska nie zasługiwała ani na jego miłość, ani na jego przyjaźń. Ani na nic. Miał wrażenie, że się pobrudził. To nie on ją splamił, lecz ona jego!

„Co mi strzeliło do głowy?”

Przypomniawszy sobie zakład i uznał, że nie doszłoby do tego romansu, gdyby nie to wyzwanie. W ciągu kilku sekund uporządkował od nowa swoje wakacyjne wspomnienia, odmalował w nich siebie jako triumfującego manipulatora – Jamesa Bonda wypełniającego misję – i zdołał przywrócić sobie status bohatera. Człowiek jest skonstruowany w taki sposób, że poczucie winy należy do przelotnych emocji, uczuciem stałym jest natomiast szacunek dla samego siebie.

Ponieważ nie odpowiedział na pierwszy list, dostał drugi:

Muj kohany. Nie dostałeś mojego listu? Boli mię brzuch, tak mi cie brak. Czekam na ciebie, Przyjeć szytko. Calusy. Mandine.

Wyrzucił wiadomość do zsypu na śmieci.

Listy przychodziły nadal, donosząc o niezmiennej miłości i związanych z nią pokusach. William czytał je, żeby wzmocnić w sobie niechęć do prowadzenia korespondencji. Punktując niezręczne zwroty dziewczyny, żeby tym bardziej nią pogardzać, w końcu zaczął uważać Głuptaskę za istotę podrzędną, żyjącą na marginesie rodzaju ludzkiego, niegodną uprzejmości i szacunku, za kogoś bez znaczenia. W sumie za zwierzę...

W listopadzie koperta zmieniła kolor. Była biała, niewyszukana, bez zwykłych serduszek i kwiatków.

Wruć. Jestem w cionży. Mandine.

William najpierw zachichotał, potem pozieleniał. Czy mówiła prawdę?

Medytował nad tym przez cały tydzień. W sobotę wymyślił jakiś pretekst, żeby usprawiedliwić przed rodzicami nieobecność w domu, wsiadł w pociąg i pojechał do Sabaudii.

Do wioski dotarł taksówką. Czuł się obco i uważnie obserwował zbocza, na których rozegrały się jego podboje. Wszystko wydawało mu się inne. Dolinę przytłaczała warstwa chmur, trawa pociemniała, niektóre pola sprawiały wrażenie wypalonych, a brunatna, wilgotna ziemia przypominała poranione, krwawiące ciało.

Nie miał żadnego planu. A raczej zaplanował kilka wersji. Wszystko będzie zależało od tego, co zastanie na miejscu.

Zbliżył się do górskiego domku Thievenazów, kryjąc się w lesie.

Gdy dotarł na odległość pięćdziesięciu metrów od budynku, zauważył starszka siedzącego przed frontem. Ojciec Zian, o skórze uwędzonej przez słońce, suchy niczym szczapa, rzeźbił scyzorykiem w kawałku drewna sosnowego.

William położył się w trawie i czekał.

Pół godziny później na horyzoncie pojawiła się Mandine, zmierzając w stronę domu.

William omal nie zemdlął: dziewczyna się zmieniła, była jeszcze piękniejsza, okazała. Zmrużył powieki i zobaczył to, w co nie chciał uwierzyć: wystający brzuch, okrągły i delikatny, po którym się głaskała. Dokoła niej swoim zwyczajem brykały koza i pies, wesole, energiczne. Ich obecność zirykowała Williama, który zdał sobie sprawę, że tylko one, koza i pies, pozostały jej wierne. Były prawdziwymi przyjaciółmi Mandine.

Bez zastanowienia wstał i pomachał do niej. Znieruchomiała. Potem jej twarz rozjaśnił promienny uśmiech, niezmiernie szczęśliwy.

William pokazał jej wtedy na migi, że muszą unikać ojca Ziana. Jakimś cudem od razu zrozumiała i nieco zmieniając trasę, skierowała się w stronę owczarni.

Gdy znaleźli się ponownie pod dachem z szarego łupka, spotkanie nie potoczyło się tak, jak sobie życzył William. Mandine z policzkami mokrymi od łez – a płakała z zachwytu – rzuciła się na niego i go pocałowała. W przeciwieństwie do tego, czego się spodziewał, nie miała mu niczego za złe. Cała frustracja, wszystkie urazy, wszystkie oskarżenia, wszystkie słuszne wymówki zniknęły: jej ukochany wrócił, uwielbiała go, jej cierpienia przestały istnieć, sprowadzały się do niecierpliwości.

William miał do czynienia ze zbyt czułym psem. Im bardziej się starał ją

odtrącić, tym bardziej nalegała, a jej ciepło, jej oddech, jej zapach, jej mleczna skóra, jej jasnorude włosy przywracały mu pamięć o ich wspólnych nocach. Nadal się bronił, nie wiedząc już, czy robi to, żeby jej dotykać, czy trzymać na dystans.

Wyciągnęli się na słomie nieco uspokojeni, i trzymając się za ręce, drżeli na widok ogromnych pajęczyn wiszących między belkami.

– Spójrz – powiedziała z dumą.

Obnażyła brzuch, chwyciła rękę Williama i przyłożyła ją do niego.

– Czujesz?

William zgodził się potrzymać dłoń na jej ciepłym pępku, a potem cofnął rękę z poważną miną.

– Musimy porozmawiać, Mandine.

– Tak.

– Ja nie chcę mieć dziecka.

– Ty...

– Nie chcę mieć dziecka.

Pokręciła głową przecząco.

– Mężczyzna plus kobieta równa się dzieci. To natura.

– Tak się dzieje, kiedy mężczyzna i kobieta postanowią się pobrać.

– Ożeń się ze mną! – rzuciła ze śmiechem, oszalała z radości.

– Wysłuchaj mnie do końca. Trzeba, żeby mężczyzna i kobieta pobrali się i założyli rodzinę. Bardzo cię kocham, ale się z tobą nie ożenię.

Twarz Mandine poszarzała, bo odpłynęła z niej cała krew. Dziewczyna wpatrywała się w niego, nie mając pewności, czy dobrze zrozumiała.

Starał się mówić łagodnym głosem, żeby osłabić szorstkość swoich słów:

– Nie ożenię się z tobą, bo mieszkam w Paryżu. Nie ożenię się z tobą, bo

jestem zbyt młody. Nie ożenię się z tobą, bo zaczynam studia, które będą długo trwały. Nie ożenię się z tobą, bo chociaż mi się podobasz, nie należysz do tego rodzaju kobiet, które powinienem poślubić.

W odróżnieniu od każdej innej dziewczyny na jej miejscu Mandine nie ripostowała. Mogła oczywiście wysuwać różne argumenty, zapewniając go, że zamieszka w Paryżu, że nigdy nie jest się zbyt młodym, żeby się kochać, że zaczeka na zakończenie jego studiów, ale kierując się instynktem, który nie bardzo ufał słowom, dostrzegła w Williamie mur wrogości chroniący martwe serce. Zamiast słuchać zdań, skupiała się na owej intuicji, intuicji, która jej ciążyła, która ją mroziła i przytłaczała.

William wyjął kopertę pełną banknotów.

– Masz, przywiozłem ci pieniądze.

– Po co?

– Żeby pokryć swoją część.

– ???

– Wiem, że to się stało przeze mnie. Te pieniądze pozwolą ci przerwać ciężę.

Niczym zarzynane zwierzę, Mandine zawyła przeraźliwie i runęła na słomę.

William, poruszony jej rozpaczą, usiłował ją pocieszać:

– Mandine... Mandine... daj spokój.

Próbował pogłaskać ją po ręce, po ramieniu, po policzku. Im delikatniejszy starał się być, tym bardziej zdecydowanie go odtrącała, nie mogąc znieść ani jego względów, ani jego dotyku.

Przez godzinę próbował przemówić jej do rozsądku, ale słowa nie robiły na Mandine żadnego wrażenia. Trzymała się tego, co czuła, a to, co czuła, całkowicie ją przygnębiało.

W końcu William się zniechęcił, wstał, zrobił krok do tyłu, położył

kopertę w widocznym miejscu przed stertą słomy, spojrzął na szlochającą dziewczynę, cofnął się, zawahał się na progu i smagany zimnym listopadowym powietrzem, nie oglądając się za siebie, zbiegł po zboczu, żeby złapać pociąg, który miał go zawieźć z powrotem do Paryża.

*

Mężczyźni krzyczeli, wściekali się, przeklinali, kłócili się ze sobą, znieważali się, wychodzili z pomieszczenia z wielkim hukiem, wracali pełni wrogości, oskarżali, niepokoiли się, uciekali, zjeżdżali na dół, wjeżdżali na górę, przedłużali dyskusję, napędzani energią wynikającą z rozpacz. Panika opanowała każdy najmniejszy kawałek ich skóry, toteż stracili powściągliwość typową dla wyższych kadr. Podobni do marynarzy w niebezpieczeństwie, niczym ci z Titanica, którzy widzieli, jak góra lodowa rozpruwa ich statek, zdawali sobie sprawę, że przyszłość nosi wyraźnie znamiona klęski. Już wkrótce, cichym rankiem o szóstej obowiązującego czasu, pojawią się śledczy z brygady finansowej, energicznie dzwoniąc do drzwi Tour Golden, i dokładnie przeczesaą biurka, akta, komputery, przesłuchają personel, zabiorą niezbędne dokumenty, żeby je przeanalizować, najpierw w związku z dochodzeniem, potem w związku z oskarżeniem. Dojdzie do medialnego linczu, bankructwa spółki Golden, posypią się rozmaite kary dla jej zarządu. Dziesięć osób obecnych na zebraniu przeżywało swe ostatnie chwile w tej sali. Skandal, który niebawem wybuchnie, splami ich w różnym stopniu: winni pójdą do więzienia, pozostali dostaną grzywny, a na wszystkich padną podejrzenia, nawet na niewinnych. Już żaden z nich nie zdobędzie zaufania.

Stanowski z telefonem w dłoni wystukiwał w kółko jeden ciąg cyfr.

– Halo? Halo?

Rzucił komórkę na stół.

– Jasna cholera! Ten gnojek nie odpowiada!

Dyrektor handlowy podszedł bliżej.

- Próbujesz się dodzwonić do Goldena juniora?
- Wybierałem wszystkie jego numery.
- Jak twoim zdaniem ma odebrać? W samolocie telefon nie działa.
- Co?

Dyrektor handlowy usiadł naprzeciw Stanowskiego i rzucił ostro:

– Czemu według ciebie go tu nie ma? Gdy tylko jego ojciec dowiedział się o rewizji, wsadził syna w samolot i wysłał za granicę. W tej chwili Golden junior leci gdzieś, gdzie nie będą go szukać.

– Kurwa!

Paul Arnoux, prawa ręka Williama Goldena, wysłuchawszy z odrazą tej wymiany zdań, wstał, skierował się w głąb sali i zapukał do drzwi swojego szefa, przyjaciela od zawsze.

– Wejdz.

Zdając sobie sprawę, że tylko jeden człowiek ośmieliłby się mu przeszkodzić w taką noc jak ta, William Golden nawet nie podniósł głowy, żeby sprawdzić, kto nadchodzi, i wskazał mu fotel.

Przez minutę siedzieli w milczeniu. Potem William zapytał:

- Jak tam obok? Jakies rozwiązania?
- Spontaniczne reakcje górują nad rozwagą.
- A poza tym?
- Za dużo pomysłów, żeby pojawił się jeden trafny.

Paul Arnoux dotknął przedramienia przyjaciela.

– Dlaczego twój syn nie siedzi wśród nas?

William Golden zadrżał. Paul Arnoux nalegał:

– Mogę ci zadać to pytanie? Nie będziesz mnie podejrzewał?

William Golden przełknął ślinę i spojrzał zbolatym wzrokiem na sufit

ozdobiony kasetonami.

– On nie wie, że ja wiem. Nie ma pojęcia, że szykuje się rewizja.

– Słucham?

– On śpi.

Paul Arnoux wybełkotał ze zdumieniem:

– Co? Nie poinformowałeś go, że jego wyłudzenia zostały odkryte? Nie zażądałeś od niego wyjaśnień?

– Śpi.

Paul Arnoux cofnął rękę, jakby się sparzył.

– Proszę cię, William, powiedz mi, że nie jesteś zaślepiony miłością.

– Zaślepiony? Ani przez sekundę. On zorganizował to łajdactwo i okłamywał nas przez trzy lata. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, mój syn zawiódł moje zaufanie. Czy powinno mnie to dziwić? Tego rodzaju przestępstwo wpisuje się w naturalny porządek rzeczy. Synowie od tysiącleci zabijają ojców.

– Wybacz moją ignorancję, wychowywałem tylko córki – odparł Paul Arnoux cierpkim tonem.

– Dane, którymi dysponuję, potwierdzają winę mojego syna. A jednak działał ze współnikami. Trzema, może więcej... Szczerze mówiąc, zastanawiam się, czy oszustwa nie zapoczątkował Stanowski. Nie wydaje ci się, że...

– Jakie to ma znaczenie? Twój syn stanowi klucz do tego szwindla. Kredyt zaufania u ciebie, u mnie, u naszych akcjonariuszy, u naszych klientów pozwolił mu stworzyć FIGR, a potem go uruchomić. Guzik mnie obchodzi, kto pociąga za sznurki, Stanowski czy on. Wszystko jest uzależnione od twojego syna.

– Przyjmijmy, że wymyślił to oszustwo, a tak właśnie uważam, czy mimo wszystko jest winny? Czy winny zawsze jest winny? „Winny” czasami

okazuje się figurantem. „Winny” często staje się maską ofiary.

– Słucham?

– Mój syn zorganizował oszustwo? Zgoda! Komu jednak zawdzięcza swoje usposobienie oszusta? Może mnie...

– Nie pozwalam ci myśleć w ten sposób. Ty wspiąłeś się po szczeblach drabiny społecznej, przestrzegając prawa.

– Prawa ustawowego. Ale czy moralnego?

– Ustawowego! Nic innego się nie liczy. Jest tylko jedno prawo, a moralność ma różne oblicza. Nie szukaj usprawiedliwienia dla syna, sami odpowiadamy za nasze decyzje. Wszyscy muszą brać pod uwagę okoliczności, każdy dokonuje własnego wyboru. Twój syn dokonał złego.

– Otóż to.

– Pozwalasz mu spać?

– Co by to zmieniło, gdybym go zbudził?

Paul Arnoux nie mógł powstrzymać irytacji:

– Niech odkręci to, co zrobił!

– Za późno.

Paul Arnoux wstał, rozgorączkowany.

– Za późno? Skoro zabrzmiał już ostatni dzwonek, wróćmy do siebie, niech policja wyciągnie nas z łóżek. *Morituri te salutant.*

William Golden westchnął ze znużeniem i dźgnął Paula Arnoux palcem, nakazując mu usiąść.

– Porozmawiajmy o pieniądzach. Czy sprawdziłeś wyliczenia u dyrektora finansowego?

– Niestety tak.

– Jaka jest wysokość kwoty?

– Mówiło się o trzech miliardach. W rzeczywistości to cztery miliardy.

Ta suma wywołała eksplozję milczenia. William Golden nigdy by nie przypuszczał, że długi funduszu osiągną taki poziom.

Po dwóch minutach Paul Arnoux dodał:

– Nieco ponad cztery.

– Och, wystarczy. Przy tej kwocie miliony stają się błahostką.

Milczenie się pogłębiło. William Golden wstał i otworzył drzwiczki, które odsłoniły kolekcję butelek, czarnych jak smoła, bursztynowych albo w kolorze topazu, oświetlonych przez etażerki. Ze zniechęceniem przebiegł wzrokiem etykiety:

– Mam zwyczaj mawiać, że whisky jest dobra w każdej sytuacji, ale obawiam się, że mam idiotyczne zwyczaje. Nie wiem, którą...

– Wybierz najdroższą. *Hic et nunc*. Jutro już nie będziesz mógł tego zrobić.

William Golden skinął głową, wziął do ręki trzydziestoletnią butelkę, napelił szklanki płynem, którego każda kropla kosztowała tyle, co złoto, i ponownie usiadł obok Paula Arnoux.

Trącili się szklanką o szklankę z posępnymi minami. William upił łyk trunku, skrzywił się z rozkoszą, mlasnął i kontynuował stanowczym tonem:

– Jaka jest nasza wypłacalność?

– Banku? Jedna czwarta tej kwoty.

– A moja? Jako osoby prywatnej?

– Jeszcze mniejsza. Nawet jeśli sprzedasz cały swój majątek.

– Nie damy rady?

– Nie.

– Więc jesteśmy zrujnowani?

– Jesteśmy zrujnowani.

Pokiwali głową. Dorobek całego życia – ich dzieło – został właśnie zniszczony. Żaden komentarz nie oddałby ogromu ich rozterki.

Cisza wypełniła się wyrzutami sumienia, żalami, obawami dotyczącymi przyszłości. W ich głowach kotłowały się myśli, naglące, niezliczone, niedokończone, wciąż przeganiane przez kolejne.

Odruchowo, niczym dewot przesuwający paciorki różańca, William Golden chwycił swój zegarek i otworzył wieczko, żeby zerknąć na fotografię.

– Co to... – zdziwił się Paul Arnoux.

– Nic – uciął oschle William, zamykając klapkę.

Starając się, żeby wyglądało to naturalnie, spojrział na tarczę, a potem wskazał drzwi prowadzące do sali konferencyjnej.

– Dyskutują tam już od godziny... Chodźmy posłuchać, jaki jest wynik ich rozważań.

Paul Arnoux wzruszył sceptycznie ramionami. Nie oczekiwał żadnego rozwiązania od zgromadzonych obok mężczyzn. Zresztą nie oczekiwał już niczego. Pokręcił głową i mruknął, wykrzywiając wargi:

– Co my tu robimy? Warto było organizować zebranie kryzysowe na Titanicu, gdy góra lodowa już rozpruła kadłub? Nie zapobiegniemy nieuchronnej katastrofie. Niczego nie uratujemy.

– A cóż można uratować? Pieniądze? – zapytał William Golden z naganą w głosie, przyglądając się złotemu płynowi w swojej szklance.

– Nie.

– Honor?

– Też nie. *Alea iacta est.*

Paul Arnoux wyszedł.

Gdy William został sam, powtórzył kilkakrotnie:

– Ani pieniędzy, ani honoru.

Ponownie biorąc do ręki zegarek, odsłonił fotografię i powiedział z naciskiem zmienionym głosem:

– Jaka byłaby twoja decyzja?

*

W kwietniu, gdy zaczęły się powtórki do matury, William dostał list od Mandine.

Trzęsły mu się palce, kiedy brał go do ręki.

Nie miał od niej żadnych wiadomości od czasu ich spotkania w listopadzie i to milczenie tyleż go uspokajało, co niepokoiło. Uspokajało, bo oznaczało, że Mandine dała za wygraną. Niepokoiło, bo znał Mandine jak zły szeląg i potrafił przewidzieć jej reakcje, a będąc narcyzem, nie wyobrażał sobie, że tak szybko można przestać go kochać.

Kilkakrotnie myślał o napisaniu do niej, ale powstrzymywała go przezorność. List rozbudziłby namiętność Mandine i zaalarmowałby ojca Ziana. Otóż to, istniało ryzyko, że pisemna wiadomość dostarczy obiektywnego dowodu jego obecności w historii, w której wolał pozostać nieobecny. W grudniu, dręczony brakiem nowin, zapytał jednak Paula, czy wybiera się do sabaudzkiego domku na Boże Narodzenie. Przyjaciel wykrzyknął na to z rozczarowaną miną: „Wyobraź sobie, że *pater familias* go sprzedał! Pewien Holender zaproponował mu ogromną kwotę. Moja siostra i ja protestowaliśmy, ale *pater*, znudzony trasami narciarskimi i szlakami wędrowek w tamtych okolicach, obiecał nam, że kupi domek alpejski w Zermatt, w Szwajcarii. Tym gorzej, a jednocześnie tym lepiej...”. Usłyszawszy to, William poczuł ulgę: ani Paul, ani jego rodzina – nikt z jego środowiska – nie ustalą związku między chandrą Mandine a nim. Od tej pory Mandine, ojciec Zian, figlarna koza i żółty pies mieszkali na końcu świata, oddaleni od niego o tysiące kilometrów.

W zacienionej sieni kamienicy odpieczętował kopertę z bijącym sercem

i znacznie żywszą ciekawością niż na jesieni, gdy zadawała się wzdychaniem z poirytowania.

Urodził się. To chłopiec. Przypomina cie. Jest bardzo pienkny. Koham go. Koham cie. Mandine.

William przeczytał list kilka razy, ale nie zdołał odnieść go do rzeczywistości. Mandine nie przerwała ciąży? Urodził się chłopiec? Miał syna? Który był do niego podobny?

Oszołomiony, usiadł na pierwszym stopniu schodów i wpatrywał się w kartkę, jakby miała go natchnąć, jak się ma zachować.

On ojcem?

Z kim mógłby o tym porozmawiać? Jego przyjaciele, Orły, by go wyśmiali, a rodzice by mu nie uwierzyli. Uwaga, istniało niebezpieczeństwo, że gdyby William rozgłosił tę historię, potwierdziłby ojcostwo, którego nic nie dowodziło. Może Mandine sypiała z innymi... To prawdopodobne... Pewne! Czy zostaje się ojcem w trzy noce? Bądźmy poważni!

William zmiął kartkę i wcisnął ją głęboko do kubła na śmieci, aż zniknęła pod odpadkami, posyłając w nicość to, o czym dowiedział się z tych wątych linijek. Mandine żyła w innym świecie niż jego, w urojonej krainie, od której dzielił go mur nie do przebycia, mur wiarygodności. William zamieszkał w krainie zaprzeczenia.

W następnych dniach ze złością skupił się na nauce. Oblanie matury równałoby się ustąpieniu Mandine, gorzej, upodobnieniu się do jej nędznej nijakości. Nie tylko musiał zdać egzamin, lecz także uzyskać ocenę bardzo dobrą, przepustkę do klasy przygotowawczej, do której chciał się dostać, by móc studiować na jednej z prestiżowych uczelni.

W poniedziałek w skrzynce znalazł się jakiś liścik. Chociaż kopertę pokrywało pismo Mandine, jej wygląd i zawartość były inne niż zwykle. William, chroniony przekonaniem, że wiadomość pochodzi ze świata, który nie istnieje, otworzył kopertę i wyjął z niej zdjęcie.

Niemowlę otwierało zdziwione oczy przed obiektywem.

– Mój syn?

Przez chwilę oglądał to ciało ze swojego ciała, czując gwałtowne dreszcze, mieszankę radości i wzburzenia. Potem wziął się w garść, wypuścił powietrze z płuc, skrzywił się, wzruszył ramionami i niedbale wcisnął kartonik do kieszeni.

– Bzdura!

Kierowany jedną z wielkich sił duchowych, złą wiarą, stłumił emocje i zapomniał o zdjęciu.

Zapomniał o nim do tego stopnia, że tydzień później matka weszła za nim do łazienki, trzymając je w palcach.

– Opróżniaj kieszenie, zanim dasz mi swoje rzeczy do prania. Omal nie włożyłam tej fotki do pralki!

Podniosła zdjęcie do oczu i przyjrzała mu się uważnie, nagle bardzo nim zainteresowana.

– Ciekawe – mruknęła.

– Co?

– Gdzie je znalazłeś?

– Słucham?

Ziemia usunęła mu się spod nóg. Matka nalegała:

– Nie przypominam sobie tego zdjęcia. Nawet nie pamiętam, gdzie zostało zrobione. Jednak to ty, jak miałeś kilka dni... Aa, może u moich rodziców? Wyjąłeś je z albumu rodzinnego?

– Nie... znalazłem w starym słowniku.

– Więc to dlatego go nie znałam. Było tam schowane przez te wszystkie lata.

Oddała mu je, dołączając czuły kuksaniec.

– Cudowne maleństwo. Jak się widzi, co z niego wyrosło... ależ degrengolada!

Odeszła, śmiejąc się.

W Williama jakby piorun strzelił. Stał oszołomiony ze zdjęciem w rękę, a potem, upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, podarł je z wściekłością na kawałki. Nie ma śladów, nie ma dowodów, nic się nie stało!

Mijały lata.

William regularnie znajdował w skrzynce listy od Mandine. Równie regularnie wrzucał je do kosza na śmieci bez otwierania. Jej milczenie załatwiało sprawę.

Powodowany ambicją i wspierany przez rodziców, dostał się na wymarzone studia i ukończył je z wyróżnieniem. Samuel Golden, wuj bankier, który nie przestawał spoglądać na jedyne bratanka przychylnym okiem, opłacił mu kosztowne studia podyplomowe w Oksfordzie, a potem, przekonany, że znalazł następcę, zatrudnił go u swego boku.

Gdy tylko William, który dzięki wysokiej pensji znalazł się w dobrej sytuacji finansowej, przeprowadził się do loftu-garsoniery w pobliżu Bastylli, jego rodzice skorzystali z okazji, żeby zmienić mieszkanie. Pocztę, która przychodziła na stary adres, przez rok kierowano na nowy, potem przesyłania zaprzestano. Słowa Mandine już nie docierały do Williama.

Zapomniał o niej.

Chociaż wdawał się w romanse, szybko je przerywał, torpedując każdy poważny związek, który miał szansę przetrwać: jego drogi człowieka ambitnego, oddanego pracy, nie tarasowało ani małżeństwo, ani rodzina.

Pewnego czerwcowego wieczoru William, wracając z przyjęcia, z ciałem przytłoczonym zmęczeniem i z umysłem uśpionym alkoholem, na sekundę stracił panowanie nad samochodem, a ten rozbił się na drzewie.

Wokół pnia ratownicy znaleźli metalowy szkielet, z którego z trudem wydobyli nieprzytomnego, zakrwawionego Williama z połamanymi

kończynami. Mimo szybkiej interwencji i starań świetnych lekarzy obawiano się o jego życie, bo tak bardzo ucierpiał w wyniku zderzenia.

William przez pięć dni znajdował się w stanie śpiączki, a gdy odzyskał przytomność, został wprowadzony w śpiączkę farmakologiczną, żeby można go było operować.

Gdy wrócił do żywych, jego świat ograniczał się do pokoju na oddziale intensywnej terapii, gdzie odwiedzali go rodzice, wuj, Paul i dwie kochanki, z którymi utrzymywał dobre stosunki. Każdego ranka zastygli w pełnej uszanowania pozycje rezydenci otaczali jego łóżko, by wysłuchać sławnego profesora medycyny, który komentował wyniki i zalecał odpowiednie procedury. W końcu poinformowano Williama, że opuszcza oddział intensywnej terapii, żeby udać się na kilkumiesięczną rekonwalescencję do specjalistycznego ośrodka terapeutycznego w Garches pod Paryżem.

Początkowo, znalazłszy się wśród kalek, nie chciał należeć do tej grupy, w której jedni obnosili się z logo swojego ulubionego klubu piłkarskiego na koszulkach, a inni z wizerunkiem superbohatera z komiksu. Nie rozpoznawał się w tych inwalidach dotkniętych hemiplegią, paraplegią, tetraplegią. Oburzony, rozważał nawet możliwość, że pozostanie bezwładny w pościeli i już nigdy nie spróbuje podjąć żadnego wysiłku. A jednak krok po kroku, w otoczeniu zachęcających go kinezyterapeutów, ergoterapeutów, pielęgniarzy i pielęgniarek, wyruszył w długą drogę, która miała go doprowadzić z powrotem do samodzielności. Z pokorą skupiał się na swych nieznaczących postępach: nauczyć się od nowa przyjmowania pozycji siedzącej, pozycji stojącej, zachowywania równowagi, chodzenia, tego, jak powlec się od łóżka do fotela, a potem od fotela do toalety, i uważać to za zwycięstwo. W końcu wkładał całą swą energię w odzyskanie sprawności, do tego stopnia, że lekarze, początkowo zakłopotani jego apatią, teraz mu gratulowali: powrót do zdrowia rzadko odbywał się tak szybko.

W szóstym miesiącu profesor Solal przyjął Williama w swoim gabinecie.

– Brawo, Williamie. Miło mi pana poinformować, że wychodzi pan

z Garches w przyszłym tygodniu.

– Dziękuję, panie doktorze. Na zawsze zapamiętam fantastyczną pomoc, jakiej mi tu udzielono.

– Zanim wróci pan do dawnego trybu życia, ja chciałbym wrócić do pewnego tematu, który poruszyliśmy, gdy pan tu trafił, ale który wtedy nie przykuł pańskiej uwagi. Chodzi o następstwa wypadku i licznych operacji.

Sławny profesor odchrząknął.

– Nie będzie pan miał dzieci.

– Słucham?

– Będzie pan mógł uprawiać seks, być może już pan to robił, i nadal będzie pan odczuwał przyjemność, ale pańskie nasieniowody zostały przerwane, zmiażdżone. Nie spłodzi pan dziecka.

William spuścił głowę.

– To poważny cios, wiem – powiedział doktor Solal ze współczuciem.

William podniósł podbródek, uśmiechając się.

– Uspokoję pana: założenie rodziny nigdy nie figurowało w moich planach. W każdym razie nigdy nie należało do moich priorytetów.

– Ludzie zmieniają zdanie...

– Nie ja. Zwłaszcza jeśli nie mam takiej możliwości.

Roześmiał się.

– Jestem zachwycony, że żyję, panie doktorze!

Gdy William przekroczył próg banku Golden, poczuł, że ma szczęście, a jednocześnie że jest kruchy, owładnięty niebywałym upojeniem, elektryzującym, rozbijającym, które skłania go do delektowania się każdą sekundą. Wuj powitał go ze łzami w oczach, ukrywając radość, której doświadczył niegdyś w klinice położniczej, lecz wzbogaconej faktem, że od tamtej pory poznał bratanka jako człowieka godnego miłości, podziwu,

szacunku. Chociaż emocje wywołane narodzinami są ogromne, nic nie przewyższa emocji związanych z ponownymi narodzinami, bo dostrzega się je z pełną świadomością. Po krótkiej rozmowie ponownie zabrali się do pracy, a przyjaźń między obydwojma mężczyznami umocniła się, ukształtowana tą ciężką próbą.

William jeszcze bardziej pasjonował się pracą – co zdawałoby się niemożliwe, bo wcześniej tak bardzo się jej poświęcał – której wartość niezmiernie sobie cenił. Ową wartością nie była już pensja wypłacana na koniec miesiąca, były nią natomiast jego moc istnienia, jego zdolność do działania, do zapominania o obolałym ciele, przekonanie o własnej użyteczności, wręcz niezbędności. Gdy skupiony, skrupulatny, metodyczny William przykuty do biurka poświęcał całe godziny na rozwiązywanie tysięcy problemów i podejmowanie setek decyzji, rozdwajał się: jedna jego postać unosiła się nad nim niczym zwiewny duch, obserwator jego życia, który szeptał mu do ucha z pogodnym uśmiechem: „Widzisz? Żyjesz!”.

Dokuczało mu tylko jedno: cisza. Bo cisza miała woń szpitala. Dlatego muzyka poważna – Mozart, Bellini, Donizetti, Verdi, Bizet, Massenet – niezmiennie rozlewała się po jego gabinecie.

Pewnego kwietniowego wieczoru, gdy miał się już rozstać ze swymi dokumentami, zadzwonił do niego wuj:

– Przyjdź do mnie do sali konferencyjnej.

Cztery piętra niżej, w pomieszczeniu wyróżniającym się ostentacyjnym luksusem, urządzonym tak, by imponować klientom i współpracownikom, William dołączył do Samuela Goldena, który zasiadał u szczytu mahoniowego stołu. Po raz pierwszy wuj wydał mu się stary: jego wychudła szyja z trudem podtrzymywała głowę opadającą na pierś, jego ciało skurczyło się w garniturze z czarnej wełny, jego wysuszone powieki i zaczerwienione spojówki nadawały niepokojącą nieruchomość przyćmionym oczom, a zbyt cienkie wargi przybierały chorobliwie siną barwę.

– Jestem zmęczony, Williamie. Po twoim wypadku zrozumiałem, że nikt

nie jest nieśmiertelny, nawet ja, choć trudno mi w to uwierzyć.

Skrzywił się, trzymając się za brzuch.

– Rodzina nigdy nie była moim priorytetem. Odniesienie sukcesu, zbudowanie własnego imperium, tego banku, pochłonęło mój czas, zużyło moje siły. Oczywiście mogłem przez nieuwagę poślubić jakąś kobietę i, również przez nieuwagę, spłodzić z nią dzieci. Rzecz w tym, że nie umiem niczego robić nieuważnie, nie oddając się temu bez reszty. I co? W rezultacie nie mam spadkobiercy.

Wysunął podbródek w stronę bratanka.

– Mam nadzieję, że nigdy nie liczyłeś na spadek po mnie.

William odpowiedział ze szczerą stanowczością:

– Nigdy. Myślałem o tym, ale nigdy na to nie liczyłem.

– Dlaczego?

– Dobrze wiesz, wuju, że dziś dziedziczy się po rodzicach, gdy samemu jest się w wieku emerytalnym. Lepiej układać sobie życie bez tego.

Samuel uśmiechnął się, potrząsając głową. William mówił dalej:

– No i ogłosiłeś, że zapiszesz majątek Instytutowi Yad Vashem przez wzgląd na pamięć naszych przodków, którzy ponieśli śmierć podczas deportacji. Popieram ten zamiar.

Wuj Samuel poskrobał się po dłoniach pokrytych brunatnymi plamami i westchnął:

– Jesteś więcej wart niż syn, którego nie miałem.

Zwrócił na niego swój drapieżny wzrok.

– W tych ostatnich miesiącach sprawdzałem, jak sobie radzisz u steru, Williamie: testowałem twoją wytrzymałość, szybkość analizowania sytuacji, twoją energię, słuszność twoich decyzji, i wszystko to okazuje się wyjątkowe. Podziwiam cię.

– Dziękuję.

– Rozumowałem na opak, jeśli chodzi o moją rodzinę. Skłaniałem się ku martwym zamiast ku żywym... Jaka aberracja kazała mi uprzywilejować przeszłość? Czemu interesowałem się tymi, którzy mnie poprzedzali, a nie tymi, którzy przychodzą po mnie...? To absurd! Dlatego zmieniłem postanowienia w testamencie. Moim spadkobiercą zostaniesz ty, jeśli...

William zadrżał.

– Słucham?

– Ty, jeśli...

– Ja, jeśli co?

– Ty, jeśli będziesz miał dziecko.

William rozdziawił usta. Zabrakło mu tchu. Samuel Golden dokończył:

– Przekazuję ci swój majątek, jeśli również ty pewnego dnia go komuś przekażesz. Nie protestuj, dziś rano podpisałem swoją ostatnią wolę u notariusza. I nie dziękuj mi.

Samuel odprawił Williama gestem, jakby załatwił jakąś bieżącą sprawę, i zamknął się w swoim gabinecie przylegającym do sali konferencyjnej.

William postanowił wrócić do domu pieszo. Musiał się zastanowić, więc mimo zeszywnienia stawów biodrowych i nóg wybrał spacer, bo tylko on mu na to pozwalał.

Szedł przed siebie ze spuszczoną głową, od chodnika do chodnika, ledwie podnosząc wzrok na światła, zanim przekroczył ulicę, posuwając się od asfaltu do bruku wygładzonego przez wieki, zaabsorbowany, obojętny na ludzi, mijając jedynie sylwetki pozbawione twarzy. Kochał Paryż i jego bezgwiazdne niebo opanowane przez latarnie. Kochał Paryż nocą, gdy odbierało się go raczej nosem, uszami i skórą niż oczyma. Kochał Paryż wilgotny nad brzegami Sekwany, suchy między zabytkowymi fasadami, Paryż przegrzany z powodu wyziewów z metra wyrzucającego swój węglowy

oddech przez kratki, Paryż gnijący w pobliżu wysokich kubłów na śmieci, Paryż hałaśliwy, chaotyczny, gderliwy, zmotoryzowany, równie krzykliwy jak święto jarmarczne, a potem nagle milczący za zakrętem ulicy, owładnięty pozornym spokojem niczym graffiti ciszy złożone z tysięcy ukradkowych dźwięków, odgłosu żarówki, która się przepala, motorynki, która rzezi, radia, które wydaje pomruki w głębi stróżówki, szczura, który przedostał się do rynsztoka, fortepianu, którego przytłumione dźwięki płyną z odległej mansardy. Kochał Paryż spokojny, opustoszały, ale nie martwy.

Kroki Williama nadawały rytm jego rozmyśleniom, prowadząc go do sedna sprawy. W trakcie tej wędrówki narzucała się rzecz oczywista: wyjaśni wujowi, że jego plan rozbija się o przeszkodę natury anatomicznej. Oczywiście mógł spotkać kobietę swojego życia, oczywiście mógł ją poślubić, lecz nigdy nie będzie miał dzieci, jak mu zakomunikowano w Garches. William uważał, że musi powiedzieć Samuelowi prawdę. Jeśli mu ją wyzna, wuj podejmie decyzję: albo podtrzyma swoje stanowisko, albo i tak przekaże mu bank. Tak, Samuel musiał się dowiedzieć. Potem, niezależnie od tego, co postanowi, William to zaakceptuje.

Szedł nadal wzdłuż rzeki, znad której unosił się lodowaty chłód. Im bardziej męczyło się jego ciało, tym lżejszy stawał się umysł. W miarę jak gęstniały opary, widział coraz wyraźniej.

„A gdyby... – pomyślał William z nadzieją – a gdyby wuj okazał się skłonny do kompromisu?” Mógłby adoptować dzieci... albo wziąć ślub z kobietą wychowującą dziecko z pierwszego małżeństwa... Może dałoby się pertraktować?

Gdy dotarł pod swoją kamienicę, nie rozbrzmiewał już żaden dzwon. Paryż stracił puls, lecz on znalazł rozwiązanie, które przedstawi wujowi.

Nazajutrz rano William, po dwóch godzinach odpoczynku – zwałił się na łóżko w ubraniu i w butach – udał się do banku, zaabsorbowany tym, co chciał powiedzieć.

Ledwie zbliżył się do gmachu, zauważył niecodzienne poruszenie przed

monumentalnym wejściem. Roilo się tam od policjantów, ratowników medycznych, przedstawicielei dyrekcji, pracowników. Na widok samochodu Williama Paul Arnoux podbiegł do przyjaciela i nie czekając, aż wysiądzie, przekazał mu fatalną nowinę: tej nocy serce Samuela Goldena przestało bić. Właśnie znaleziono go, sztywnego, w jego łóżku.

William, siedząc z dłońmi zaciśniętymi na kierownicy, był zbyt oszołomiony, żeby odczuwać jakieś emocje. Podczas gdy Paul nadal do niego mówił, żeby przywołać przyjaciela do rzeczywistości, ogarniało go poczucie winy, przełamując dotychczasowe otępienie. Czy poprzedniego wieczoru powinien był go zaalarmować stan Samuela? Dlaczego oddalił od siebie niepokój, który go przenikał? Czy nie trzeba było wezwać lekarza, zamiast prowadzić tamtą rozmowę? Pomyślał o swej nocnej wędrówce po Paryżu, podczas której, zajęty wyłącznie sobą, nie podejrzewał, że jego wuj jest w agonii.

Brzydził się sobą.

W następnych dniach rozpoczęły się uroczystości pogrzebowe zgodnie z dyspozycjami wydanymi przez Samuela Goldena, który najwyraźniej przewidział, że zbliża się koniec. William brał w nich udział jak automat, z pobladłą twarzą, sztywnym ciałem, prawie się nie odzywając, co wszyscy brali za oznaki głębokiego żalu.

Dręczyły go wyrzuty sumienia. Ponadto podczas odczytywania testamentu niemal poczuł ulgę, przerywając notariuszowi, by zawołać do niego, że nie będzie dziedziczył, bo nie ma dzieci.

Funkcjonariusz publiczny zmarszczył brwi.

– Proszę wysłuchać słów wuja do końca. Daje panu dwa lata na to, żeby wrócił pan do mnie z dzieckiem i z dowodem ojcostwa w postaci testu DNA.

– Nie ma sensu czekać, mówię panu! Nie mogę spłodzić potomka od czasu wypadku samochodowego.

– Jest pan pewien?

– Całkowicie! Proszę przekazać wszystko stowarzyszeniom.

– Daję panu możliwość spróbowania szczęścia, panie Golden. Po co z niej rezygnować? Nauka zwiększyła naszą zdolność prokreacji. W naszych czasach, dzięki...

– Nawet nie będę próbował.

Notariusz się skrzywił, pozbawiony współczucia wobec człowieka, który odmawia przyjęcia milionów, a potem dokończył tonem nieznoszącym sprzeciwu:

– Nieważne. Zaczekamy cierpliwie przez dwa lata. Prawo obliuguje nas do szanowania woli zmarłego.

Zgodnie z instrukcjami wuja William został prezesem oraz dyrektorem generalnym banku i miał nim zarządzać przez dwa lata. Po ich upływie wszystko miało zostać postanowione od nowa...

William wziął sprawy spółki w swoje ręce energicznie i skutecznie, troszcząc się o pamięć zmarłego wuja. Rynki przeżywały wówczas groźne turbulencje związane z pękającymi bankami spekulacyjnymi, ze zmieniającymi się zasadami europejskimi, z graczami giełdowymi, którzy korzystali z zawieruchy, żeby łupić statki, ale, pośród instytucji finansowych tonących jedno po drugim, William trzymał kurs i zaprowadził okręt Golden do bezpiecznego portu.

Zbliżała się feralna data. Jedynie Paul, wierny i operatywny Paul, znał zapisy testamentu.

Pewnego wieczoru, gdy popijali whisky w gabinecie Williama po burzliwym dniu, powiedział z niepokojem:

– Obawiam się przyszłości, Williamie.

– Jakiej przyszłości?

– Sukcesji.

– Nie martw się. Akcje banku przejdą w ręce stowarzyszeń

charytatywnych, ale przypuszczam, że ponownie postawią mnie na jego czele.

– Bez wątpienia. Nie na pewno... W każdym razie już nie powołasz, całkiem samodzielnie, rady dyrektorów, będziesz musiał zadowolić akcjonariuszy. A bardzo dobrze wiadomo, że akcjonariusze są krótkowzroczni, chcą tylko jednego, dywidend, nawet gdy logika danego przedsięwzięcia wymaga inwestycji. W tym momencie okręt jeszcze się kołysze na wodzie. Jeśli jednak sprzeciwią się twoim decyzjom, czy choćby tylko je opóźnią, zatonie. Poza tym jak długo potrwa okres niepewności?

– Rada dyrektorów nie zmieni kapitana podczas sztormu. Wciąż jestem optymistą.

– Naprawdę?

– Z natury.

– To nie usprawiedliwia optymizmu.

– Ale ja chcę być optymistą.

– Co za upór! Wcale mnie nie uspokoiłeś. *Aut Caesar, aut nihil.*

Dyskusja trwała, swobodna, szczerą, nie przynosząc żadnego oczywistego rozwiązania. Obaj mężczyźni cenili się nawzajem od młodzieńczych lat i cieszyli się, że ramię w ramię przemierzają drogę życia.

– Dokąd jedziesz z córkami tej zimy? – zainteresował się William.

– Do Cluzet. Pamiętasz? Mój ojciec miał tam domek alpejski, w którym spędziliśmy miesiąc w lecie, przed maturą.

W głowie Williama pojawił się nagle pewien obraz: Mandine! Mandine, jego trzydniowa ukochana. Mandine i jej błagalne listy. Mandine i jej rzekomy syn...

Syn Williama?

Ojciec Zian trzymał się prosto na swych chudych nogach, podparty laską, którą umieścił przed sobą, srogi i nieprzyjazny, uniemożliwiający

komukolwiek przejście. Karmazynowy anorak, pozornie zwiększający objętość jego torsu, nadawał groźnego wyglądu owemu strażnikowi o spalonej słońcem skórze, z białą grzywą i wąsami przyciętymi nożycami, tej zawalidrodze ulokowanej u wrót Sabaudii.

Poczekalnia świeciła pustkami. Ponieważ dworzec był co roku mniej uczęszczany, nie zatrudniał już ani biletera, ani zawiadowcy stacji. Automat biletowy pozwalał użytkownikom wyruszyć w podróż, a pojemnik na śmieci oferował im swoje usługi.

Golden, Müller i Johnson, jedyni pasażerowie, ubrani w płaszcze z kaszmiru założone na aksamitne garnitury, wysiadłszy z pociągu, podeszli do ojca Ziana.

– Nie zobaczycie się ani z moją córką, ani z moim wnukiem – warknął starzec.

– Dzień dobry, drogi panie Thievenaz – zawołał pierwszy adwokat.

– Miło nam w końcu pana poznać – dodał drugi.

Patriarcha zmierzył ich płonąącym wzrokiem, a potem skierował spojrzenie na Williama Goldeną. Kogo zobaczył? Obcego człowieka, którego twarz odkrywał? Łajdaka, który wykorzystał jego córkę? Uciekającego jebakę? Milionera, który zamierzał naprawić swój błąd? A może dostrzegał w Williamie znajome rysy wnuka? Wyraz jego twarzy pozostawał nieodgadniony.

– Chodźcie za mną.

Odwrócił się w milczeniu, wyszedł z dworca i ruszył jedyną drogą prowadzącą do wsi położonej między górami. Szara wyboista szosa ucierpiała w wyniku surowej zimy. Pod butami chrzęścił żwir rozsypany w ramach walki ze śniegiem. Starzec lekko utykał, idąc z godnością, powoli, wręcz marudząc, jakby sprawiało mu przyjemność dostosowywanie kroku paryżan do własnego.

Wszedł do kawiarni, której nazwa – Le rendez-vous des amis, spotkanie

przyjaciół – zmroziła Williama swą ironią.

Usiedli na stołkach przy prostym stole. Pomieszczenie, urządzone bez smaku i wdzięku, pokryte szarym wapnem na ścianach i płytkami na posadzce, cuchnęło serem, z którym mieszały się woń gotowanego wina, a także cierpki odór środka dezynfekującego z dodatkiem chloru. Paryżanie zdecydowali się oprzeć łokcie na lepkiej ceracie. Dokoła nich nie było nic godnego uwagi z wyjątkiem wąskiego okna zastawionego sukulentami i lalkami zrobionymi na szydełku oraz, za drzwiami, okazałego zegara Comtoise, którego wahadło drzemało w szafce z drewna orzechowego w kształcie mandoliny.

Ojciec Zian poprosił kelnerkę o butelkę cydru i cztery kubki, nie zwracając sobie głowy życzeniami pozostałych.

Napił się bez pośpiechu, otarł wąsy, a potem, odkładając kubek z kamionki, zawołał, zwracając się do Williama:

– Dlaczego?

– Dlaczego co? – powtórzył William przebiegle.

Nie był pewien sensu pytania: ojciec Zian pytał go, dlaczego uciekł czy dlaczego wrócił?

– Skąd ten wyjazd? – nalegał ojciec Zian surowo.

To pytanie krępowало Williama mniej niż tamto drugie.

– Byłem bardzo młody.

– Dość dorosły, żeby spać z Mandine.

– Za młody na ojcostwo.

– A na macierzyństwo? Mandine jest w tym samym wieku co ty.

Odpowiedź zabrzmiała niczym trzask bicia, ale poza napastliwością William dostrzegł w tym tykaniu możliwość porozumienia. Choć krytykowany przez ojca Ziana, mógłby zostać zaakceptowany.

– Uprawialiśmy seks, to wszystko. Nie mieliśmy zamiaru się pobrać ani wychowywać dzieci.

– Mów za siebie.

William spuścił głowę, świadomy swej nieszczerości. Mandine zawsze przypuszczała, że zwiąże się ze „swoim księciem”, on zaś udawał, że nie rozumie, a potem, że zapomniał.

– Po powrocie do Paryża nie uwierzyłem w to, co pisała Mandine. Albo nie chciałem wierzyć. W końcu jednak tak, bo dałem jej pieniądze, żeby poszła do szpitala przerwać ciążę.

Ojciec Zian wzruszył ramionami i utkwiał wzrok w słońcu na zewnątrz. Przez kilka sekund zdawał się skupiać na jasnym niebie, wdychając światło, z dala od towarzystwa pozostałych mężczyzn. Niemal nieobecny, z niewzruszonym czołem i oczami równie niebieskimi jak zenit, w końcu mruknął gardłowym głosem:

– Wy, paryżanie, gardzicie nami, bo mieszkamy ze swoimi zwierzętami. Powinniście je jednak obserwować, wyciągnęlibyście z tego naukę. U zwierząt samiec nigdy nie zapomina karmić ani wychowywać własnych młodych.

William odwrócił twarz, poruszony, niezdolny do riposty. Müller i Johnson, wobec bezlitosnego tonu ojca Ziana, przez kilka sekund milczeli z przyzwyczajenia, a potem przystąpili do rzeczy.

– Panie Thievenaz, proszę, by wziął pan pod uwagę, że dziś nasz klient żałuje swego niegdyśszego zachowania, że się go wstydzi, dlatego tu przyjechał, i że zamierza to naprawić, podejmując pewne zobowiązania.

– Naprawić? Ludzi się nie naprawia tak, jak naprawia się samochód czy toster.

– Jak zaznaczono w naszym piśmie, nasz klient gotów jest uznać dziecko, pokryć koszty jego wykształcenia i wypłacić znaczną sumę matce.

– Znaczną dla kogo? Dla nas czy dla niego? W waszym piśmie nic na ten

temat nie ma.

- Milion euro – oznajmił Müller.
- To pokaźna kwota dla obu stron – dorzucił Johnson.
- Oczywiście uprzednio przeprowadzimy test DNA – dokończył Müller.

Ojciec Zian, początkowo zdziwiony, nieufny, splunął, zmieszany.

Porzucając kontemplowanie przyrody, przyjrzał się Williamowi w poszukiwaniu potwierdzenia. Ten skinął głową. Ojciec Zian zmarszczył czoło pokryte bruzdami.

Zaniepokojony Müller interweniował:

- Propozycja pana Goldena wydawała nam się zbyt hojna, ale ją podtrzymał, bo uważa, że jest współmierna do krzywdy.
- „Pan Golden”... – mruknął ojciec Zian, który z pogardą przeżuwał to pompatyczne określenie.
- Odmawia pan dania panu Goldenowi szansy? – zniecierpliwił się Johnson.

Jakby adwokaci obchodzili ojca Ziana nie więcej niż muchy, odpowiedział Williamowi:

- To nie tobie daję szansę, ale Mandine i Jotbe.

William wspinał się kamienistą ścieżką prowadzącą do górskiego domu ojca Ziana, który kazał adwokatom zaczekać na dole.

Tego promiennego dnia żadna chmura nie zaczepiła się o wierzchołki. Występy, skały i szczyty wyraźnie odcinały się na tle nieba, a potok, gawędząc z ptakami, toczył swe wartkie wody w żwirowatym korycie.

Ojciec Zian zmienił chód i teraz śpieszył się powoli, sunąc pewnym krokiem i świetnie utrzymując równowagę pomimo inwalidztwa. Za nim niewzruszony William przewyciężał sztywność stawów, żeby nie zostać w tyle.

Próbował nawiązać rozmowę ze starcem:

– Jak ma na imię dziecko?

– Jotbe. Nie znasz jego imienia?

William, na którego cierpki ton podziałał jak zimny prysznic, odczekał chwilę, zanim znów zaczął go wypytywać:

– Osobliwe imię, Jotbe...

– To skrót.

William uzbroił się w cierpliwość i wrócił do tematu dopiero pięćdziesiąt metrów dalej:

– A jak brzmi jego pełne imię?

– Powinieneś wiedzieć. Mandine ochrzciła go w ten sposób z twojego powodu.

– Jak to?

– James Bond! – zagrział ojciec Zian.

Przystanął, obrócił się na pięcie i oskarżycielsko wymierzył w Williama palec wskazujący.

– Mandine mówi, że to twój ulubiony bohater.

William przypomniał sobie powieści szpiegowskie, które czytał w okresie, gdy uwiódł dziewczynę, i zaczerwienił się z zakłopotania.

–A! – rzucił na koniec ojciec Zian, jakby William przyznał się do odpowiedzialności.

Starzec znów ruszył pod górę z gniewną niezłomnością.

– Ja nazywam go Jotbe. Nigdy mi nie przyszło do głowy, że będę miał za potomka Jamesa Bonda Thievenaza.

Zdyszany William, starając się nadażyć za nim mimo bolącego biodra, zamilkł i poprawił w myślach metrykę syna na James Golden, albo James B.

Golden. W dole jakiś mężczyzna wyłonił się z obory, wypędzając krowy na pastwisko. Jałówki galopowały, podzwaniając dzwonekami, podczas gdy starsze, majestatyczne, wyskubywały trawę dużymi kępkami.

– Uprzedził ich pan, że przyjdziemy?

– Tak.

Rozmowa się nie kleiła z powodu lakonicznych odpowiedzi starca. William irytował się, że ten traktuje go jak siedemnastoletniego chłystka.

Minęło kilka minut. Złany potem William zaryzykował:

– Mandine ma do mnie żal?

Ojciec Zian wzruszył ramionami z urażoną miną.

– Nie.

Dotarli do słupa wysokiego napięcia i zatrzymali się, żeby złapać oddech. Dokoła nich wiosna rozwijała się w dwóch prędkościach: na tym zboczju już zazieleniła łąki, które pojaśniały tu i tam od bujnych mniszków; na przeciwległym natomiast, które mniej korzystało ze słońca, wystawała jeszcze ziemia i jedynie blade pierwiosnki przylegały do kamyków.

– Mandine nie ma do mnie żalu? – dopytywał się, zbity z tropu.

– Mandine to Mandine.

Ojciec Zian uznał, że wyczerpał temat, ale potem zmienił zdanie, przyglądając się uważnie rysom Williama.

– Czekala na ciebie. Twierdziła, że wrócisz, mimo że beształem ją za każdym razem, gdy to mówiła. No i teraz płacze od dwóch dni, taka jest szczęśliwa.

– Szczęśliwa, że miała rację?

– Szczęśliwa, że cię zobaczy.

William zadrżał, przerażony. Spontaniczny wstrząs ciała zdradził pragnienie ucieczki. Ojciec Zian zauważył ten odruch i przez jego źrenice

przemknął sardoniczny błysk.

– Uspokój się, zabroniłem jej rzucić się na ciebie. Lizać cię jak suka, która wita swojego pana. Poczuję obrzydzenie... Kazałem jej myśleć o malcu. Wyłącznie o malcu. Zrozumiała.

Kozy, które przyszły się napić do drewnianego poidła, zostawiły ślady na błotnistej ścieżce: widząc tę wskazówkę, William przypomniał sobie, że dom wznosi się sto metrów dalej, za skarpią.

Ścisnęło mu się serce.

Mandine stała przed domem i trzymała za rękę dziecko. Niewątpliwie zauważyła ich, gdy szli pod górę... albo tkwiła tam, ufna, od rana.

Ani upływ czasu, ani żal, ani macierzyństwo nie nadwyrężyły jej urody, jej czarującej naturalności. Promieniała, wspaniała, pełna energii i życia, z uśmiechem zachwytu rozchylającym jej mięsiste wargi.

William ponownie doświadczył olśnienia jak przed dziesięciu laty, potem zapanował nad sobą. Nie, nie przyjechał tu dla Mandine, lecz dla syna. Nie ma mowy, żeby powtórzył się niegdysiejszy błąd.

Podszedł w zwolnionym tempie, z nogami jak z ołowiu i spoconymi dłońmi, obawiając się w każdej sekundzie, że postąpi nieodpowiednio – albo za bardzo ośmieli Mandine, albo za bardzo ją zlekceważy – bojąc się opinii tego nieznanego dziecka, które, wyprostowane w swym pomarańczowym pulowerze, przyglądało się panu, który składał im wizytę.

Wszyscy znieruchomieli. Chłopiec stał się pępkiem świata. Troje dorosłych czekało niecierpliwie na jego reakcję.

Mandine z trudem panowała nad podnieceniem. Z twarzą napiętą z radości wpatrywała się wytrzeszczonymi oczami w dziecko, wskazując mu ręką Williama, jakby ofiarowała mu najkosztowniejszy prezent.

W mgnieniu oka William pojął kontekst. Mandine przebaczała. Co więcej, sytuowała się poza przebaczeniem, wymazała dług przeszłości. Dla niej liczyła się tylko ta chwila, która unieważniała wcześniejsze nieszczęścia.

W tej chwili jej Jotbe w końcu odzyskiwał ojca, którego z dumą mu przedstawiała. Jego ojciec był dobrym ojcem. Jego ojciec był bardzo przystojnym panem, bardzo inteligentnym, bardzo porządnym, któremu powiodło się w życiu.

Dziecko spostrzegło, że przeżywa decydującą chwilę. Jego spojrzenie prześlizgiwało się z matki na dziadka, a potem na Williama. Wahało się. Paraliżowała je zbyt wielka presja.

William podszedł bliżej i bez zastanowienia przyklęknął przed nim.

– Dzień dobry – wyszeptał.

– Dzień dobry – odpowiedziało dziecko dźwięcznym głosem, uspokojone, że sytuacja na powrót stała się zwyczajna.

Z szacunkiem pocałowało dorosłego w policzek, a potem zapytało z oczami iskrzącymi się z podziwu, który zamierzało wyrazić:

– To prawda, że jest pan księciem?

*

William, ze wzrokiem wlepionym w kable elektryczne, które biegnąc wzdłuż torów, delikatnie nadawały rytm jego marzeniom, odpoczywał w pociągu wiozącym go z powrotem do Paryża, wykończony emocjami tego dnia. Dwaj adwokaci, zajęci innymi sprawami, opuścili go na kilka minut, żeby się naradzić.

Młodość wydawała mu się bardzo odległa. Dziesięć lat dzieliło go od tamtego lata, od Mandine, od jej zwinnego, nieokiełznanego ciała, od ich gorącej i niewinnej namiętności. Od tamtego sierpnia walczył o swoje egzaminy, swoje dyplomy, swoje konkursy, walczył, żeby zaimponować wujowi, walczył, żeby wrócić do zdrowia po wypadku, walczył, żeby zapobiec bankructwu banku Golden. Tak, od tamtego czasu wyłącznie prowadził boje. Tam natomiast, na alpejskich zboczach, odkrył, że można się zadowalać tym, że się żyje, oddycha, czuje się pieszczoty wiatru, otwiera się oczy, by podziwiać świat, wstaje się rano i kładzie się wieczorem. Czekano

tam na kogoś przez dziesięć lat, irytując się z tego powodu nie bardziej niż pięciominutowym spóźnieniem w Paryżu.

Podobał mu się syn, podobała mu się Mandine. Nadal byli jednak dwójką nieznanymi. Obcymi ludźmi. Pod czujnym okiem ojca Ziana Mandine i William nawet się o siebie nie otarli, posłuszni naturalnej rezerwie u niego, nakazanej u niej.

Müller i Johnson ponownie usiedli naprzeciw niego. Zamykając swoją walizkę, Johnson pomachał zestawem, którym wcześniej się posłużył, żeby pobrać próbki od Jotbe i Williama.

– Za osiem dni otrzymamy wyniki porównania waszych DNA.

William nawet nie mrugnął. Nie potrzebował testu na ojcostwo: Jotbe był do niego podobny, a raczej – bo nikt nie ma obiektywnego wyobrażenia o sobie – przypominał Jeana, jego kuzyna ze strony matki, kuzyna, którego często brano za jego brata. Pokrewieństwo nie budziło żadnej wątpliwości. Owa pewność wywoływała u niego rozmaite, raczej przykre uczucia: skoro był ojcem, był również łajdakiem. Nie zamierzał się jednak do niczego zmuszać, jeśli chodzi o Mandine. Chociaż kiedyś jej pożądał, nawet bardzo, podobnie jak dzisiaj, było nie do pomyślenia, by przyznał jej jakiegokolwiek miejsce u swego boku. Cóż go obchodziła Mandine! Nabrał już zwyczaju odtrącania jej, ignorowania jej cierpienia. Z nią ograniczył się do dotychczasowej linii postępowania. Ale z dzieckiem? Czy powinien pokochać tego syna, którego dotąd zaniedbywał? Jedyne, którego kiedykolwiek będzie miał?

Poruszył ten temat ze swoimi prawnikami:

– Co mi radzicie w sprawie syna?

– Nie rozumiem, panie Golden. Czyżbyśmy zapomnieli o jakiejś kwestii w umowie, którą zredagowaliśmy dla Thievenazów?

– Nie chodzi mi o stronę prawną, mówię... o naszych stosunkach. Może powinienem go odwiedzić... Stać się ojcem, nie tylko przelewając

pieniądze... Zaprosić go do Paryża... Z jego matką albo samego, w tym problem... A gdybym poprosił o rozmowę z sędzią, żeby ustanowić opiekę, która...

Przerywając mu machnięciem ręki, Müller oznajmił autorytatywnym tonem:

– Postawmy sprawę jasno: jeśli chodzi o spadek po pańskim wuju, wystarczy, żeby miał pan syna, nie jest pan zobowiązany go kochać.

Johnson przytaknął mu z rozbawieniem i obaj wspólnicy wybuchnęli śmiechem.

William tchórzliwie ukrył twarz w dłoniach, żeby nie okazać konsternacji: jak można było oceniać tę sytuację z takim cynizmem? Decyzja sama się narzucała: choćby tylko po to, by się sprzeciwić tym zimnokrwistym potworom, a zwłaszcza, żeby się do nich nie upodobnić, pokocha syna.

James i William oswajali się ze sobą.

Po pozytywnym wyniku testu na ojcostwo przystąpiono do urzędowego uregulowania sprawy, czym skutecznie zajęli się Müller i Johnson z jednej strony, a ojciec Zian z drugiej. William Golden odziedziczył po wuju ogromny majątek, który obejmował również bank. Zamienił garsonierę na prywatną rezydencję w XVI dzielnicy Paryża, utrzymywaną przez cały zastęp służby domowej.

William nadal pracował tyle samo, co wcześniej, ale w jego życie wmieszała się nowa troska: syn.

Co dwa tygodnie, w niedzielę, udawał się w Alpy i poświęcał dziecku kilka godzin. Mandine zdawała się błagać o jego uwagę, a nawet miłość, lecz ojciec Zian czuwał i nie dopuszczał, by uległa swej namiętnej naturze. Jeśli czuła z tego powodu gniew, jej frustrację przekreślała duma, którą widziała na twarzy Jotbe, dziecka niegdyś pozbawionego ojca, który teraz odwiedzał swego bohatera. Tym bardziej że William, podróżujący prywatnym odrzutowcem, często zabierał syna, by wraz z nim latał nad szczytami

i przesywał chmury.

Jotbe skończył dziesięć lat i musiał pójść do gimnazjum, co dla małych górali z odludzia oznaczało konieczność zamieszkania w internacie, w odległej szkole w mieście. Mandine wiedziała o tym i drżała na samą myśl, że będzie się mogła cieszyć synem jedynie w weekendy.

W lipcu William postarał się porozmawiać w cztery oczy z małomównym ojcem Zianem, który naprawiał drzwi do obory.

– Dowiadywałem się o gimnazja w okolicy. Bardzo niewiele zapewnia internat, i to nie te najlepsze.

– Na razie Jotbe dobrze się uczy.

– Jest różnica między tym, czy bryluje się w przeciętnej szkole czy triumfuje się w doskonałej. W królestwie ślepców królami są jednoocy.

To przysłowie zrobiło wielkie wrażenie na ojcu Zianie, który przestał majsterkować.

– Co radzisz?

– Żeby nie szedł do internatu.

– Jak to?

– Żeby zamieszkał u ojca w Paryżu, żeby chodził, jak kiedyś ja, do gimnazjum Stanislas i do liceum Louis-le-Grand, a do was przyjeżdżał na weekendy i na wakacje.

Ojciec Zian się skrzywił, mlasnął dwa czy trzy razy, a potem wziął głęboki wdech, splunął i podał Williamowi rękę: wyrażał zgodę. Mandine, ponieważ była ubezwłasnowolniona, nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia.

Gdy William wrócił po dwóch tygodniach, stwierdził, że Mandine się zmieniła. Miała zaczerwienione oczy, opuchnięty nos i patrzyła na Williama z ukosa. Ojciec Zian wyjawiał mu, że szłocha, odkąd poinformował ją o swoim postanowieniu. Chociaż już wcześniej nie podobał jej się wyjazd syna do

szkoły z internatem, ta ostatnia sytuacja wiązała się dodatkowo ze zdradą: tym razem to nie abstrakcyjne społeczeństwo narzucające obowiązek szkolny odbierało jej syna, lecz mężczyzna, konkretny mężczyzna, mężczyzna bogatszy, bardziej przebiegły, bardziej wpływowy od niej, mężczyzna, który zajmował się Jotbe dopiero od kilku miesięcy, podczas gdy ona poświęciła mu dziesięć lat. Jakby mała była soli na ranę, Jotbe bardzo się cieszył: żyć z ojcem, mieszkać w Paryżu, chodzić do prestiżowego liceum – to go zachwycało! Już nie rozpoznawała syna w tych pragnieniach. Co łączyło tego mieszczanina z tamtym maleńkim ciałkiem, niemym i wrażliwym, które karmiła piersią? Z malcem biegnącym, żeby się schronić w jej ramionach, krzycząc „mama”, który sam jeden wyrażał całe piękno świata? Choć zostało jej jeszcze kilka dni w towarzystwie Jotbe, miała wrażenie, że już wyjechał, bo tak mało przypominał istotę, którą wielbiła od jej pierwszego krzyku.

William, przestraszony jej zachowaniem zaszczutego zwierzęcia, dał dowód tchórzostwa. Pod koniec sierpnia, gdy powinien pojechać po syna i przywieźć go do Paryża, udał, że zatrzymują go obowiązki zawodowe, i poprosił lojalnego Paula, by wybrał się do Sabaudii zamiast niego.

W niedzielę wieczorem przywieziony przez Paula James – tak nazywał go William – odkrywał z podziwem prywatną rezydencję ojca, swój gigantyczny pokój, basen, salę gimnastyczną, personel do swoich usług. William z wielkim trudem ułożył go do snu, bo chłopiec drżał z podniecenia.

Gdy dziecko zasnęło, dwaj przyjaciele zasiedli w salonie.

– Zagrasz w bilard?

– Wolę podwójną whisky, żeby dojść do siebie – odparł Paul.

– Po czym dojść do siebie?

Paul opowiedział mu o strasznych scenach, które rozegrały się w Sabaudii.

Gdy poprzedniego wieczoru dotarł do alpejskiego domku, Mandine

zrozumiała, że przychodzi odebrać jej syna, i zareagowała jak dzikie zwierzę. Z przeraźliwym wrzaskiem rzuciła się na Paula, bijąc go, drapiąc i kopiąc, zdecydowana przepędzić intruza. Jej siła zaskoczyła mężczyznę. „Zabiłaby mnie, gdyby ojciec Zian nie interweniował”. Gdy starzec zdołał ich rozdzielić, popędziła na piętro, chwyciła syna i zamknęła się w swoim pokoju, przekręcając dwukrotnie klucz w zamku.

– James płakał, szamotał się, błagał ją, żeby go wypuściła, ale do jej mózgu dzikiego zwierzęcia nic już nie docierało. Krzyczała zza drzwi: „Nigdy! Nigdy! Nigdy!”. Rozzłoszczony Zian sprowadził posiłki. Wraz z czterema sąsiadami wyważył drzwi i wyrwał córce wnuka. Wieśniacy poskromili Mandine przy użyciu czegoś w rodzaju kaftana bezpieczeństwa, unieruchamiając jej nadgarstki na plecach. Wówczas jej zachowanie przybrało tragiczny obrót: rzuciła się na ścianę z wysuniętą do przodu głową. „Oddajcie mi go! Oddajcie mi go!” Rozbita głowa krwawiła, lecz Mandine nadal waliła nią w przepierzenie. Morze krwi. W pięciu udało nam się ją ujarzmić do przyjazdu ratowników medycznych. Zrobili jej zastrzyk uspokajający. Stawiała opór. Po potrójnej dawce w końcu zasnęła, jęcząc. Umieściłem twojego syna w hotelu przy szwajcarskiej granicy, skąd nie mogłaby go zabrać. James się trząsł. Nawet jeśli potępiał reakcję matki, drżał ze współczucia do niej, zastanawiał się, czy nie popełnia błędu, wyjeżdżając, i czy Mandine nie miała racji, sprzeciwiając się temu. Bełkotał, szlochał, jęczał, drapał się. Pozwoliłem sobie dać mu proszek nasenny, żeby odpoczął.

Paul westchnął, zanim podjął opowieść:

– Dziś rano poszedłem zatem do ich domu po jego rzeczy. A tam spotkało mnie lodowate przyjęcie... Mandine, bosa, ubrana tak samo jak poprzedniego dnia, siedziała na ziemi, czekając na mnie za drzwiami wejściowymi, trupio blada, poszarzała, bezkrwista, z zaczerwienionymi powiekami, suchymi ustami, i przyglądała mi się z takim spokojem, jakby była martwa, jakby już przeniosła się na tamten świat. Wszędzie za mną chodziła, opierając się o ściany. Nie odzywając się ani słowem, patrzyła, jak składam ubrania jej syna, umieszczam je w walizkach, pakuję jego zabawki. Ojciec Zian

obserwował ją kątem oka, ale – jak się domyślałem – tak jak ja bardziej obawiał się jej spokoju niż jej wcześniejszego szału. Podczas gdy dwóch wynajętych przeze mnie osiłków zanosilo walizy i torby do wioski, skorzystałem z propozycji ojca Ziana, żeby zjeść z nim placek śliwkowy. Mandine nie protestowała, kiedy usiedliśmy w fotelach przy kominku, a potem wyszła się przewietrzyć. Miała twarz bez wyrazu. Gawędziliśmy, popijając kawę z kropelką wódki z winogron, gdy usłyszeliśmy zajadłe szczekanie. Zian natychmiast wstał. „Gust!” „Słucham?” „To Gust, jej pies. Jest tak stary, że nie szczeka już od miesiący!” Spodziewając się najgorszego, Zian wypadł na zewnątrz, zorientował się, skąd dochodził hałas, i obaj pobiegliśmy do obory. Nad żółtym molosem skowyczącym z rozpaczki wisiała Mandine, z szyją ściśniętą postrońkiem, który przywiązała do środkowej belki. Podrygiwała, jeszcze żywa. Po kilku sekundach Zian rzucił mi siekierę, wspiąłem się na szkielet dachu, posługując się drabiną, której użyła ona, i przeciąłem sznur. Ciało Mandine spadło na słomę. Pies zaczął czym prędzej lizać swoją panią, a Zian przypadł do ziemi i rozluźnił pętlę. Mandine, z przekrwioną twarzą i krótkim oddechem, powtarzała ochryplym głosem ojcu, który kołysał ją w ramionach: „Zostaw mnie. Zrobię to znowu. Zostaw mnie”. „Nie”. „Tak!” Ojciec Zian doznał wtedy przebłysku geniuszu: puścił ją, wyprostował się, spojrział na nią i nagle wymierzył jej siarczysty policzek. „Ty egoistko!” „Co?” – jęknęła Mandine, masując sobie szczękę. „Musisz zostać przy życiu dla niego”. „Dla kogo?” „Dla swojego syna. Pewnego dnia być może będzie cię potrzebował”. Mandine zmieniła się na twarzy. Już się nie buntowała. Jakaś wewnętrzna dojrzałość wskrzeszała tę Mandine, którą znaliśmy, silną, porywczą. Krew znów zaczęła krążyć w jej żyłach. Łzy powoli pociekły jej po policzkach, po zmaltretowanej szyi. Płakała z ulgi, uśmiechając się mimo łkania. „Masz rację, tato, pewnego dnia Jotbe będzie mnie potrzebował”. Ojciec Zian przytaknął. Skuliła się w jego ramionach, a on głaskał ją z szorstką czułością, beznamiętnie, jak chłop, który uspokaja młodą kozę. Potem, podtrzymując córkę, wrócił z nią do domu. Godzinę później nuciła pod prysznicem. Słyszeliśmy ją z dołu, czując ulgę, przekonani, że już się nie targnie na swoje życie.

Paul skończył opowieść i obaj przyjaciele zamilkli, bo każdy z nich rozmyślał o dramacie Mandine i jej dziecka.

– Dolejesz mi? – zapytał Paul, podając swoją szklanę.

– Oczywiście.

Nalewając złocisty płyn, William wyszeptał:

– Dziękuję, Paul. Spodziewałem się, że dojdzie do czegoś takiego, i nie czułem się na siłach stawić temu czoła.

– Dobrze się stało, że to byłem ja. Teraz na spokojnie możesz zaoferować synowi wszystko, co najlepsze.

Paul wstał.

– *Ite, missa est.* Rodzina na mnie czeka. Rzadko się zdarza, żebym spędzał niedzielę z dala od niej... A po takich przeżyciach...

William odprowadził go aż do zewnętrznych schodów. Na ulicy brudne światło latarni tłumiło kolory, upraszczając kształty. Kilku biegaczy uprawiających jogging w kominiarkach wypadło nagle z Lasku Bulońskiego, posuwając się slalomem między mieszczuchami, którzy wyprowadzali psy na spacer.

– Jeszcze raz dziękuję, Paul.

Paul Arnoux wcisnął kapelusz na głowę, zapiął płaszcz i osłonił szyję jedwabnym szalikiem. Chłodny wiatr zapowiadał paryską jesień. Wkładając rękawiczki, Paul, niezbyt zdecydowany stawić czoła temu niegościnnemu światu, mruknął:

– Wiesz, nigdy nie widziałem czegoś takiego.

– Czego?

– Podobnej miłości. Miłości tak silnej. Tak potężnej. Tak gwałtownej. Gotowa była zabić dla syna. Zabić się dla syna.

Wciąż nie mogąc się zdecydować, żeby wyjść, chwycił Williama za rękę.

– Jest mi wstyd. Nie przez to, co dla ciebie zrobiłem, bo jestem przekonany, że działamy dla dobra twojego dziecka. Jest mi wstyd za siebie... Ja nigdy nie walczylibym o swoje córki tak jak Mandine.

– Ty jesteś człowiekiem cywilizowanym, Paul. Ona nie.

– Tak?

– Ty i ja jesteśmy ludźmi cywilizowanymi.

Paul pokiwał sceptycznie głową.

– Jesteśmy cywilizowani jak herbatka ziołowa: szczypta uczuć zanurzona w ciepłej wodzie. To letnie i mdłe.

Wymijając Williama, pożegnał go, a potem ciężkim krokiem oddalił się w ciemność.

James przyzwyczał się do paryskiego życia. Uwaga, którą poświęcał mu ojciec, uprzejmość personelu, przepych, który usuwał wszystkie jego zmartwienia – oto co pomogło mu się przystosować i już nie dygotać na wspomnienie Sabaudii. Był bystry i przenikliwy, a ponieważ pragnął zasłużyć na podziw Williama, pilnie przykładał się do nauki w szóstej klasie gimnazjum Stanislas.

Co dwa tygodnie William wysyłał go samolotem w Alpy. Początkowo różnica między Paryżem a górami nie krępowała Jamesa. Przeciwnie, chełpił się, że należy do dwóch odmiennych światów, tym bardziej że wszędzie spotykał się z miłością, miłością ojca albo matki i dziadka. Sporo czasu minęło, zanim uświadomił sobie, że dorasta między skrajnym bogactwem a ubóstwem – ojciec Zian zdeponował pieniądze od Williama w banku i nie dotykał ich, przeznaczając je dla córki na stare lata.

Później oburzały go pewne drobiazgi. Jego matka, która wciąż biegła zwinnie pewnym krokiem po alpejskich halach, niczego nie rozumiała z jego lekcji, nie zwracała uwagi na historie, które go bawiły, oglądała jego ulubione filmy szeroko otwartymi, zahipnotyzowanymi oczami bez żadnej reakcji i ledwie go słuchała, gdy do niej mówił, zbyt spragniona przytulania go do

siebie. Zaczął się powoływać na zaproszenia do kolegów, żeby skracać pobyt w Sabaudii. W wieku młodzieńczym fizyczna czułość okazywana mu przez Mandine, jej pocałunki, uściski, pieszczoty, sjęsty, do których spędzania w jej ramionach go zmuszała, zaczęły mu doskwierać, toteż odsunął się od matki. Od tego czasu lepiej rozumiał ojca i sam dawał mu się lepiej rozumieć. Na szczęście nie wstydził się Mandine, bo odwiedzał ją w Sabaudii, w jej własnym świecie, bez świadków.

William cenił sobie to, że chłopiec dorasta u jego boku. Oczywiście dostrzegał u niego drobne niedoskonałości – tchórzostwo, snobizm, pociąg do luksusu – lecz kochać kogoś oznacza również kochać jego wady.

Pewnego ranka zaniepokoił go pewien drobiazg. Jeden ze służących właśnie położył pocztę na stole śniadaniowym, ale William, pochłonięty drażliwymi negocjacjami przez telefon, nie zwrócił na nią w ogóle uwagi i ze słuchawką przyklejoną do ucha oddalił się w głąb pokoju. Wisiało tam lustro, w którym, wciąż rozmawiając, sprawdził węzeł krawata. Otóż w tych samych ramach dostrzegł Jamesa, który przemknął za jego plecami, przejrzał koperty, zwędził jedną, pomarańczową, i umknął. Nastolatek przeprowadził ów zabieg, podejmując środki ostrożności godne włamywacza.

Gdy William skończył rozmawiać, poczuł gorycz. Co ukrywał przed nim syn? Co ukradł? Jaki list otrzymał, o którym ojciec miał się nie dowiedzieć? Początkowo pomyślał o rachunkach za potajemne zakupy, ale zaraz wrócił mu dobry humor, bo zwietrzył korespondencję miłosną.

Zaintrygowany William skierował się do pokoju Jamesa, żeby z nim porozmawiać. Gdy przechodził przez próg, syn, z tornistrem na plecach, potrącił go, oznajmiając, że nie ma ani sekundy do stracenia, bo w przeciwnym wypadku zawali sprawdzian z geografii. William pogładził Jamesa po włosach, kiedy ten go mijał.

Odruchowo usiadł na łóżku, przyjrzał się ścianom. Plakaty z muzykami rockowymi, z tenisistami. Powieści fantastycznonaukowe. Saga z gatunku heroic fantasy. Pomyślał o liście. Gdzie go schował? Nie! Przecież nie będzie

grzebał w szufladach syna! Gdy sam miał piętnaście lat, znienawidziłby rodziców za tego rodzaju postępek. Powstrzymywany przez skrupuły, zamierzał wyjść z pokoju syna, lecz wzdrygnął się, wstając z łóżka: list, który James usunął z poczty, spoczywał w koszu na śmieci. Poznał go po mandarynkowym papierze.

Nie zadrżała mu ręka, gdy sięgnął po kopertę. Wygląd pokrywających ją liter wydał mu się znajomy: charakter pisma Mandine.

Opadł na łóżko nastolatka. A zatem jego syn postępował tak samo jak on? Jego syn wyrzucał listy od Mandine bez otwierania? Czyżby ta historia zaczynała się od nowa?

Niezdecydowany, wahał się, czy otworzyć kopertę. A jeśli James się zorientuje? Też coś, pokoje sprzątano każdego ranka, więc chłopak nie mógł liczyć, że ją odzyska, skoro trafiła do kosza.

William schronił się w swoim gabinecie. Zamknął się w nim.

Muj kohany Jotbe. Gust zdech. Miał 18 lat. Durzo jak na psa. Myśle że był szczęśliwy. Durzo płakałam. Brak mi cie. Żadziej przyjeżdżarz. Pisz do mnie czeńściej. Wyglonda że piszesz bardzo ładnie. Ja tak nie umie. Twoja kohajonca mama.

William uświadomił sobie, jak ogromny cios zadał Mandine, zajmując się Jamesem. Chociaż zauważył coraz liczniejsze zastrzeżenia nastolatka, gdy trzeba było jechać do Sabaudii – pod pretekstem nauki i wycieczek szkolnych wybierał się tam coraz rzadziej – nie zdawał sobie sprawy z ochłodzenia uczuć Jamesa, zwłaszcza że nigdy mu nie towarzyszył. Jakim prawem miałyby zbesztać syna? Jak ośmieliłby się robić mu wymówki, skoro on w tym samym wieku wstydził się Mandine?

„Matka to nie kochanka – podpowiadał mu jakiś wewnętrzny głos. – Masz tylko jedną matkę. Nie wolno ci sprawiać jej przykrości”.

William obiecał sobie interweniować, gdy znajdzie odpowiedni moment.

Tydzień później nadal nie znalazł takiego momentu.

W poniedziałek rano scena ze skradzionym listem się powtórzyła.

Co robić? Williamowi poniekąd podobało się, że James oddała się od Thievenazów, żeby stać się Goldenem. W wieku, w którym synowie buntują się przeciwko ojcu, James uwielbiał swojego. Czy William miał mieć mu to za złe? Powstrzymać go? Czy nadwyreżyłby w ten sposób to nieoczekiwane przywiązanie, głębokie i wzruszające? Jak wstawić się za Mandine? Cierpiała na upośledzenie umysłowe, coraz mniej rozumiała syna i przytłaczała go nadmierną czułością.

Miesiącami pozwalał Jamesowi wykraść listy od matki i wyrzucać je do śmieci.

Pewnego wieczoru William wtajemniczył syna w świat opery – chłopak miał szesnaście lat i powinien zakosztować tej subtelnej sztuki. Na chrzest bojowy wybrał *Madame Butterfly*, przeczuwając, że egzotyka Japonii, a także olśniewające partie orkiestrowe Pucciniego mogłyby go oczarować. Poza tym znakomita obsada obejmująca najlepsze na świecie głosy operowe zapowiadała wyjątkowy wieczór.

Nie pomylił się. Przedstawienie ukazywało swe wspaniałości, z których pierwszą była sama opowieść.

W Nagasaki zbyt młoda Cio-Cio-San zakochuje się w Pinkertonie, oficerze marynarki amerykańskiej, który znalazł się w porcie podczas przerwy w rejsie. Wbrew rodzinie, wbrew konwenansom, wbrew swojej religii Cio-Cio-San – co po japońsku znaczy Madame Butterfly, Pani Motyl – wychodzi za Jankesa. Biorą ślub. Dla niej to poważna sprawa, dla niego zwykły folklor. Uprawiają seks. On wyjeżdża. Trzy lata później, wychowując owoc ich związku, kobieta wciąż na niego czeka, wierna, osamotniona, odrzucając korzystne partie. Gdy Pinkerton przybija do portu ze swą świeżo poślubioną amerykańską żoną, dowiaduje się, że ma z Cio-Cio-San syna, i postanawia go zabrać ze sobą. Cio-Cio-San udaje, że się zgadza, całuje dziecko, a potem popełnia samobójstwo.

W miarę jak rozwijała się akcja, William, dając się ponieść muzyce,

zachwycony dekoracjami, oszołomiony olśniewającą interpretacją artystki, która użyczyła swojego czystego, aksamitnego, lirycznego głosu naiwnej gejszy, czuł, że ogarnia go litość. Butterfly traciła wszystko, rodzinę, przodków, swą japońską tożsamość, męża, syna, życie. Miażdżyła ją nieuchronna tragedia. Na skutek japońskich akcentów, jedwabistych skrzypiec, orientalnych brzmień, wytężonych głosów śpiewaków, którzy prześcigali się w głośności z orkiestrą, William porzucał zwyczajne filtry swej świadomości. Muzyczny dramat go przenikał. Drżał, gdy Butterfly nie podejrzewała cynizmu Pinkertona, płakał, widząc, jak latami wypatruje jego okrętu na falach, trząsł się z oburzenia wobec brutalnej arogancji mężczyzny, rozczulił się z powodu ofiary Butterfly, która powierzała syna ojcu, i we własnym brzuchu poczuł cios miecza Japonki, który rozpruwał jej wnętrzności.

Chroniony mrokiem łoży, bez zahamowań uległ emocjom. Gdy po dwudziestu minutach rześzystych braw ponownie rozbłysły światła, James odwrócił się do niego i wykrzyknął z drwiącym uśmiechem na ustach:

– Ależ melodramat!

W ten sposób chłopak oznajmiał, że nie dał się nabrać: doskonale zrozumiał, że autorzy i wykonawcy chcieli go poruszyć, on jednak oparł się tej emocjonalnej manipulacji całą mocą swych szesnastu lat. W gruncie rzeczy przechwalał się, że niczego nie poczuł i że wychodzi z przedstawienia nietknięty.

Przez sekundę William uważał, że jego syn jest głupi. Potem przyszła mu do głowy pewna myśl: Madame Butterfly przypominała Mandine! Oto dlaczego on, William, był tak wzruszony. Chociaż postąpił tak samo jak Pinkerton, ten arogant, który podczas podróży bierze kobietę, a potem ją rzuca, ten wpływowy bezwstydnik, który wyrywa syna matce, uważając ją za gorszą od siebie, Puccini zmusił go do przeżycia tej sytuacji widzianej oczyma romantycznej Butterfly.

Wieczorem, po powrocie do domu, życząc Jamesowi dobrej nocy w jego

pokoju, ukradł mu kilka zeszytów, zamknął się w swoim gabinecie, z łatwością nauczył się naśladować jego charakter pisma, a potem, gdy wybiła północ, ośmielony, zredagował list przeznaczony dla Mandine.

Godzinę później podpisał go „James”.

Jego Butterfly będzie cierpiała mniej od bohaterki Pucciniego: jej syn ją uwielbiał. Tym gorzej dla prawdy, tym gorzej dla Jamesa. William, oburzony bezwzględnością mężczyzn, swoją własną, chciał złagodzić smutek Mandine i osłodzić jej samotność.

Jak łatwo ją było kochać!

William latami opowiadał Mandine, co on – James – robił w ciągu dnia w szkole, wieczorem z ojcem, w weekend z kolegami. Hojnie komentował książki, które czytał, i filmy, które oglądał, a przede wszystkim wypytywał ją o to, co dzieje się w Sabaudii: jak się czuje dziadek Zian, jak się sprawuje rudawy pies, który został następcą Gusta, jak kozy reagują na zmianę obory. Na koniec wymyślał kilka pochlebnych formułek, wiedząc, że Mandine będzie je w kółko czytała z entuzjazmem.

Żeby uwiarygodnić swój fortel, przechwytywał listy Mandine do syna, przeglądał je i ponownie zaklejał, zanim mu je oddał. Zmuszał również Jamesa, by raz w miesiącu pisał list do matki. Chodziło o to, żeby chłopak się nie dziwił, gdy ta wspomni z zapałem o wiadomościach od niego.

Kłamstwo zdawało egzamin. James wyrósł na paryżanina i coraz rzadziej jeździł w odwiedziny do matki i dziadka, ale listy rekompensowały im jego nieobecność. Co do Williama, delectował się nocami, które wypełniał pisaniem tych fałszywek: łudził się, że łagodzi okrucieństwo świata, że zapracowuje na przebaczenie za porwanie syna, że cywilizuje niewrażliwego Jamesa i wykorzystując go jak maskę, folgował sobie, wyrażając autentyczne przywiązanie do Mandine.

James, po zdaniu matury, poszedł w ślady ojca i podjął studia – w jego żyłach płynęła krew Goldenów. William musiał nalegać, żeby syn pojechał raz czy drugi do Sabaudii. Zależało mu na tym również dlatego, że jego

zdaniem Jamesowi, z jego trupioblada cera paryżanina, studentowi i hulace, wysłoby na dobre, gdyby pochodził po górach i pooddychał czystym powietrzem. Syn niestety go nie słuchał i już po czterech dniach wracał w pośpiechu do rezydencji, równie blady jak wcześniej.

Kiedy James miał dwadzieścia pięć lat, w trakcie przyjęcia, które zmieniło dom w migoczącą dyskotekę, doszło do dziwnego wypadku. W chwili gdy zabawa trwała w najlepsze, chłopak stracił przytomność. Sądono, że to zatrucie alkoholem, bo ostro pił, ale badanie na pogotowiu ratunkowym ujawniło problem z nerkami, więc go hospitalizowano.

Przez pierwsze godziny William nie przyjmował do wiadomości orzeczenia lekarzy. Przecież jeśli młody człowiek upije się z okazji urodzin, to jeszcze nie powód, żeby diagnozować u niego chorobę nerek! To się zdarza bez przerwy! Powariowaliście tam? Wypuście mojego syna.

Profesor Martel spokojnie i pedagogicznie wyjaśnił ze smutkiem Williamowi, że przyjęcie nie stanowiło przyczyny, lecz katalizator. Jego syn od lat cierpiał na martwicę nerek, która właśnie się nasiliła.

– Nie dziwiła pana jego cera?

– Owszem, ale tak dużo pracował...

– Czasami wymiotował?

– Tak, ale chodził do nocnych klubów, więc ja...

William zwiesił głowę zrezygnowany: zrozumiał.

– Jakie leczenie należy zastosować?

– Nie istnieje żadne leczenie.

– Co?

– Jedynym wyjściem jest transplantacja. Jeśli przeszczepi mu się nerki, być może przeżyje.

– Zróbcie to!

– To bardzo delikatna sprawa. Nie dość, że dawców nerek jest niewiele, musimy mieć dwie, i to takie, których jego organizm nie odrzuci. Nie traćmy jednak nadziei. Natychmiast sprawdzę rejestr transplantacji.

W ciągu kilku dni James, jakby wieść o chorobie była dla niego wyrokiem, zmizerniał w przerażający sposób. Gdy William go odwiedzał – rano, w południe i wieczorem – widział swojego chłopca wycieńczonego, wychudłego, z poszarzałą cerą, żółtymi oczami i drżącymi wargami.

Zaniepokoił się, uruchomił znajomości, zabiegał o pomoc w całym Paryżu, żeby przyspieszyć operację. Niestety wciąż nie znajdowano dawców zdrowych nerek.

Po czterech tygodniach złudnych nadziei sytuacja wymknęła mu się spod kontroli: Jamesowi groziła śmierć.

Tamtego wieczoru zamknął się w swoim gabinecie. Musiał zakomunikować prawdę jego matce i dziadkowi. Jak się do tego zabrać?

Postanowił napisać dwa listy. Jeden, od siebie, do ojca Ziana. Drugi, od Jamesa, do Mandine.

Gdy skończył pierwszy, trząsł się, redagując wiadomość dla Mandine:

Moja kochana Mamo,

być może odejdę już z tego świata, gdy otrzymasz ten list. Zdiagnozowano u mnie bardzo poważną niewydolność nerki – obu nerek. Chociaż nic nie wiedziałem o tych organach, przekonałem się na własnej skórze, że odgrywają zasadniczą rolę w naszym ciele i jeśli przestają być skuteczne, nasze życie się wali. Jakże to prawdziwe, Mamo! Słabnę z każdym dniem... Jedzenie nie tylko przychodzi mi z trudem, lecz także nie mam już na nie ochoty. Czekam. Na co? Nie wiem. Na przeszczep, twierdzą lekarze. Na śmierć, bez wątplenia. Tato codziennie przychodzi do mnie na kilka godzin i odczytuję z jego przestraszonej twarzy, że gasnę.

Mamo, chciałem Ci po prostu powiedzieć, że Cię kocham. Wszystko Ci zawdzięczam. Po pierwsze, życie, bo nosiłaś mnie w sobie, w swoich

ramionach, przy piersi, podczas gdy nikt mnie nie pragnął – nie jest dla mnie tajemnicą, że ojciec próbował Cię nakłonić do przerwania ciąży ani to, że dziadek uważał mnie za powód do wstydu. Po drugie, miłość. Byłaś pełna wspaniałomyślności, poświęcenia, uśmiechu, energii. Nawet gdy pozwoliłaś, żebym Cię opuścił, co łamało Ci serce, zgodziłaś się na to z dobroci, myśląc, że powinienem zostać „wielkim panem z miasta”. Wybacz mi ten wyjazd. Wybacz mi, że tak rzadko wracałem. Wybacz mi, że byłem daleko. Wybacz mi, że przez zarozumiałość odtrącałem Twoje pieszczoty, Twoje pocałunki, Twoje głaskanie: chciałem być silny, samodzielny, bez ograniczeń, jak to chłopcy. Gdyby dano mi szansę kontynuowania tego życia albo otrzymania innego w zamian, wierz mi, że postarałbym się okazywać Ci miłość, którą wyrażałem wyłącznie w listach, i że zapewniłbym kontynuację Twojej tak mocnej miłości w tej, którą obdarzyłbym swoje dzieci, Twoje wnuki.

Leżąc w szpitalnym łóżku, szukam schronienia w naszych wspólnych wspomnieniach. Uspokajają mnie. Wyobrażam sobie, że trzymasz mnie za rękę i zbiegamy po łąkach, w towarzystwie Gusta i kozy Białaski, dwojga Twoich przyjaciół, jeszcze bardziej szalonych, bardziej radosnych, bardziej rozentuzjasmowanych niż my, a cała nasza czwórka jest upojona szczęściem wynikającym z tego, że rozprostowujemy nogi, wdychamy rozgrzane słońcem powietrze, witamy wiosnę. Ileż racji mieliśmy, ciesząc się z niczego. Bo to nic było wszystkim. Wdychanie, wydychanie, uświadamianie sobie tego, zachwycanie się tym. Co za mądrość! Chociaż stykałem się z wieloma wybitnymi ludźmi, finansistami, politykami, ideologami, uczonymi, dochodzę do wniosku, że Ty, Gust i Białaska udzieliliście mi najodpowiedniejszych lekcji. Jak zadziwiać się istnieniem. Jak dziękować. Jak się cieszyć ze wszystkich sił.

Byliście najlepszymi nauczycielami życia, wręcz filozofii, nawet jeśli nie dorosłem do tego, czego mnie uczyliście. Później nieco się zagubiłem w labiryntach wyrafinowania, starając się upodobnić do strapionych umysłów, tych, które wolą zniechęcenie od radości, pesymizm od optymizmu, śmierć od życia. Gdy robiłem jakąś ponurą uwagę, cyniczną, nihilistyczną czy

pełną rozpaczy, oklaskiwali mnie, przyznając mi dyplom z przenikliwości. Jednak w moim obecnym stanie osłabienia to, czego mnie nauczyli, sprowadza się do kupki pyłu, więc odzyskuję siły i jasność umysłu jedynie wtedy, gdy myślę o Waszej trójce.

Gust... Białaska... Czy myślisz, że odnajdziemy tam, w górze, zwierzęta, które kochaliśmy? Bardzo na to liczę... Jestem pewien, że dokonają niemożliwego, żeby mnie ponownie zobaczyć, że będą czekać wiernie przez lata, znosząc chłód, nieznaną, samotność, zniechęcenie po to, by popędzić do mnie z ciepłym nosem, merdającym ogonem i zmrużonymi oczami. Będziemy się obejmować bez końca. Jeśli tak jest, wieczność będzie piękna.

Całuję Cię, moja mała Mamo, moja wielka Mamo, moja strudzona i niestrudzona Mamo, moja Mamo, której niechcący, wbrew sobie, zadaję ogromny ból.

Twój kochający syn

Podpisując się „James”, William zalał się łzami. Po raz pierwszy w życiu on, który płakał wyłącznie w operze, już nie potrafił się uwolnić od tego, co przeżywał, zapanować nad sytuacją. Zwały się na niego wszystkie zmartwienia naraz: zmartwienie Jamesa, przyszłe zmartwienie Mandine i jego własne. Wibrowały w nim cierpienia bliskich, nawet cierpienia zwierząt Mandine, na które tak mało zwracał uwagę. Jego wrażliwość, która przez czterdzieści lat nigdy się do niczego nie przydała, pozwalała się rozdzierać, rozszarpywać przez wstrętne domysły. Leżąc na plecach, z twarzą zwróconą do sufitu, szlochał aż do rana.

W szpitalu miał równie wynędzniałą twarz jak syn.

– Nadal nie ma dawcy? – zapytał James słabym głosem.

– Jeszcze nie.

Potem zamilkli. Nie mieli sobie już nic do powiedzenia. Liczyło się tylko to, że są razem.

Dwa dni później, około ósmej wieczorem w rezydencji rozległ się dzwonek

i dało się słyszeć harmider przy wejściu. William, wychylając się na klatce schodowej, zobaczył, że jego służba próbuje się pozbyć jakiejś bardzo wzburzonej kobiety, której towarzyszy starszy mężczyzna.

W jednej chwili zrozumiał, co się stało: Mandine i ojciec Zian przyjechali do Paryża, żeby wesprzeć Jamesa.

Z najwyższego podestu schodów natychmiast polecił, żeby ich wpuszczono i przygotowano dla nich pokoje.

Mandine patrzyła, jak do nich schodzi.

– Jak on się czuje?

William podszedł do niej i ujął jej rozedrgane dłonie.

– Źle – wyszeptał.

Przywarła do niego i zupełnie się tego nie wstydząc, zaszlochała. Ojciec Zian chciał uwolnić Williama od jej uścisku, lecz ten go powstrzymał. Tym razem kontakt z Mandine nie był dla niego krępujący. Czuł w nim ciepło owego pięknego, silnego ciała, czuł w nim miłość, miłość potężną, i traktował ją jak podarunek. Poruszenie, jakiego doświadczał, nie miało w sobie nic erotycznego, okazało się fizyczne i duchowe. W gruncie rzeczy obejmował Mandine, jakby był jej mężem. Chyba że obejmował ją za Jamesa...

Po kilku wyjaśnieniach William zaprosił Mandine i Ziana, żeby zjedli kolację w jego towarzystwie. Mimo przygnębienia Mandine okazywała zainteresowanie domem, wystrojem, naczyniami stołowymi, wszystkim tym, co wiązało się z codziennością Jamesa, którą dobrze znała z jego listów.

William oznajmił im, że następnego dnia rano zawiezie ich do szpitala.

– O której godzinie? – wykrzyknęła Mandine, z jakiegoś rodzaju przerażeniem w oczach.

– O dziewiątej. Spotkam się z wami w holu o dziewiątej.

– Proszę, zbudź mnie o ósmej. Zapomniałam zabrać budzik.

– Dobrze.

– Przysięgasz? Zapukasz do mnie o ósmej?

Nalegała tak bardzo, jakby chodziło o kwestię najwyższej wagi.

– Przysięgasz?

Wzruszony William uspokoił ją:

– Przysięgam ci: zapukam do drzwi o ósmej.

– I zaczekasz, aż ci otworzę i wrócę.

– Dlaczego?

– Żeby sprawdzić, czy cię usłyszałam.

– Zgoda.

– Powtórz! – poleciła mu.

William powtórzył posłusznie z pobłażliwym uśmiechem:

– Zapukam do twoich drzwi o ósmej i zaczekam, aż mi otworzysz.

– Zgadza się. Jeśli nie odpowiem, wejdiesz.

Skinął cierpliwie głową w taki sposób, w jaki uspokaja się dziecko.

– Obiecuję. Przysięgam.

Podziękowała mu, zalewając się łzami.

Kładąc się spać, William przypomniał sobie harmonijną prostotę tych chwil, które właśnie dzielił z Mandine i ojcem Zianem. W gruncie rzeczy stanowili rodzinę. Potrzebna była choroba Jamesa, żeby zdał sobie z tego sprawę. Dlaczego zawsze chciał rozdzielać te dwa światy, swój i Mandine? Czego się bał? Czy pogrążył syna, narzucając mu ten podział?

Spał źle. Krótko. Stan Jamesa wymagał natychmiastowego przeszczepu. W przeciwnym razie...

Całkowicie wyczerpany, poczuł ulgę, widząc, że różowieje świt, i przygotował się, żeby zabrać do syna swoją rodzinę w komplecie.

Gdy już wziął prysznic i ubrał się, zauważył, że jego zegarek pokazuje

ósmą dziesięć i przypomniał sobie o obietnicy.

Wszedł na piętro przeznaczone dla gości i delikatnie zapukał do drzwi.

W pokoju nic się nie poruszyło.

Zastukał ponownie. Potem, wobec niezmałconej ciszy, zawołał przez drzwi:

– Mandine, czas wstawać.

Żadnej reakcji.

Nacisnął klamkę, a ta ustąpiła.

Wśliznął się na palcach do pokoju i podszedł do łóżka.

– Mandine!

Nawet nie mrugnęła.

Dopiero wtedy zauważył na podłodze puste fiołki i wiadomość zostawioną w widocznym miejscu:

Moje nerki dla Jotbe.

Mandine popełniła samobójstwo, żeby uratować syna.

W ciągu następnych godzin William mógł jedynie stwierdzić, z jaką starannością i skrupulatnością Mandine wszystko przewidziała i zaplanowała. Jak na osobę niedorozwiniętą umysłowo był to oszałamiający wyczyn! Czy ktoś jej pomógł? A może w nagłym przyływie energii – lub porywie miłości – znalazła sposób, by zrozumieć to, co zazwyczaj przekraczało możliwości jej mózgu?

Postanowiła połknąć lekarstwa, które sprawią, że znajdzie się na progu śmierci, po to, by mogła dotrzeć żywa do szpitala na przeszczep. Wszystko zostało zaplanowane co do minuty: zażycie leków, odkrycie jej ciała przez Williama, czas przejazdu. Oczywiście istniało pewne ryzyko: że będzie się próbowało reanimować ją za wszelką cenę.

Jeśli o to chodzi, tak jak niewątpliwie założyła, interweniował William.

Przedstawił lekarzom sytuację: Mandine zabiła się, żeby oddać nerki synowi. Jeśli nie uszanują jej woli, będą mieli do czynienia z dwoma trupami: Jamesa i jego, kiedy ona się ocknie i dowie się, że ją zignorowano. Lekarze odegrali typową komedię – „Nie bierzemy pod uwagę tych informacji, musimy ją ratować” – ale w tajemnicy rozważali i przygotowywali operację.

Kilka godzin później przeszczepiono jej nerki synowi.

Po długotrwałym wstrząsie James zaczął wracać do siebie. Przeszczep się przyjął. Chociaż kodeks etyki lekarskiej nakazuje ukrywać pochodzenie organów, William, po skonsultowaniu się z zespołem medycznym, ujawnił synowi prawdę.

James wydawał się przybity tą wiadomością. William, uznając, że przytłacza go poświęcenie matki, próbował z nim o tym rozmawiać, żeby uniknąć traumy, ale syn za każdym razem się zasępniał, a potem zmieniał temat.

Życie zwyciężyło.

Po pięciu miesiącach James wyszedł ze szpitala – wątły, ale wyleczony.

William zaproponował mu wyjazd do Sabaudii, żeby zobaczyć się z dziadkiem i złożył kwiaty na grobie matki. James spuścił głowę i zgodził się na tę wyprawę, ale w żadnym momencie nie okazywał najmniejszych emocji, nawet na cmentarzu. Czując, że syn w ten sposób się chroni, William pozwolił mu pograć się w milczeniu. Czas w końcu rozwiąże mu język, William wesprze syna i porozmawiają o Mandine.

Tydzień po ich powrocie zauważył, że James usunął wszystkie zdjęcia matki, które zdobiły regał w jego pokoju, odkąd miał dziesięć lat.

William wzruszył ramionami i postanowił cierpliwie czekać, a w następnym miesiącu umieścił portret Mandine w zegarku kieszonkowym odziedziczonym po wuju. Później, niemal nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął go nosić codziennie.

W Tour Golden oczekiwano świtu jak skazaniec egzekucji.

Ratując się kawą, amfetaminą i kokainą, kadra kierownicza banku spędzała noc na poszukiwaniu rozwiązania, które zminimalizowałoby katastrofę. Niestety! Każda sugestia po kilkuminutowej analizie okazywała się bezsensowna i tym samym potwierdzała jej nieuchronność: nie istniał żaden sposób ukrycia oszustw FIGR, pseudofunduszu inwestycyjnego utworzonego przez Jamesa Goldena. Wszystko było stracone.

Narada, która rozpoczęła się o drugiej w nocy, jedynie skłoniła obecnych do podjęcia w duchu takiej oto oczywistej decyzji: „Ratuj się kto może, każdy na własną rękę!”. Winni ukrywali swoje znaczenie, dostarczając argumentów, które czyniły z nich ofiary poleceń, nacisków, szantażu, niszczone przez nieubłagany splot okoliczności. Niewinni mieli tylko jedno zmartwienie – jak oczyścić się z zarzutów. Już nikt nie próbował chronić spółki Golden.

Niektórzy – pierwszy Paul Arnoux – usiłowali opuścić gmach, oceniając, że ich obecność w firmie o wschodzie słońca zostanie uznana za podejrzaną, lecz natrafili na szczelnie zamknięte drzwi: William Golden zmienił kody dostępu, żeby zatrzymać w środku swoją ekipę.

Paul Arnoux próbował zastraszyć przyjaciela, grożąc mu, że wniesie skargę o porwanie. William Golden odparł, że zostały trzy godziny do przybycia brygady finansowej i że dwie godziny wcześniej ostatnie posiedzenie zdecyduje o wspólnej polityce.

– Nie trać głowy, wrócisz do siebie – zapewnił Paula Arnoux, nakazując mu przekonać pozostałych.

Siedząc sam w swoim gabinecie, przed telefonem, do którego podłączył głośnik, pochylił się w stronę aparatu, jakby był tam jego syn z krwi i kości.

James, którego William zbudził na drugim końcu Paryża, popłakiwał bez końca. Łzy, czkawka, jęki przywracały mu jego niegdysiejszy głos, głos chłopczyka, który skaleczył sobie kolano, spadając z roweru. Podczas gdy trzydziestolatek wymyślił gigantyczne szalbierstwo, śliniące się dziecko bełkotliwie i niezręcznie odpierało zarzuty ojca:

- Przykro mi, tato. Ja... ja nie wiem, co...
- Co ci strzeliło do głowy?
- Bardzo chciałem odnieść sukces. I to szybko.
- „Szybko” nie znaczy „źle”, mój chłopcze.

Sprzeciw przywrócił siły Jamesowi, który prychnął z typową dla siebie skłonnością do rozprawiania o byle czym:

– Źle... dobrze... to sprawa względna! Nie będziesz chyba twierdził, że cała działalność prowadzona przez banki jest „dobra”, co? Bankierzy zamykają konta, wyrzucają ludzi na bruk, zarabiają, gdy ich klienci bankrutują, napychają sobie kieszenie, zanim im zapłacą, zajmują majątki, narzucają, zatrzymują...

– Czyżbyś miał się za Robin Hooda?

– Czemu nie?

– Zwracam ci uwagę, że Robin Hood rozdawał biednym to, co zdobył. Ty zatrzymałeś złotą żyłę dla siebie, oddałeś tylko to, co się należało twoim wspólnikom. Zarobiłeś pieniądze nieuczciwie, James.

– Chciałem odnieść sukces.

– Odnieść sukces nieuczciwie to nie odnieść go wcale. Trzeba mieć możliwość czerpania dumy ze swoich działań. Dumy zarówno ze swoich porażek, jak i ze swoich sukcesów. To nie rezultat stanowi wartość, lecz poszanowanie zasad.

– Śpieszyło mi się, tato.

– Uczciwość to strata czasu?

– Chciałem działać szybko... szybko mieć z tego korzyści... Z moim zdrowiem...

To zdanie zmroziło Williama, który odwrócił się nagle do tyłu. Opanował gniew i odpowiedział oschłym tonem:

– Twoje zdrowie zawsze było dla mnie okazją do okazywania ci współczucia. Nie zmieniaj go w okazję do pogardzania tobą.

James, nie mając nic na swoje usprawiedliwienie, rozplakał się.

– Już nigdy do tego nie wrócę, tato. Nie zacznę od nowa.

William Golden ugryzł się w język i nie powiedział tego, co mu przyszło do głowy: Bernard Madoff, bandyta z Wall Street, też nie zacznie od nowa po odsiedzeniu stu pięćdziesięciu lat w więzieniu...

James, jakby czytał w jego myślach, wpadł w panikę i z trudem łapał oddech.

– Tato... ile mi wlepią w sądzie? Sprzeniewierzenie pieniędzy... jest niżej karane, choćby nawet... przecież nikogo nie zabiłem... Ile, tato, ile?

William Golden znów dostrzegał małego chłopca za podłym dorosłym i to go niepokoiło. W zamyśleniu potarł spocone dłonie o spodnie. Ileż nieporozumień! W młodości chciałoby się, żeby ojciec był bohaterem. Na starość, żeby był nim syn. W gruncie rzeczy nigdy nie akceptuje się swoich bliskich takimi, jakimi są.

Odezwał się uspokajającym tonem, choć wcale nie był spokojny:

– Zobaczymy... Dochodzenie jeszcze się nie zaczęło... Brygada finansowa stawi się tu za dwie godziny.

Cisza.

– Co zrobisz?

James wypowiedział te słowa z zapalem smarkacza, który wierzy, że jego ojciec posiada wszelkie moce. William Golden pomyślał: „On też by chciał, żeby jego ojciec był bohaterem”. Odchrząknął, poszukał w głowie jakiegoś wyjątkowego zdania, nie znalazł niczego i zdecydował się powiedzieć prawdę:

– Co zrobiłaby twoja matka?

– Słucham?

William Golden powtórzył cicho:

– Co zrobiłaby twoja matka?

Cisza. Potem James odezwał się oszołomiony:

– Moja matka?...

– Tak.

– Moja matka nawet nie umiała przeczytać wyciągu bankowego. Odróżnienie kolumny „uznania” od kolumny „obciążenia” przerastało jej możliwości.

– Zastanawiam się: co zrobiłaby twoja matka?

– Ty!... Ty się zastanawiasz, co... Już cię nie rozumiem.

– Ja też nie. Ja też cię nie rozumiem. Ale co zrobiłaby twoja matka?

Ponownie zapadło milczenie, a potem William Golden dodał szczerze:

– Oto jedyne pytanie, jakie sobie zadaję.

Powoli odłożył słuchawkę.

Jakiś hałas odwrócił jego uwagę. Popatrzył w stronę okien. Nad Sekwaną przelatywał helikopter. William zadrżał. Czy leci tutaj?

Maszyna kontynuowała lot, a potem, dzięki silnym reflektorom, wylądowała na dachu sąsiedniego szpitala, który miał wysokiej klasy oddział intensywnej terapii. Ratowano komuś życie.

William Golden westchnął, wściekły, że uległ paranoicznym impulsom.

Oparł się o szybę i popatrzył na Paryż.

Miasto nie wydawało się rzeczywiste, bo mrok tak bardzo zacierał wypukłości, zniekształcał budynki, cieniował ulice. U jego stóp rozciągała się prymitywna makieta podziurawiona lampami, wcale nie mocniej świecącymi niż robaczki świętojańskie. Brulion Paryża.

Gdy tak rozmyślał, jego dłoń namacała zegarek w kieszonce kamizelki.

Uruchomił mechanizm: Mandine uśmiechała się do niego. Jak zawsze. Niestrudzona. Promienna. Dobra.

Wzruszony, odpowiedział jej uśmiechem, pełnym, miłym, gwałtownym, na jaki nigdy wcześniej sobie nie pozwalał. Tak samo jak ona zdawała się oddawać całą siebie w tym uśmiechu, on oferował jej swój z podobną wspaniałomyślnością. Dwoje siedemnastoletnich kochanków łączyło się duchowo, przepelnionych identyczną czułością.

Nagle William wyszeptał:

– Oczywiście!

Jego twarz pojaśniała: wreszcie wiedział!

O czwartej rano William Golden zgromadził zarząd w auli.

Podwładnych zdziwił spokój, który bił od niego. Właściciel zagrożonego banku poruszał się flegmatycznie, z pogodną twarzą i beztroskim spojrzeniem. Zaczęli się zastanawiać, czy ten niesamowity facet nie znalazł jakiegoś cudownego rozwiązania.

– Usiądźcie, proszę.

Wykonali w milczeniu jego polecenie. Paul Arnoux, najbardziej zaintrygowany spokojem ducha Williama Goldena, uważnie obserwował każdą zmianę wyrazu jego przystojnej, dojrzałej twarzy.

– Panowie, macie niecałe dwie godziny na to, żeby poszperać w dokumentach i je przeorganizować. Zmienicie historię, którą przedstawiają, i napiszecie mi nową.

– Jaką, panie prezesie? – krzyknął pełen zachwytu dyrektor handlowy.

– Oskarżcie mnie! Wyłącznie mnie. Powiedzcie, że jestem zarówno inspiratorem, jak i beneficjentem tej defraudacji.

Wskazał trzech figurantów.

– Stanowski, Dupont-Morelli, Pluchard, będę was krył. Niczego nie sfalszowaliście, niczego też nie dostaliście.

– Co?

– Pan?

– My nie...

– Zatrzyjcie po sobie ślady, biorę wszystko na siebie! Oczyszczam syna z zarzutów. Jego współników również. Każdy będzie żył jak dawniej i kontynuował karierę. Jedynym winnym zostanę ja.

W pełnej osłupienia ciszy z charakterystyczną pewnością siebie wydawał polecenia, rozdzielał zadania, wskazywał każdemu, co ma robić, nakreślając globalny obraz, a jednocześnie uściślał najbardziej szczegółowe sposoby działania. Przeciętny mózg potrzebowałby tygodnia przygotowań, żeby przedstawić tak jasny i wyczerpujący plan. On przydzielał zadania od niechcienia, sprawnie, płynnie, z radością.

Gdy skończył, zadowolili się klaśnięciem w dłonie.

– No dalej, do roboty! Macie niecałe dwie godziny.

Dyrektorzy wymknęli się posłusznie z sali.

Tylko Paul Arnoux się nie poruszył. Przyglądał się przyjacielowi z przerażeniem. Oczy Williama Goldena zaślniły, gdy to zauważył.

– Paul, mój stary, rozumiesz mnie?

– Nie.

– Przecież to jasne...

Nachylił się w stronę Paula Arnoux i zwierzył mu się z półuśmiechem na ustach:

– Gdy już nie można uratować ani pieniędzy, ani honoru, można jeszcze uratować miłość.

Paul Arnoux z powagą pokręcił głową na znak, że się z nim nie zgadza.

– James nie jest wart twojego poświęcenia.

– Nie wytrzyma stu pięćdziesięciu lat w więzieniu. Jest słabego zdrowia.

– Nie zasługuje na to.

– W miłości zasługa jest po stronie tego, kto kocha, nie tego, kto jest kochany.

– Ale...

– Sza!

Paul Arnoux domyślił się, że jego przyjaciel, poruszony, śmiertelnie zmęczony, bliski łez, nie ma już siły się usprawiedliwiać. Wstał, pożegnał go i wyszedł z sali zebrań.

Uspokojony William Golden zagłębił się w fotelu, między obitymi skórą kątownikami, z dala od spojrzeń, podobnie jak w czasach dostatku.

Potem powoli, z czułością, wziął do ręki zegarek, uruchomił mechanizm, spojrzął na portret Mandine i szepnął do niej, jakby żyła:

– Dziękuję.

Zemsta i przebaczenie

Gdy postanowiła się przeprowadzić, żeby wynająć garsonierę w pobliżu więzienia, jej siostry uznały, że oszalała.

– Wyjeżdżasz z Paryża?

– Tak.

– Ze względu na niego?

Z prasy i telewizji wszyscy wiedzieli, że przeniesiono go do Alzacji: został osadzony dożywotnio w Ensisheim, w zakładzie karnym o zaostrożonym rygorze.

– Ze względu na niego? – nie dawała za wygraną najstarsza.

Nie odpowiedziała. To było takie oczywiste.

– Nie rozumiem cię! – wykrzyknęła druga.

– Robisz błąd! – dorzuciła trzecia.

– Ja też siebie nie rozumiem – odparła ze spokojem Élise – ale i tak to zrobię. Takie rozwiązanie samo się narzuca. Nie podoba mi się to, ale nie mam wyjścia.

Trzy siostry wymieniły skonsternowane spojrzenia: biedna Élise zachowywała się w ten sposób od zakończenia procesu.

– Mówiłam ci to sto razy i powtarzam raz jeszcze dla twojego dobra: powinnaś się kogoś poradzić – upierała się najstarsza.

– Domyślam się, że przez „kogoś” rozumiesz psychiatrę? – zapytała Élise ironicznie naiwnym tonem.

– Psychiatrę, psychologa, psychoanalityka, kogo tylko chcesz, kogoś na

psy- w każdym razie! Kogoś, kto zajmie się twoją równowagą psychiczną. Bo nie czujesz się dobrze, moja droga.

Élise wstała, otworzyła szufladę przesadnie ozdobnego dziewiętnastowiecznego kredensu, który zagracał połowę jej salonu, i wyjęła z niej jakiś kartonik.

– Doktor Simonin zajmuje się mną od czterech miesięcy.

Siostry chwyciły wizytówkę. Pożądliwie sprawdzały kompetencje terapeuty: profesor Patrick Simonin, lekarz szpitalny, dyplomowany w zakresie psychiatrii, psychologii i kognitywistyki, przyjmujący w gabinecie prywatnym lub w ramach publicznej służby zdrowia w szpitalu Saint-Anne. Gruba ryba. Odetchnęły z ulgą.

Élise dodała wesołym tonem:

– Jak widzicie, słucham waszych rad...

– To świetnie – potwierdziły siostry.

Uspokojone, wpatrywały się w ten kawałek kartonu płomiennym wzrokiem, jakby dziękowały lekarzowi, który leczył ich siostrę.

– Co on ci mówi?

– Na razie niewiele. Wysłuchuje mnie.

– Oczywiście. A co myśli o zamiarze przeprowadzki?

– Pochwala go.

– On...?

Otworzyły usta ze zdziwienia. Élise kiwnęła głową.

– Jego zdaniem będzie to stanowiło zasadniczy etap mojej rekonwalescencji.

Delektując się herbatą, sprecyzowała, opuszczając powieki:

– Bo jestem chora...

Najstarsza siostra odetchnęła.

– Cieszę się, że zdajesz sobie z tego sprawę, moja droga. I jestem zachwycona, że leczy cię taka znakomitość. Kochamy cię i usiłujemy cię chronić, bo jesteśmy dla ciebie najbliższymi osobami. Jeśli jednak specjalista uważa...

Dwie młodsze siostry przytaknęły najstarszej.

– Po prostu zażądał – dodała Élise – żebym kontynuowała leczenie, przychodząc na dwa seanse w miesiącu na ulicę de Vaugirard. To mnie pocieszyło.

Odetchnęły. Wzmianka o eleganckiej, szacownej ulicy Vaugirard tym bardziej je uspokoiła.

– Jak będziesz pracowała?

Élise powstrzymała słaby uśmiech. Pytanie zadane przez drugą siostrę oznaczało, że zgadzają się na jej wyjazd. Odtąd zastanawiały się nad kwestiami praktycznymi.

– Tłumaczyć mogę gdziekolwiek. Dostaję teksty przez internet i odsyłam je przez internet. Już od dawna nie spotykam się z ludźmi, którzy zlecają mi pracę.

– A twoja rodzina? Przyjaciele?

Trzy siostry, zafrasowane, pochylili się nad Élise. Chętnie nie szczędziłyby im uprzejmych, uspokajających i stosownych do okoliczności słów, które zaświadczyłyby o jej nienaruszonym przywiązaniu, lecz z jej ust nie padło ani jedno. Od pięciu lat pogrążała się w obojętności i nie czuła już porywu uczuć wobec kogokolwiek. Zadowolili się taką uwagą:

– To tymczasowe wygnanie. Nie pozbywam się tego mieszkania. Wrócę tu, gdy już...

– Gdy już co?

– Gdy wyzdrowieję.

Trzy kobiety, choć nieco zdezorientowane, skinęły głową, zdecydowane zaufać doktorowi Simoninowi.

– To nadwyreży twój budżet.

Élise uspokoiła starszą siostrę:

– Otrzymałam pewną kwotę po zakończeniu procesu. Sporą. Naturalnie pieniądze wydają się śmieszne przy...

Dostała czkawki i nie dokończyła zdania. Nigdy nie udawało jej się nazwać tego, co straciła... Nazwanie oznaczałoby zaakceptowanie. Gorzej, nazwanie równałoby się zadaniu sobie bólu po raz drugi.

Najstarsza siostra wzięła Élise w ramiona.

– Zrób, jak uważasz za stosowne, moja droga. My cię wspieramy.

Siostry jej współczuły. Wrażliwe na tragedię, która zniszczyła życie najmłodszej z nich, już nie miały śmiałości roztrząsać z nią najmniejszego problemu, bojąc się, że rozdrapią jej rany.

Ponownie napiły się herbaty i skierowały rozmowę na błahostki, zadowolone, że odzyskały swobodę i dobry nastrój. Potem ucałowały się na pożegnanie.

Gdy siostry wyszły, Élise zamknęła drzwi, zasunęła pięć zasuw, włączyła jeden z licznych alarmów i wróciła do salonu, skąd zabrała wizytówkę. Gdy wkładała ją do szuflady, na jej twarzy malował się uśmiech: ależ miała dobry pomysł, kradnąc tę wizytówkę przyjaciółce! Wybitny profesor Simonin, którego nigdy nie spotkała i do którego nigdy się nie zwróci, zamknął usta jej siostram.

Teraz pozostało jej już tylko dokończyć pakowanie walizek...

*

Garsoniera była urządzona bez gustu i wdzięku. Usytuowana przy ulicy Steinberga, w niedawno zbudowanym bloku – pudełku z oknami – zapewniała niezbędną wygodę, a każdy element wyposażenia załatwywał

oszczędnością: białe chropowate ściany, szafy z płyt wiórowych, krzesła i stół z drewna sosnowego, linoleum na podłodze, trzy lampy pozbawione wszelkich funkcji dekoracyjnych, zbyt cienka deska sedesowa, prysznic z foliową zasłoną, niska kanapa z lichymi poduszkami, rama łóżka z wypaczonych listew, szpitalne naczynia, komplet sztućców, w którym widelce nie nadawały się już do nakłuwania, a noże do cięcia. Przeprowadzając oględziny mieszkania, Élise miała sobie za złe, że podpisała umowę najmu. Za co się karała, wprowadzając się tutaj? W uroczym miasteczku Ensisheim były przecież eleganckie kamienice ze starymi fasadami, kolorowymi, ozdobionymi kwiatami. Agencja nieruchomości zaproponowała jej typowe lokale za porównywalną cenę, tymczasem ją instynkt skłonił do wybrania najędźniejszego miejsca. Jaki instynkt? Instynkt cierpienia?

W pierwszych dniach odkryła jednak, że garsoniera ma pewną zaletę: znajdowała się na parterze i wychodziła na ogród, a raczej na teren otoczony żywopłotem. Czasami włóczył się tam czarny kocur, który ulatniał się, gdy go dostrzegała. W niedzielę, wystawiając krzesło na zewnątrz, Élise zmusiła się, by wyobrazić sobie, że mieszka w willi stojącej w sercu parku... Rzeńskie powietrze szybko przegoniło ją do środka, zrezygnowała zatem z uciekania przed miernością swego lokum i skoncentrowała się na ekranie komputera, żeby przetłumaczyć na francuski włoski przewodnik turystyczny, swoje ostatnie zlecenie.

Po dwóch tygodniach nadeszła ta sobota, dzień, w którym uznała, że jest w stanie z nim rozmawiać.

Postarała się, żeby go uprzedzono.

Serce waliło jej jak młotem.

W ciągu piętnastu dni wielokrotnie spacerowała przed więzieniem, żeby oswoić strach. Gmaszysko prezentowało fasadę z siedemnastego wieku, żółto-różową, surową, choć elegancką i majestatyczną, która, wbrew kratom w oknach, świadczyła o jego poprzedniej funkcji – mieścił się tam klasztor

jezuitów. Bardzo szybko ów przepych się zacierał, ustępując miejsca ogromnym murom zwieńczonym na rogach strażnicami, z których kontrolowano hektary cel.

Gdy tylko przekroczyła próg, wróciły znane odczucia. Opancerzone drzwi. Trójkolorowy sztandar. Badawcze oko kamery. Dokumenty. Otworzyć torebkę. Wyjąć metalowe przedmioty. Przejść przez wykrywacz. Strażnicy nosili takie same grube niebieskie swetry jak w Paryżu. W ich dłoniach lub przy pasach trzeszczały identyczne skrzeczące walkie-talkie, które przekonywały intruzów, że wstępują na teren bacznie obserwowany. Posłuszni i znudzeni funkcjonariusze rewidowali odwiedzających z podobną, pełną szacunku skutecznością. Po zakończeniu formalności, do których była przyzwyczajona, podeszła do podwójnych drzwi prowadzących do rozmównicy.

Tam ponownie miała odczucie, że znajduje się na znanym terenie. W poczekalni tłoczyły się wyłącznie kobiety. Niektóre, te przyzwyczajone, rozmawiały głośno, jakby czekały niecierpliwie na dzieci przed wyjściem ze szkoły, przenosząc się z jednej ławki na drugą i nagabując strażników. Obok siedziały nieśmiałe, zastygłe w bezruchu, sprawiając wrażenie, jakby czekały na autobus. W rogach natomiast można było zobaczyć przestraszone, te, które przychodziły do zakładu karnego po raz pierwszy. Milczały z pochylonym czołem, nieobecne.

Élise usiadła. Przyzwyczajone obserwowały ją. Natychmiast zniechęciła je do okazania zaciekawienia, koncentrując się na swoim telefonie komórkowym. Wiedziała, że pytanie, które by się pojawiło, nie brzmiałoby: „Kogo odwiedzasz?”, lecz „Co cię z nim łączy? Jesteś jego żoną, matką, narzeczoną, siostrą, przyjaciółką?”. Unikałaby tego pytania, ponieważ nie należała do żadnej z tych kategorii. Co do ujawnienia prawdy... Nie ma mowy!

Zasięgnęła zawczasu informacji o pensjonariuszach zakładu: dużo gwiazd! Gwiazd medialnych! W całej Francji o nich huczało... Jako że ów gmach przyjmował jedynie skazańców z najcięższymi karami – trzydzieści lat

albo dożywocie – gościł mistrzów horroru znanych z głośnych procesów: seryjnych morderców, przestępców seksualnych, notorycznych terrorystów. Tygodniami, miesiącami, wręcz latami – podczas gdy wymiar sprawiedliwości finalizował swą pracę – wymawiano ich nazwiska w studiach telewizyjnych i radiowych, a ich twarze opanowywały gazety i ekrany, to znaczy ich ówczesne twarze, bo dziś, po latach spędzonych w więzieniu, niekiedy trudno było ich rozpoznać.

Z nich wszystkich ten, z którym miała się spotkać, był niewątpliwie najślawniejszy. Sława zawsze lubuje się w nadmiarze, nadmiarze talentu lub nadmiarze barbarzyństwa. Normalność nie przysparza rozgłosu. Sam Louis do tego stopnia zwielokrotnił liczbę ofiar, że zdominował media i wszyscy go znali.

Znali?

Otóż

nie.

Nikt nie rozumiał jego zachowania. Ani przed procesem, ani w jego trakcie, ani po zakończeniu. Ten z pozoru dobrze wychowany, towarzyski, logicznie myślący człowiek przyznał się do piętnastu morderstw, nie wyjaśniając ani słowem swoich motywów i nie odczuwając najmniejszych wyrzutów sumienia.

– Élise Maurinier?

Strażnik wykrzyczał jej nazwisko na całe pomieszczenie.

Zaczerwieniła się, jakby ją rozebrano, a potem skierowała się w stronę funkcjonariusza, krótkimi kroczkami, ze spuszczoną głową, pośpiesznie. Dokoła niej – czuła to – kobiety próbowały odgadnąć, co łączy ją ze skazanym. Oby jeszcze długo się nie dowiedziały...

Strażnik zaprowadził ją do rozmównicy.

Élise się niecierpliwiła: a zatem zgodził się na jej odwiedziny!

Sącząca się z korytarza woń kapusty i płynu dezynfekującego przypomniawszy jej poprzednie więzienie.

Strażnik otworzył drzwi: Sam czekał na nią za szybą.

Uśmiechnęła się do niego. Odruchowo.

On uśmiechnął się do niej. Też odruchowo.

Podeszła, usiadła na krześle i, mimo szklanej przegrody, miała wrażenie, że się do niego przykleja.

Wpatrywali się w siebie.

W końcu powiedziała:

– Jak się masz?

Uniósł brwi, rzucił okiem w bok, westchnął, otarł czoło, położył przed sobą dłonie.

– Co ty tu robisz?

– Przyszłam się z tobą zobaczyć.

– Po co?

– Jak poprzednio.

– Po co?

– Jak poprzednio.

– Kapuję jeszcze mniej niż poprzednio. Tu, w głębi Alzacji?

– I co z tego? Paryż, Alzacja... Przyszłam się z tobą zobaczyć, koniec kropka.

– Po co?

– Zastanawiałeś się już nad tym w Paryżu.

– Tutaj zastanawiam się jeszcze bardziej.

Élise zawahała się, a potem oznajmiła nienaturalnym tonem:

– Przeniesiono mnie tutaj.

– Do Insenh... nie. Enshi.... kurwa, nie potrafię wymówić tej cholерnej

nazwy!... Do Enshei...

– Ensisheim.

– No właśnie. Przeniesiono cię tutaj?

– Niedaleko stąd.

– Dobra.

Uwierzył w jej kłamstwo. Jakby Élise już sobie poszła, zajął się wyskubywaniem martwych skórek z lewego kciuka.

Przyglądała mu się po raz setny: kto krył się za tą szeroką twarzą o ledwie naszkicowanych rysach, za glinianą maską o płaskich powierzchniach i prymitywnych zgrubieniach? Jakie uczucia mieszały w tym cielsku o umięśnionych ramionach i torsie bardziej wypukłym niż pierś dzika? Często stykała się z mężczyznami takimi jak on w codziennym życiu, ni to brzydkimi, ni to przystojnymi, zwalistymi, masywnymi. Z praktyki wiadomo było, że taka powłoka kryje albo kogoś miłego, albo kretyna, albo brutala. W tym wypadku powłoka osłaniała zboczeńca, zabójcę i gwałciciela piętnastu kobiet. Strasznie ją intrygował.

– Utyłeś, prawda? – powiedziała.

– Nabrałem ciała.

– Dlaczego.

– Przez sport.

– Sport uprawia się zwykle, żeby schudnąć, nie żeby napęcznić.

– W mamrze nabiera się masy, żeby mieć spokój.

Skinęła głową. Na chwilę rozbawiła ją myśl, iż Sam rozwija mięśnie ze strachu, że inni skazańcy go spiorą.

– Zdaje się, że więźniowie prześladują przestępców seksualnych.

– To prawda.

– A ciebie...

- Co?
 - Ciebie... zostawiają w spokoju?
 - Ja jestem znany przede wszystkim jako *serial killer*. To budzi szacunek.
 - Oczywiście... – szepnęła, poprawiając się na krześle.
- „Głównie napędza stracha”, pomyślała.

Wydawał się zadowolony ze swego zuchwalstwa i uśmiechał się przez kilka sekund z błogością. Potem zauważył surowe spojrzenie Élise, sposepniał i przymknął oczy.

Pochyliła się w jego stronę z uwagą.

- Co u ciebie?
- Nic ciekawego. Mam nowy pokój, ale to w dalszym ciągu paka. Są nowi strażnicy, ale to w dalszym ciągu klawisze. Jem nowe dania, ale to w dalszym ciągu gówno. O czymś zapomniałem?

Podrapał się po karku.

- Ach tak. Nowi odwiedzający, ale to w dalszym ciągu gnidy.

Roześmiał się, a potem utkwił w niej wzrok, licząc na to, że ją zaszokował. Udała, że nie zrozumiała. Skrzywił się.

- Po cholere tu przysłaś? O co ci chodzi?

Zastanawiała się, co odpowiedzieć, wpatrując się w żółtawe przepierzenia, wymyśliła kilka kłamstw, w końcu zdecydowała się na szczerłość:

- Nie wiem, Sam. Naprawdę.

Nie manipulowała nim, nie wymyśliła żadnej pokrętnej strategii, przyznawała się do swojej dezorientacji z całkowitą prostotą. Zauważył to. Huknął swą wielką ręką w szybę.

- To jest, kurwa, chore!

Élise zerwała się, wzburzona, i wymierzając w niego palec, powiedziała oskarżycielskim tonem:

– Uważasz się za odpowiednią osobę, Louis, żeby oceniać, co jest zdrowe, a co chore?

Mrużyła oczy, nozdrza jej drgały, a szczeka wysunęła się do przodu. Była zirytowana.

Zrobiło to na nim wrażenie. Zamilkł na chwilę, potem zsunął się na krzesło, zwiotczały, jakby nie miał kości, i mruknął.

– Mimo wszystko... To nienormalne.

Usiadła ponownie, sztywno niczym nauczycielka z podstawówki, która kontynuuje lekcję po niestosownej uwadze.

– Nienormalne tak. Ale nie chore.

Odkasznąła.

– Słowa mają pewien sens. Przypominam ci, że zwracasz się do tłumaczki.

– A czy tłumaczka mogłaby mi wytłumaczyć, co tu robi?

– Nie muszę się usprawiedliwiać. Przyszłam się z tobą zobaczyć.

Była górą w tej wymianie zdań, a on nie zamierzał tego tolerować. Wstał, przewracając krzesło, i rzucił jej na odchodnym z oczami przekrwionymi ze złości:

– Wystarczy, nie dam się nabrać na twoje gierki.

Zaśmiała się szyderczo.

– Jakie gierki?

– Nie ma żadnego powodu, żebyś odwiedzała mordercę swojej córki!

Po tych słowach zastukał do drzwi, domagając się, żeby natychmiast odprowadzono go do celi.

Po powrocie do garsoniery Élise otworzyła drzwi balkonowe, wystawiła stołek na szary bruk, który służył jej za taras, odwróciła się w stronę trawnika i skierowała twarz do słońca. Mieszkańcy miasteczka skosili łąkę, więc w powietrzu unosiła się woń świeżego siana.

Czuła, że w głębi jej serca kipi swego rodzaju radość. Wzburzyła potwora! Tak, wyrzuciła go z jego kokonu obojętności. Jego! Sama Louisa! Człowieka, który podczas rozpraw wywoływał zgrozę wśród publiczności, opisując swoje zbrodnie w sposób techniczny, kliniczny, chłodny, bez krzty uczuć! Człowieka, który mówił jak o przedmiotach o kobietach, które zgwałcił i zamordował – o pierwszej, drugiej... piętnastej – odmawiając im człowieczeństwa i przemilczając ich imiona! Jego, oprawcę pozbawionego empatii wobec ofiar czy ich rodzin. Jego, kata, który nie miał współczucia dla samego siebie: „Jeśli wypuścicie mnie z więzienia, zacznę od nowa”. I to właśnie on, Sam Louis, tego popołudnia stracił nagle panowanie nad sobą i bębnił w drzwi, żeby uciec przed Élise niczym dziecko, któremu grozi niebezpieczeństwo.

Jakie niebezpieczeństwo? Tego nie wiedział. Ona również nie wiedziała, niepewna celu, jaki chce osiągnąć. Zauważyła jednak wyraźnie, że tej soboty, podczas kilku sekund paniki dotknęła tego, czego szukała po omacku.

Czy zgodzi się ponownie z nią zobaczyć?

Nie miała co do tego wątpliwości. Coś właśnie zaskoczyło... Zgodzi się przez ciekawość – czyż nie stanowiła jego jedynej rozrywki więziennej? Zgodzi się z powodu dumy, bo na pewno brzydzi się swojej słabości. Zgodzi się, bo uważa się za macho i jest wściekły, że uciekł przed kobietą. Zgodzi się, bo pragnie dominować i będzie chciał zadać kłam własnemu wzburzeniu, dowieść swej przewagi.

Rozłożyła na kolanach żółtą teczkę. Zawierała wycinki prasowe, a także jej odręczne notatki sporządzane podczas rozpraw. „Zabójca z Montparnasse”, oto jak objawił się morderca, zanim zyskał nazwisko i twarz. Początkowo znano go wyłącznie z jego zbrodni, potwornych,

krwawych, bezwstydnym, które łączył ze sobą ten sam *modus operandi*. Rzucono wszystkie siły policyjne, by ująć tego drapieżcę kryjącego się za makabryczną sygnaturą. Dziś „zabójca z Montparnasse” miał tożsamość, miał za sobą głośny proces, odbywał karę dożywotniego więzienia, lecz nadal pozostawał tajemnicą. Tak jak na początku swej anonimowej działalności był znany jedynie ze swoich zbrodni.

Sam Louis, sierota od urodzenia, oddany do domu dziecka, potem wychowywany w rodzinie zastępczej, u państwa Vartala mieszkających w regionie Berry, zawsze przejawiał naturę odludka, niezależnego, raczej zbuntowanego przeciwko władzy, choć z pozoru uprzejmego. Jego kariera szkolna przebiegała pod znakiem banalnej przeciętności i już w młodym wieku wykazywał niepokojącą skłonność do przemocy. Kilkakrotnie atakował przybrane siostry, usiłując udusić jedną rękami, drugą jej naszyjnikiem, kolejną jej apaszką, chociaż poza tym utrzymywał z nimi przyjazne stosunki. Rodzina zastępcza przemilczała pierwszy występki, lecz była zmuszona donieść o ponownych, a potem wydalić podopiecznego. Zdany na siebie, umieszczony w zakładzie poprawczym, zaczął pić i zażywać narkotyki, a potem zgwałcił licealistkę na przystanku autobusowym. Zatrzymany, osądzony i skazany, w bardzo młodym wieku trafił do więzienia. Po wyjściu na wolność, dwa lata później, udał się do Paryża, gdzie prostytuował się z mężczyznami i mieszkał w squatach, albo u różnych dojrzałych opiekunów. Żaden z nich nie poskarżył się na niego przed sądem przysięgłych, aczkolwiek wszyscy wyznali, że byli zniechęceni jego alkoholizmem, uzależnieniem od narkotyków, jego biernością: mechanicznie poddawał się pieszczotom, nie wykazując na nie ochoty ani zainteresowania tym, co się działo, nieobecny duchem...

Uwagę opinii publicznej przyciągnęło odrażające zabójstwo. Pewna młoda kobieta, Christine Pourdela, została zgwałcona na parkingu swojego domu, a następnie zamordowana przy użyciu noża. Dwa tygodnie później podobny los spotkał inną kobietę, Oliwię Retif, w suterenie jej bloku. „Zabójca z Montparnasse” opanował media, stając się przedmiotem

domysłów dziennikarzy, poszukiwań policji i obaw mieszkańców dzielnic XIV i VI. Niestety, ponieważ żadne nagranie wideo nie dostarczyło obrazów i żaden świadek nie przedstawił rysopisu przestępcy, nie dało się stworzyć ani portretu pamięciowego, ani profilu zabójcy. Co do śladów DNA, potwierdziły, że chodzi o jedną osobę, nieznanego sprawcę...

– Moja Laure – westchnęła Élise.

Laure Maurinier, jej córka, była trzecią ofiarą. Miała dwadzieścia trzy lata, skończyła anglistykę i promieniała radością. Gdy o dwudziestej drugiej parkowała fiata w podziemnym garażu swojego bloku, pojawił się ów mężczyzna i grożąc jej nożem, zgwałcił ją, a następnie zasztyletował w śmietniku.

Élise, nie panując nad swoimi wizjami, często przeżywała od nowa tamten dzień. Przypominała sobie telefon, który nosiła z kuchni do łazienki, z salonu do sypialni, bo czekała, aż córka zadzwoni – Laure obiecała jej dokładny tytuł pewnej książki, o której rozmawiały podczas obiadu. Swoje esemesy koło północy: „Moja droga, zapominasz o swojej nieoświeconej mamie. Podaj mi dane tego eseju. Wykorzystam je w tłumaczeniu”. Przebudzenie i pierwszą rzecz, którą zrobiła, czyli sprawdzenie komórki. Telefon do niej o dziewiątej rano. Drugi o dziewiątej trzydzieści. Kolejne. Początkowo, gdy pisała esemesy, nie traciła dobrego humoru i śmiała się ze swojego niepokoju, lecz z czasem pozwoliła mu sobą zawładnąć. Koło południa doszła do wniosku, że albo Laure zaraziła się jakimś wirusem, albo zgubiła komórkę. Dla spokoju sumienia postanowiła odwiedzić ją w jej garsonierze, ale w chwili gdy wsiadała do windy, zadzwonił telefon. „Och, nareszcie!” Nieznany numer. Głos, który, jak się okazało, należał do policjanta, przekazał jej straszną wiadomość.

Słuchała w osłupieniu, nic nie rozumiejąc. Funkcjonariusz powtórzył, że jej córka padła ofiarą bardzo poważnego wypadku, że... nie żyje.

Gdyby umierało się z żalu, zginęłaby na miejscu. Śmierć z żalu z pewnością była lepsza niż życie w żalu.

Później obrazy nabierały przyśpieszenia, stawały się nieznośne. Przyjazd do garsoniery przy alei Edgara Quineta. Gapie z placu targowego. Dziennikarze. Policjanci. Lekarz sądowy. Ślady krwi w śmietniku. Identyfikacja ciała w kostnicy. Laure, jej maleństwo, jej jedyne dziecko, milcząca, sina, leżąca na stalowym łóżku w sali śmierdzącej formaliną, pokryta czerniejącymi ranami. Élise z niedowierzaniem dotknęła córki, by się upewnić, że już nie oddycha. Potrząsnęła ją za ramię. Cóż za chłód! Cóż za sztywność! Od tego czasu nigdy nie zdołała rozgrzać dłoni. Później dalsze przygnębiające chwile, niepotrzebne: artykuły w gazetach z nazwiskiem jej córki albo gorzej, z jej zdjęciem. Uśmiechała się na dawnych fotografiach i ten uśmiech wydawał jej się niepożądany, okrutny. Za każdym razem Élise uważała, że ponownie zabijają jej Laure. Czy oprócz niej ktoś zdawał sobie z tego sprawę?

Oprawca nadal siał spustoszenie. Popełniał kolejne zbrodnie i powiązano go z perwersyjnym profilem z poprzednich spraw. Élise prowadziła własne dochodzenie.

Sam Louis zabił piętnaście osób, zanim go złapano. Wycieńczona Élise uważała je wszystkie za siostry Laure. Poznając szczegóły ich życia z doniesień prasowych, została matką piętnastu zamordowanych młodych kobiet. Oszczędzało jej to obsesyjnego myślenia o Laure.

– Kici, kici... kici, kici, kici, kici!

Żeby oderwać się od tych rozmyślań, Élise odłożyła teczkę i przykucnąwszy, zawołała czarnego kota, który przycupnął dziesięć metrów od niej, pod żywoplotem. Obserwował ją podejrzliwie swymi żółtymi oczami.

– Kici, kici!

Kocur nie zareagował, a w jego płaskiej głowie kłębiły się wrogie myśli.

Élise nie dawała za wygraną:

– Podejdź tu. Nie bój się.

Odwrócił pyszczek. On miałby się bać? Ludzie wygłaszają takie

upokarzające opinie.

Élise przyglądała mu się uważnie: mocno zapadnięte boki, niepielęgnowana sierść. Kot był zaniedbany.

– Jesteś głodny?

Weszła do mieszkania, wzięła talerz deserowy i naprędce przygotowała mieszankę złożoną z resztek jedzenia – ryżu, zimnego mięsa, szynki.

Gdy znalazła się na zewnątrz, zauważyła, że kot nie ruszył się z miejsca, jakby rozumiał, że musi na coś poczekać. Nadymając podgardle i kładąc uszy po sobie, oceniał sytuację.

Élise postawiła talerz na bruku.

– Masz. To dla ciebie.

Odwrócił od niej wzrok, oburzony.

Ubawiło ją to.

– Nie rozumiesz po francusku? Mówisz tylko po alzacku?

Nadal ją ignorował i zaczął lizać prawą łapę, wyraźnie dając do zrozumienia, że choć toleruje jej krzyki, lepiej by zrobiła, gdyby zamilkła. Przyglądał się swoim pazurom. Ile ich miał? Dziesięć? Dwadzieścia? Trzydzieści? Tysiąc! Podziwiał się, nagle zadurzony w sobie. Cały zmienił się w pazury.

Élise podniosła talerz i ośmieliła się zrobić kilka kroków po trawie. Natychmiast przestał się zachwycać swymi różowymi poduszkami. Uwaga!

Postawiła jedzenie na środku trawnika.

– Proszę, wasza wysokość, wedle pańskiego życzenia...

Potem, kiedy ponownie usiadła na stołku, udawała, że przegląda akta.

Kot długo się w nią wpatrywał. Poruszył się, gdy zdołał nabrać przekonania, że ona już się nim nie zajmuje. Élise nawet nie mrugała. Stopniowo nabierał śmiałości. Posuwistymi krokami, nieufnie, zatrzymywany

wtargnięciem motyla lub szczekaniem psa w oddali, zbliżał się do talerza. Élise kątem oka śledziła jego postępy i cieszyła się z nich.

Część kartek zsunęła się na ziemię.

– Cholera!

Słyszając ten hałas, wystraszony kot się wycofał.

– Nie! – krzyknęła Élise. – Nie odchodź. Wracaj.

On jednak zniknął za żywopłotem.

– Kici, kici!

W ogrodzie nic się nie poruszyło.

– Co za głupek! – mruknęła pod nosem.

Chmura przesłoniła słońce. Élise ogarnął chłód. Uniosła głowę i zauważyła, że niebo opanowały zastępy cumulusów. Dzwoniąc zębami, starannie zamknęła za sobą drzwi balkonowe.

Zniechęcona i rozkojarzona, nie miała już ochoty pracować ani nad tłumaczeniem, ani nad swoimi aktami „Sam Louis”. Włączyła odbiornik. Po ekranie rozlały się programy typu reality show. „Jak można osiągnąć taki poziom nedorzeczności?”, zastanawiała się, słuchając refleksji uczestników. Zafascynowana niepojętą ignorancją bohaterów, pozwoliła się zahipnotyzować.

Podczas przerwy na reklamy odwróciła głowę w stronę ogrodu. Kot podszedł do talerza, przycupnął przy nim i położywszy uszy po sobie, żarłocznie pochłaniał jedzenie gwałtownymi ruchami.

– Wcale nie taki sprytny. Jak dają, nie chce. Jak nie dają, kradnie. Idiota!

Tego wieczoru brzydziła się całym światem.

W gruncie rzeczy brzydziła się całym światem od tamtego nieszczęsnego czwartku, kiedy policjant poinformował ją o śmierci Laure. Choć przez czterdzieści pięć lat uchodziła za pierwowzór kobiety „uprzejmej”, przy życiu

trzymała ją odraza. Gdyby nie nienawiść, już dawno rozkładałaby się w grobie.

*

Przez trzy tygodnie Sam Louis nie zgadzał się na odwiedziny. Élise się nie zniechęcała, zdając sobie sprawę, że jedynie jej naleganie przewycięży opór. Tak czy inaczej musiała pilnie oddać tłumaczenie włoskiego przewodnika turystycznego, któremu poświęcała całe dnie i energię, robiąc sobie przerwy tylko na obserwowanie czarnego kocura, który z każdym dniem szybciej przychodził na trawnik opróżniać swój talerz, chociaż uciekał, gdy tylko się zbliżała.

W czwartą sobotę Sam Louis wyraził zgodę na spotkanie.

Gdy weszła do rozmównicy, zauważyła za szybą uosobienie wrogości. Osilek natarczywie mierzył ją wzrokiem.

Nie śpieszyła się, zdejmując płaszcz, wieszając torebkę na oparciu krzesła i rozsiadając się wygodnie.

Nawet nie otworzył ust.

Gdy już usiadła, wbrew sobie wykonała kokieteryjny gest, poprawiając włosy, gest delikatny, płynny, bardzo kobiecy, który wprowadził więźnia w osłupienie. Przyjrzała mu się z uśmiechem.

– Nie jesteś przyzwyczajony, co?

– Do czego?

– Do tego, że ktoś się tobą interesuje.

Odwrócił wzrok.

Wyglądziła prawy rękaw, który zmiął się pod płaszczem.

– Przyznajesz mi prawo do interesowania się tobą, Sam?

Powtórzył to określenie z pogardą, cedząc je przez zęby:

– Prawo...

– Masz pewne prawa.

– Tutaj?

– Masz prawa, nie tylko obowiązki. Na przykład nie masz obowiązku zgadzać się na moje zainteresowanie tobą, masz za to prawo je odrzucić.

– Czemu miałbym je odrzucać?

– Dobre pytanie. Właśnie, czemu?

Zbity z tropu własną ripostą, złapany w pułapkę, potrząsnął głową, żeby uporządkować myśli, skierować je na inne tory. W końcu wykrzyknął:

– Przez te ostatnie lata interesowało się mną kilka osób: sędzia śledczy, psychologowie, psychiatrzy, mój adwokat... I co z tego mam?

Wskazał na otaczające go mury.

– Dożywocie!

Westchnął i wcisnął głowę w krzepkie ramiona.

Poprawiła go:

– Wszystko mieszasz. Ich zainteresowanie brało się z ich zawodu. Dostawali pieniądze, żeby cię badać, Sam.

Za każdym razem, gdy wymawiała słowo „Sam”, mrugał, wobec tego gnębiła go nadal:

– Ale nie ja, Sam. Nie ja.

– Nie ty? – odparował.

– Nie ja!

– Ach tak? – dopytywał się drwiąco.

– Nie ja.

– Nie dostałaś pieniędzy, gdy mnie skazano?

– Dostałam odszkodowanie.

– No właśnie!

– Właśnie, gdyby moje zainteresowanie miało tylko podłoże finansowe, jak w przypadku sędziego, biegłych, adwokata, ulotniłoby się, gdy tylko zainkasowałam pieniądze, prawda? Zniknęłabym. Nigdy więcej byś mnie nie zobaczył. Czy odwiedzają cię inni rodzice ofiar? Czy czujesz, że przychodzą, żeby spłacić dług, widując się z tobą?

Samowi zadrżały usta. Zgarbił się, pokonany.

– Nikt nie przychodzi.

– A!

Podniósł wzrok.

– Nikt nie przychodzi i to jest normalne! Nienormalne jest to, co ty robisz.

– Potwierdzasz to, co powiedziałam – ucięła. – Nie jesteś przyzwyczajony, że ktoś się tobą interesuje.

Po grubej, chropowatej skórze Sama przeszedł dreszcz. Przypuszczenie Élise torowało sobie drogę w jego głowie.

Odczekała minutę i dodała, jakby zwolniła się ze ślubu milczenia:

– Twoja przybrana matka się tobą nie interesowała?

Wzruszył ramionami, uspokojony, że stąpa po znanym gruncie.

– Pani Vartala? Przyjmowała dzieci, żeby brać forszę od państwa. Nawet się z tym nie kryła. Pewnego wieczoru zwierzyła się sąsiadce, myśląc, że nikt jej nie słyszy: „Albo to, albo szorowanie sraczy”. Prawie się ucieszyłem, gdy się o tym dowiedziałem: czuła do nas mniejsze obrzydzenie niż do sraczy, cóż za wspaniała nowina! Dodała jeszcze: „Prawdę mówiąc, wyczałam sposób, żeby mieć ich więcej: biorę te, których nikt nie chce”. Wtedy już mi nie było do śmiechu. Dlaczego nikt mnie nie chciał? W następnych dniach przyglądałem się swoim przybranym braciom i siostram, zastanawiając się, dlaczego mieliby być niechciani, i domyśliłem się. Upośledzona. Czarna. Żółty. Karzeł. Jednej brakowało palca u obu rąk. Ale ja?

– No właśnie. Co cię dyskwalifikowało?

– Nigdy tego nie zrozumiałem.

Zamilkli.

– A ojciec, pan Vartala?

– Pracował w fabryce. Wracał w nocy, po wyjściu z knajpy. Pijany. Moim zdaniem tak sobie radził, żeby mniej czasu spędzać z żoną.

– Interesował się tobą?

– Po trzech latach mylił moje imię z imieniem Blacka. Nie robił tego złośliwie, nie. Po prostu wszystko mu się mieszało. Było mętne jak na dnie butelki... W jego mózgu pływał osad z sikacza. Zresztą zmarł w wieku czterdziestu lat, musiało mu ulżyć.

– Odkryłeś, dlaczego byłeś „niechciany”?

– Nie.

– A skoro nie odkryłeś, zacząłeś być z tego dumny?

Zastygł w bezruchu. Odpowiedziała za niego:

– Doszedłeś do wniosku, że pani Vartala rozumuje słusznie.

– Byłem chudy. Zacząłem uprawiać sport. Ćwiczyć na siłowni!

– Ale to nie wystarczyło... Pomyślałeś, że nie potrafisz dostrzec swojej ułomności. Przestałeś sobie ufać.

Głośno wydmuchał nos, żeby zagłuszyć jej słowa. Élise, niezrażona, ciągnęła:

– Doszedłeś do wniosku, że jesteś potworem.

– Dalsze wypadki tego dowiodły! – wykrzyknął z nagłą agresją. – Znasz wielu facetów, którzy zabili piętnaście dziewczyn?

– Tylko jednego. Jak pani Vartala, którą spotkałam podczas procesu i która wydaje mi się równie wrażliwa jak czołg, mogła zdać sobie z tego

sprawę? Przecież wtedy jeszcze nic nie zrobiłeś.

Zerwał się na równe nogi, walnął w drzwi i krzyknął pod adresem funkcjonariuszy w korytarzu:

– Skończone!

Élise również podniosła głos:

– A jeśli mówiąc to, pani Vartala miała na myśli inne dzieci, wyłącznie inne, nie ciebie?

Pokazując jej tylko plecy, zastukał mocniej.

Nie dawała za wygraną:

– A jeśli ciebie to nie dotyczyło?

Zaczął wrzeszczeć, zwrócony twarzą do stalowych drzwi:

– Otwieracie, kurwa, czy nie?

Strażnik się ociągał.

Zachowując spokój, Élise dodała jedwabistym głosem:

– Nie kochasz siebie, Sam, bo nikt cię nie kochał.

Odwrócił się.

– Oczywiście, że nikt mnie nie kochał! I słusznie: jestem niebezpieczny. Czasami, kiedy wstawałem rano, wiedziałem, że wieczorem zabiję.

– To było później... dużo później... Nie wtedy, kiedy byłeś mały. Nie wtedy, kiedy byłeś nastolatkiem.

– Pani Vartala skapowała się, kim będę w przyszłości. Typowe jak na czarownicę... Stałem się tym, kogo nikt nie chce. Teraz trzymają mnie tutaj, i bardzo dobrze, bo dzięki temu jestem nieszkodliwy. Więzienie ratuje mnie przede mną samym.

– Nieprawda. Więzienie ratuje cię przed tym innym, którego zobaczyłeś w sobie na skutek idiotycznych słów wypowiedzianych przez panią Vartala.

To nie ty zabijałeś, to ten inny, ten, który przyznawał rację pani Vartala. Nie ty, lecz potwór, którego ona i ty wymyśliliście.

Klucz zazgrzytał, odblokowując zamek. Pojawił się strażnik.

Uspokojony Sam popadł w apatię. Jego gładka twarz była pozbawiona wszelkiego wyrazu. Pochylił się w stronę szyby oddzielającej go od Élise, napinając swe spektakularne bicepsy.

– Która to była twoja córka?

Élise zadrżała.

– Laure.

Zastanowił się i mruknął „Laure”. Uśmiechnął się.

– To ciekawe... Nigdy nie wymówiłem jej imienia.

– Laura Murnier! – wykrzyknęła Élise, nie bardzo wiedząc dlaczego.

Wpatrywał się w nią z uporem.

– Zapytałem cię, która.

– A ja ci odpowiedziałam.

– Który numer?

Poryw nienawiści uniósł pierś Élise.

– Trzecia.

– Bulwar Edgara Quineta?

Potwierdziła, z trudem łapiąc oddech.

Sam zastanowił się, zawahał, a potem oznajmił nonszalancko, drapiąc się po uchu:

– Prawie jej nie pamiętam.

Odwrócił się na pięcie i zniknął.

Po powrocie do siebie Élise zamknęła na zasuwę drzwi łazienki, rozebrała się,

włożyła ubranie, łącznie z majtkami i biustonoszem, do pralki, włączyła program prania i wśliznęła się za zasłonę wąskiego prysznica.

Ciepła, łagodna, kojąca woda spływała po niej bez końca. Zabawiła pod prysznicem dziesięć minut.

Gdy tylko wyszła, wróciła pod prysznic. Potem wyszła. Potem zaczęła od nowa.

W ciągu godziny umyła się czterokrotnie. Pomiędzy tymi ablucjami patrzyła na bieliznę obracającą się w bębnie, spokojna, uważna, z pustką w głowie, owładnięta jedynie koniecznością oczyszczenia się.

W końcu, po piątym prysznicu, gdy zaczęło się wirowanie, nasmarowała ciało balsamem. Balsam był pierwszy lepszy, zwyczajny, kupiony w supermarkecie, lecz jego migdałowy zapach wydał jej się szczytem luksusu. Pod dobroczynnym wpływem aksamitnej, opalizującej substancji jej skóra odzyskiwała połysk i gładkość z młodości. Élise nie rozpieszczała się od wieków.

Wbrew typowej dla siebie wstydlivosti wyszła z łazienki bez okrycia i przechadzała się nago po mieszkaniu. Na szczęście naprzeciwko jej garsoniery nie było domów, więc nie musiała się wstydzić żadnego sąsiada ani nie wprawiała nikogo w zakłopotanie.

Wyciągnęła się na kanapie. Stopniowo dochodziła do siebie. Zdawała sobie sprawę, że uniknęła poważnego niebezpieczeństwa.

Po ostatnich słowach zabójcy poczuła ból. Otóż ona nie godziła się na ból. Od śmierci Laure schudła, jej cera straciła blask, nosiła ciemne ubrania, wydawała się smutna, samotna, aspołeczna i na nic nie miała ochoty, nigdy jednak nie odczuwała bólu. Nawet nie płakała.

Od tego znieawidzonego czwartku, ponieważ smutek krążył wokół niej, uszczelniła drzwi swojej duszy. Na skutek pewnej zbawiennej reakcji dokonała uogólnienia: Christine, Olivia, Cindy, Amélie, Catherine, Isabelle, Morgane, Anna, Emmanuelle, Lisa, Fatou, Diane, Sarah, Pénélope dołączyły

do Laure w teczce zatytułowanej Sam Louis. Odtąd znała ich krótkie życie równie dobrze jak życie córki. Podczas procesu zawarła znajomość z rodzicami, ojcami, matkami, braćmi, siostrami, wujami, ciotkami, kuzynami, kuzynkami, dziadkami, babciami. Choć jej rodzina ograniczała się do trzech sióstr, bo rodzice zmarli, a kochanek na jedno lato się ulotnił, stała się wszechstronną powierniczką, przyjaciółką wszystkich, poszerzając i wypełniając krąg swych bliskich. Otwarcie serca na udrękę każdego z nich złagodziło jej własną. Następnie postanowiła zrozumieć, co się zdarzyło piętnaście razy z rzędu, i poświęciła całą swą energię na dochodzenie. Rozprawy nie zaspokoily jej ciekawości – Sam Louis, niewzruszony, skryty, nie okazywał ani wyrzutów sumienia, ani bólu, ani współczucia, toteż nawiązała z nim kontakt w paryskim więzieniu. W alzackiej garsonierze kontynuowała tę pracę, jeszcze lepiej chroniąc się przed przeszłością: nic dookoła nie przypominało jej Laure, ani jeden mebel, bibelot czy nawyk. Jej córka nie zajmowała tu żadnego miejsca, nie licząc tego w aktach jednej ze spraw, w opasłym żółtym segregatorze. Jednej spośród wielu.

Tę z trudem nabytą równowagę morderca naruszył tego popołudnia. Udając, że nie przypomina sobie Laure, wstrząsnął Élise, zirytował ją, oburzył, zadał jej gwałt. Jej córka była niezapomniana! Jeśli ten potwór jej unika, ona mu ją przypomni!

Pod jej stopami otwierała się pułapka: wracały obrazy, te ze szczęśliwych chwil, uśmiech Laure, jej inteligencja, jej fantazja, niezależność, dobroć, ale ukazywały się też płomienie zwiastujące męczarnie. Wiedziała, że będzie cierpieć.

– Skłamał!

Sam Louis, ten diabeł wcielony, próbował ją przyprzeć do muru. Chciał, żeby smażyła się w piekle. Widziała jego podstęp. Przeciwwstawiła mu się, chwilowo wyłączając swą świadomość, całkowicie przestając myśleć.

– To blef!

Teraz to odgadła: pamiętał Laure, nawet jeśli nigdy nie wymówił jej

imienia. Zależało mu, żeby ją zranić.

– Nic z tego!

Wydała z siebie okrzyk bojowy. Nie ma mowy! Nie da mu się zmanipulować. Przytomnie i starannie odepchnęła obrazy Laure, które tak nagle się pojawiły, wtoczyła je w głąb siebie, tak samo jak katusze, które im towarzyszyły, i zatrzasnęła pułapkę.

Drgnęła.

Ktoś ją obserwował.

Serce zabiło jej szybciej.

Bez wątpienia! Wpatrywały się w nią jakieś oczy. Czują czyjąś obecność.

Podniosła się nagle, zeskoczyła na dywan i odruchowo zakryła jedną ręką genitalia, a drugą piersi.

– Kim pan jest?

Dostała zadyszki. Już nie śmiała się poruszyć. Mimo zeszywniałego karku zdołała jednak przebiec wzrokiem pokój. Nikt nie dostał się do środka.

Odwróciła się gwałtownie w stronę drzwi balkonowych.

Szpiegował ją kot przyklejony do szyby.

– Wstrętne bydlę!

Kot nic sobie z niej nie robił.

Élise wybuchnęła śmiechem: wystraszyła się maleńkiego wychudzonego zwierzaka. Uspokojona, nadal zasłaniając się wstydliwie, podeszła do przeszklonych drzwi i przyklękła przed kotem.

Chociaż zachowywał czujność, nie spłoszył się, chroniony przez szklaną przegrodę. Gdy znalazła się naprzeciw niego, przekonała się, że ma nos młodej dziewczyny, różowy i delikatny, mały i frywolny. Przyjrzała się jego jasnożółtym tęczęwkom z zielonymi cętkami. Uśmiechnęła się do niego.

– Mniej cię teraz przerażam, łobuziaku?

Zmrużył oczy.

– Bo jestem ubrana tak jak ty?

Wyprostował się, nastroszył sierść i ze sprężystą nonszalancją otarł się o szybę, zmysłowy, uwodzicielski.

Kot wprawiał Élise w zakłopotanie, wydawał jej się znajomy. Było w nim coś... Miała ochotę go dotykać, głaskać, całować...

Wstała ostrożnie, powoli i spróbowała otworzyć drzwi balkonowe.

Mechanizm wydał głuchy odgłos. Kot czmychnął.

Wyszła na zewnątrz, stawiając stopy na tarasie.

– Kici, kici.

Odszedł tylko na środek trawnika i czekał obok swojej miski. Po raz pierwszy nie schronił się za ligustrami – należało odnotować ten postęp.

– Kici, kici. Kici, kici, kici, kici.

Kot uniósł brodę, przełknął ślinę, ale nie ruszył się z miejsca. Jego źrenice, bardziej żółte niż jaskry, pozostawały niepokojąco nieruchome.

Pocierając sobie niespodziewanie skórę, Élise zauważyła, że ma gęsią skórkę. Zaczynał się marzec z marznącymi mgłami, a ona paradowała nago po trawniku. Czyste szaleństwo!

Jednym susem schroniła się w mieszkaniu. Kot nadal bacznie ją obserwował, przykuty do niej wzrokiem, tyleż zafascynowany, co przerażony.

– Czyżbym miała ochotę oswoić dzikiego kota?

Dostojnie, z zaciśniętymi szczękami, oczekiwał odpowiedzi.

– Czy ja w ogóle lubię koty?

Małe zaróżowione nozdrza zaciskały się pod trójkątnym kocim obliczem.

– Nie.

Zapewniano ją, że te zwierzęta okazują się egoistami pozbawionymi empatii. Czyż właśnie tego nie dowiódł, odrzucając jej względy? Wzruszyła ramionami, zamknęła drzwi i zasunęła zasłonę.

Przez miesiąc z premedytacją nie zabiegała o kolejne spotkanie z Samem Louistem. Tak czy inaczej czas działał na jej korzyść. Przecież nie ucieknie z paki, w której gnije.

W ciągu tego miesiąca Élise zadowalała się spacerowaniem przed więzieniem. Przyglądała się wielkiemu zniszczonemu statkowi, nieruchomemu, osiadłemu na mieliźnie przy brzegu rzeki Ill, statkowi, który nigdzie już nie popłynie, tak jak jego pasażerowie. „Zakład dla osadzonych, oto właściwa nazwa – doszła do wniosku. – Zostali tu osadzeni i będą gnili w tym samym miejscu do końca swoich dni”. Cieszyła się swoją swobodą ruchów, chodziła tu i tam, dokądkolwiek miała ochotę, wzdłuż brzegów szemrzającej wody, pod drzewami wypuszczającymi pączki, do cukierni, na kawę, do siebie. Nie miała jednak żadnych złudzeń co do swobody innego rodzaju, swobody myśli: ona także była więźniem i krążyła po celi. Jej więzieniem była niewrażliwość Sama, obszar, który przemierzała bez końca.

Pewnego pogodnego ranka zauważyła nad brzegiem rzeki Ill wysoką, smagłą kobietę w wyciętej bluzce i spódniczce mini, z cudownymi, niekończącymi się nogami, opartą o pień dębu. Ugięła jedno kolano i zdawała się prężyć swe idealne kształty do światła, jakby kochała się ze słońcem. Z przymkniętymi powiekami, rozchyłonymi ustami, odsłoniętą szyją pieściła prawą ręką promienie ogrzewające jej dekolt, górną część piersi, podczas gdy lewa przenosiła się od włosów do ud, przechodząc od ruchu, który muskał jej wspaniałą fryzurę, to tego, który gładził aksamitną skórę poniżej ubrania. Drżała, obojętna na spacerowiczów, oddana swemu niebiańskiemu kochankowi. Élise wyminęła ją, zażenowana.

Nazajutrz natknęła się na nią w tym samym miejscu, posągową, wyniosłą, zuchwałą, bezwstydną, przypominającą owe rysunki *pin-up girls* uwielbiane przez kierowców ciężarówek. Wymijając ją, Élise dostrzegła w oddali punkt, w który wpatrywała się kobieta, fragment ściany więzienia, którego

najwyższe piętro wystawało nad murem. Zza krat jednego z okien jakiś facet o oliwkowej skórze gapił się na nią z rozdziawionymi ustami. Élise zrozumiała wówczas, że mąż i żona znaleźli sposób uprawiania miłości.

Uciekła czym prędzej. Od ilu lat nie całowała mężczyzny?

Po powrocie do garsoniery ponownie oddała się pracy nad tłumaczeniem. Zlecono jej przekład eseju o Czerwonych Brygadach, tych rewolucjonistach, którzy terroryzowali Włochy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, ugrupowaniu, którego część członków wyszła od tego czasu na wolność. Jak należało zareagować? Czy powinno się wybaczyć sprawcom zamachów? Élise, nic wcześniej nie wiedząc o tym dochodzeniu prowadzonym przez pewnego sławnego rzymskiego dziennikarza, poznawała fakty.

Chociaż zrezygnowała z kota, kot nie zrezygnował z niej. Gdy tylko się pojawiała, usadawiał się w ogrodzie. Rozmyślnie udając obojętność, koncentrowała się na pracy, co nie przeszkadzało jej obserwować go kątem oka.

W miarę jak wiosna się zadomawiała, trawnik się ożywiał. Odwiedzały go motyle, ptaki, myszy polne. Kot wznowił działania łowieckie, chociaż Élise nadal go karmiła – „Żywić żebraka to nie znaczy go przygarnąć”, powtarzała sobie, żeby się usprawiedliwić. Kot był niesamowity i oferował jej bajeczne widowisko, w którym sam jeden służył za całe zoo: był tygrysem, gdy ziewał, gepardem, gdy się przeciągał, kiedy wyginał grzbiet, stawał się dromaderem, czatując na zdobycz, zmieniał się w lwa, nadymał podgardle niczym puchacz, zmykał szybciej niż antylopa, skakał jak ropucha, zastygał w bezruchu jak jaszczurka, kopał głębsze dziury niż lis, potem przeobrażał się w wiewiórkę, gdy bawił się orzechem laskowym, który obracał w łapach, a wyczerpany, rozpląszczał się jak ślimak.

Od czasu do czasu, chcąc ją jeszcze bardziej zaintrygować, ważył się na ludzkie metamorfozy: przeciągając raz po raz różowymi poduszkami po pyszczku, przypominał niewinne niemowlę podczas toalety. Kiedy indziej, z udem zadartym do nieba, zajęty lizaniem podbrzusza, porywał się na figury

kankana z diabelną nieprzyzwoitością godną tancerki Nini „Nóżka w górę” z Moulin Rouge, która potrafiła wykonać tę zwaną „na ramię broń”.

Élise ukrywała rozbawienie i obserwowała go dyskretnie. Zdecydowana nie ośmielać zwierzaka, nigdy nie odwracała się w jego stronę.

Nie dawał się nabrać na ten fortel i nie wątpiąc, że ucieleśnia pępek świata, siadał coraz bliżej niej, a gdy się przeciągał, zdawał się mówić: „Tak, wiem, jestem bardzo piękny. I cóż za futro! Dziękuję”. Odkąd zrezygnowała z udomowienia go, on przystąpił do osvajania jej.

– Przestań się wysilać! My nigdy się ze sobą nie zaprzyjaźnimy – oznajmiła mu pewnego wieczoru, zamykając drzwi. – Nie jesteśmy ze sobą zsynchronizowani.

Pewnej kwietniowej soboty Élise ponownie przyszła do więzienia.

Sam Louis czekał na nią za szybą. Ani ona, ani on nie zdziwili się, że znów ze sobą rozmawiają. Nie komentowali tego, że upłynął już miesiąc od poprzedniego spotkania. Przez kilka sekund przyzwyczajali się do swojej obecności, a potem on zapytał poważnym głosem:

– Co teraz robisz?

– Tłumaczę książkę o Czerwonych Brygadach.

Chciał nawiązać rozmowę, ale ponieważ nie miał większego pojęcia o Czerwonych Brygadach, o których zachował tylko mętne wspomnienie, jedynie pokiwał głową w przód i w tył z przebiegłą miną. Élise szepnęła:

– A ty?

– Ja?

– Co robisz w więzieniu?

– Zabijam czas. Z braku czego innego.

Zadowolony ze swojej repliki, gotów był się uśmieć z własnej gruboskórności, lecz powstrzymał się, widząc poważną twarz Élise. Zmieniając ton, poinformował ją oschle:

- Przejąłem interes od pewnego Polaka.
- Słucham?
- Handel haszyszem.
- Żartujesz?
- Oficjalnie montuję plastikowe listwy zasilające w warsztacie. Trzeba stwarzać pozory.
- Nigdy nie miałeś zamiaru postępować uczciwie?
- Po co? Boisz się, że jak będę się tu źle zachowywał, wsadzą mnie do więzienia?

Westchnęła i machnąwszy ręką nad głową, dała mu do zrozumienia, że guzik ją to obchodzi.

- I co? Zrobiłeś postępy od ostatniego razu?
- Postępy? Och... mówisz do mnie w taki sposób... zgrywasz psychiatrę?

Nalegała, niewzruszona:

- Zrobiłeś postępy? Akceptujesz, że się tobą interesuję?

Odchylił się i skubał dolną wargę z błyskiem w oczach.

- O co chodzi? Zakochałaś się?
- Też coś!
- Podniecam cię? Niezły jestem, nie?

Teraz ona się odchyliła i podejmując jego grę, przyjrzała się uważnie jego ciału. Na wypukłych mięśniach przebłyski próżności ożywiały jego skórę. Zrobił triumfalną minę.

– Faktycznie jesteś niezły – doszła do wniosku. – Nie było żadnej potrzeby zmuszać dziewczyny pod groźbą noża, żeby ci się oddały.

Chociaż jego spojrzenie przygasło, nawet nie mrugnął. Sugerowano mu to już – policjanci, sędzia śledczy, biegli, adwokat – aż do obrzydzenia. Élise się

upierała:

– Te dziewczyny mogły ci powiedzieć „tak”.

Oddychał spokojnie, niewzruszony, nieprzenikniony, ona zaś ciągnęła:

– Uwiódłbyś je, gdybyś się zabrał do tego normalnie.

Żadnej reakcji.

– Chciałbyś, żeby mówiły ci „tak”?

Kamienna twarz.

– Żądałeś, żeby ci ulegały, nie żeby się oddawały. Co do mnie, gdybyś mnie pragnął, ewentualnie mogłabym się skusić, ale tobie by się to nie podobało.

Zaśmiał się, rozbawiony.

– Tak jak myślałem: zakochałaś się we mnie.

Élise traciła kontrolę nad rozmową. Opuszczała ją przytomność umysłu. Tłumiąc panikę, zmusiła się, żeby się odprężyć. Usłyszała swój głos:

– Jestem matką, Sam.

Choć arogancki, zgrywał szarmanckiego:

– Nie... nie jesteś stara... jeszcze jesteś ładna.

Élise nie wiedziała, w co się wdaje. Mówiła dalej, wiedzona intuicją, którą dopiero odkrywała:

– Jestem matką, Sam. A raczej byłam. Zresztą, gdy jest się nią raz, jest się już na zawsze. Nawet kiedy dziecko nie żyje.

Walczyła z uciążliwymi łzami i skoncentrowała się na słowach, które wymykały jej się z ust:

– Jestem matką.

– Matką dziewczyny, którą zabiłem.

– Właśnie.

– I zgwałciłem.

– Dokładnie.

– Więc co tutaj robisz?

– Patrzę na ciebie jak matka, Sam. Nie twoja prawdziwa matka, której nie znałeś. Nie przybrana matka, która cię odrzuciła. Jak matka, którą mogłeś mieć. A ty, ty jesteś jak chłopiec, którego mogłam mieć.

– Jesteś stuknięta!

– Możliwe. A ty?

Zwlekał z odpowiedzią, lecz przyznał półgębkiem:

– Tak, ja też.

Łączyła ich dziwna więź. Dwoje wariatów. Dwoje przygnębionych ludzi. Odczuwali podobne zagubienie.

Przerwała milczenie:

– Wiesz, kto to jest matka?

– Nie...

– To ktoś, kto nie odtrąca. Ktoś, kto przygarnia. Ktoś, kto kocha. Ktoś, kto nie ocenia. Ktoś, kto wybacza.

– Są czyny, których się nie wybacza.

– Skąd wiesz?

Wydawał się zmieszany.

Pocierając ręce, Élise nachyliła się w stronę szyby.

– Zanim się wybaczy, trzeba zrozumieć. Ja nie zrozumiałam twoich czynów.

– Nawet jeśli mnie zrozumiesz, to ci nie zwróci córki.

Wyprostowała się, purpurowa ze złości. Skrzydełka jej nosa posiniały, rozedrgane. Zaprotestowała gwałtownie, a jej głos drżał z oburzenia:

– Twoim zdaniem jestem taka głupia, żeby wyobrażać sobie, że odzyskam córkę? Naprawdę? Myślisz, że mam siano w mózgu? Laure odeszła. Przez ciebie. Już jej nie ma. Nigdzie. Nawet na cmentarzu. To całkowita nieobecność. Całkowita! Żadnego śladu. Żadnego znaku. Brałam udział w seansach spirytystycznych. I nic! Dniem i nocą wpatruję się w niebo, zgłębiając nieskończoność. I nic! Nadstawiam w ciszy ucho w nadziei, że wyszepcze jakieś zdanie. I nic! Wchodzę do jej nietkniętego pokoju, licząc, że przesunie jakiś przedmiot, napisze jakieś słowo w kurzu, włączy swoją ulubioną muzykę. I nic! Dlatego dobrze wiem, że taki śmieć jak ty mi jej nie zwróci. Potrafił mi ją tylko zabrać!

Wrzeszczała. Przez sekundę wydawało się, że zrobiło to na Samie wrażenie, że wręcz przeraziła go wściekłość, która nią trzęsła, ale zapanował nad sobą i znów pogрузzył się w typowej dla siebie apatii.

Ponownie usiadła, wzburzona. Przez kilka minut zależało jej tylko na jednym: by wrócić do normalnego stanu, przestać się pocić, uspokoić kołatanie serca, wyregulować oddech.

Gdy jej się to udało, uniosła twarz i przyjrzała się bezkształtnemu olbrzymowi. Jej głos złagodniał, kiedy robiła mu wymówki:

– Odczuwasz wyrzuty sumienia, Sam? Podczas procesu nie okazałeś najmniejszej skruchy. Nawet nie okazałeś współczucia rodzinom ofiar.

– Co by to dało?

– Złagodziłoby ich ból.

– Pff...

– Mylisz cię. Większość rodzin, które...

– Przestań chrzanić o tych swoich rodzinach! Ja nie miałem rodziny. Jasne? Dlatego rzygam rodzinami. Rozumiesz?

On również się uniosł i miał to sobie za złe. Zaczekała, aż się uspokoi.

– Zostawmy rodziny, Sam. Okazując skruchę i współczucie, stałbyś się...

ludzki.

– Ludzki?

Zamyślił się, niewzruszony, mniej przejęty niż gdyby grał w scrabble.

– Nie wiem, czy mam ochotę być ludzki.

Potwierdził swoją opinię, kręcąc głową, i mówił dalej:

– Widziałaś kiedyś polującego tygrysa?

Jego oczy nagle zaślniły, skupiając się na jakiejś scenie, którą widziały tylko one. Sam Louis, z ustami ułożonymi w uśmiech zachwytu i rozchmurzonym czołem, sprawiał wrażenie, jakby wpadał w trans. Żeby zachęcić go do mówienia, Élise odpowiedziała:

– Nie.

– Nie ma nic piękniejszego na świecie. Mój wzór to tygrys... Samotnik, który ma własne terytorium i nie odstępuje go żadnemu intruzowi. Gdy postanawia wyjść na łowy, po zapadnięciu zmroku, wyostrza zmysły, czyha na oddech, wykrywa woń. U tego olbrzyma wszystko jest wyrafinowane, zarówno słuch, jak i węch. Porusza się dyskretnie, ukradkiem, niewidzialnie, pod osłoną ciemności, i niezauważony przez nikogo, układa plan. Jest mistrzem kamuflażu. Gdy go widzisz, on zdążył cię zobaczyć tysiąc razy. Wyśledziwszy zdobycz, przyczają się w absolutnej ciszy. Atakuje dopiero wówczas, gdy jego ofiara znajduje się dziesięć metrów od niego, a wtedy, ciach, zbliżając się do niej od tyłu lub z boku, chwyta ją z zaskoczenia i zagłębia zęby w jej gardle. Potem wlecze ofiarę w spokojne miejsce, żeby wykorzystać ją do woli... Zaczyna od tłustych części ciała, ud albo zadu. Wśród istot ludzkich nikt nawet nie zbliża się do jego poziomu, nikt nie łączy siły z lekkością, zwinności z umięśnieniem. Nikt!

Podkscytowany swoim wywodem, klepał się otwartymi dłońmi po klatkę piersiową, udach, ramionach, prowokując swe ciało do wydawania głuchego, pustego odgłosu, a te wielokrotne uderzenia sugerowały coś odwrotnego niż jego słowa: uważał się za właśnie takiego, silnego i gibkiego. Dorównywał

tygrysowi.

Élise zamknęła oczy. W ciągu sekundy przełożyła łowy tygrysa na piętnaście zbrodni Sama: samotnik, który przemierza o zmierzchu dżungłę Montparnasse'u, który czyha na młodą dziewczynę, czeka, aż ta wysiadzie z samochodu, rzuca się na nią, ogłusza ją, a następnie zanosi do śmietnika, żeby raczyć się jej ciałem, poczynając od ud i zadka.

Omali nie zemdlą i otworzyła oczy, żeby odzyskać równowagę.

Naprzeciwko niej, za szybą podekscytowany Sam Louis skończył się zwierzać. Élise nagle wstała, obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę drzwi.

– Hej! – jęknął zbity z tropu. – Co robisz?

– Wychodzę.

– Już? Dopiero zaczęliśmy się...

Nie przyznał, że odchodzi w chwili, gdy, wreszcie, zaczął jej się zwierzać. Oburzył się:

– Cholera, opowiadam ci o swoim idolu, a ty się zmywasz!

Élise, całkowicie nad sobą panując, wróciła do niego i przytrzymując się oparcia krzesła, rzuciła:

– Wydaje mi się, że daleko ci do twojego wzoru, Louis.

– Co?

– Tygrys nigdy by nie przyszedł do rozmównicy. Ty przyszedłeś. Żegnaj.

Wyszła, nie oglądając się za siebie.

*

Najeżony kot skoczył, z łapami skierowanymi do nieba, z obnażonymi pazurami, zawirował w powietrzu i omali nie złapał motyla.

– Rrr...

Wściekał się, kichając. W jego oczach błyszczał płomień niesforne

dzikusa. Celując w rusałkę osetnika o pomarańczowo-atramentowych skrzydłach, ponownie rzucił się do przodu. Pudło. Jeszcze raz. Dwa razy. Trzy. Beztraska, wesoła skrzydlata dama kontynuowała nieskładny lot. Kocur zamruczał.

„Nie wynalazł pułapki na myszy!”, pomyślała Élise, zauważywszy jego porażkę.

Niepowodzenie doprowadzało kota do hysterii. Nie potrafił polować, jeśli nie kończyło się to lamentami, świstami, wierzgnięciami.

Gdy przeleciała obok niego mucha, jednym szybkim kłapnięciem szczęk uwięził ją w paszczy. Zaskoczony, że poszło mu tak łatwo, przeżył sekundę niedowierzania, a potem, uspokojony, rozgniół muchę, wysał ją, schrupał, delektując się nią z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi zębami, zachwycony swą zdobyczą. Owad był wart tyle, co skarby Ali Baby.

Gibki, z połyskującą sierścią i wyprężonym ogonem, podszedł rozkołysanym krokiem do Élise, która pracowała na tarasie, i otarł się o jej kostki.

– Psik! – wykrzyknęła, cofając się.

Już wcześniej poczuła odrazę do kota. Od czasu opowieści Sama Louisa dostrzegała w tym małym przedstawicielu kotowatych tygrysa, ów spokojny egoizm drapieżnika, tę naturalną krwiożerczość, instynktowną, amoralną, która skłaniała go do przekreślenia życia uderzeniem łapy i rodziła całkowitą amnezję, gdy oddalał się od zwłok, bez żalu czy wyrzutów sumienia. Okrucieństwo w hebanowej szacie.

– Psik! Już ci mówiłam!

Trąciła go lekko stopą. Wydawał się zakłopotany, nie rozumiejąc, czemu go nie podziwia, skoro on tak bardzo się ceni.

Praca szła Élise opornie. Wcale jej nie pasjonowały kolejne wcielenia Czerwonych Brygad, a poza tym wciąż wracała myślami do Sama Louisa. Ten osobnik porzucił człowieczeństwo na rzecz zezwierzęcenia. Od lat

rywalizował z tygrysem. Zresztą ciekawe od ilu.

– Miau...

Kot, pragnąc przyciągnąć jej uwagę, właśnie wszedł do zacienionej garsoniery. Poruszając łędźwiami i machając ogonem, posuwał się naprzód i omiatał wzrokiem meble niczym właściciel.

Skrzywiła się. Co? W więzieniu odwiedzała człowieka, który porzucał ludzką naturę na rzecz zezwierzęcenia. Tutaj miała do czynienia ze zwierzęciem, które porzucało zwierzęcą naturę na rzecz ludzkiej. Dość tego!

Klasnęła znienacka w dłonie, wywołując ogłuszające echo w niemal pustej garsonierze.

Czarny błysk wystrzelił z materaca, prześliznął się niczym ryba między jej nogami i jak błyskawica śmignął za żywopłot.

– Co za ulga!

Zamknęła drzwi balkonowe.

W łazience przejrzała się w lustrze. Zobaczyła w nim upartą obcą osobę. Choć trzymała się prosto, wyglądała na pokonaną, miała przygarbione ramiona, podkrążone oczy, wargi pogryzione od środka, zaniedbane, pozbawione połysku włosy, obecne na jej głowie jakby z przyzwyczajenia, niczym zapomniany kapelusz. Dotykając policzków, kości policzkowych, czoła, przeciągając palcami po kąciku ust czy po powiekach, uświadamiała sobie swą porażkę. Jej twarz utraciła dawną doskonałość i odtąd była atrakcyjna już tylko dzięki mimice, która ją ożywiała. Jej oczy miały już tylko blask, który sama im nadała, a skóra już tylko te rumieńce, które dodawał jej makijaż. Sama z siebie była kobietą przygaszoną.

Zapadał zmrok.

Przemierzyła swoje maleńkie mieszkanie. Och, mogła buszować wszędzie, bo z nikim go nie dzieliła. Ani z dzieckiem, ani z mężczyzną. Była to nowa samotność, samotność, która nie została wybrana, jak w pewnych okresach jej życia, lecz narzucona, pozbawiona kaprysów, odrzucenia,

fanfaronady, oczekiwań, spotkań. Samotność kobiety pokonanej, nie samotność zwyciężczyni. Westchnęła.

– Skąd się bierze moje westchnienie? Absolutnie nie należy tego zgłębiać!

Na tle błękitnawego zmierzchu kot przyglądał jej się badawczo zza przeszkłonych drzwi. Gdy go zauważyła, poskrobał szybę różową łapą delikatnie i z wdziękiem: chciał wejść.

Podeszła do niego. Wiercił się, zadowolony, że wygrał.

– Zarozumialec!

Przykucnęła. Obserwowała go i obserwowała siebie, obserwując jego.

Kilka lat wcześniej otworzyłaby drzwi. Kilka lat wcześniej była jeszcze kobietą uprzejmą. Wtedy myślała, że uprzejmość, usłużność, wspaniałomyślność, przywiązanie stanowią najważniejsze cechy, a nawet przydatne zalety. „Dzięki uprzejmości, córeczko, pokonasz wszystkie przeszkody”, oto czego uczyła Laure, która obyłaby się bez tej rady, bo natura obdarzyła ją wrażliwym charakterem, ufnością, swobodą, współczuciem, otwartością na innych, do tego stopnia, że zapominała o sobie. „Uprzejmość jest bronią, która rozbraja”, powtarzała Élise, dumna ze swego dziecka. Później niestety tę uprzejmość znieawidziła. Przez nią Laure straciła życie! Trzeba było zabiegać, by stała się nieufna, oschła, paranoiczna, wojownicza, nietowarzyska, podejrzliwa, zawzięta, żeby uniknąć napaści ze strony kogoś takiego jak Sam Louis.

Kot, oczekujący z niecierpliwością, aż go wpuści, zgłaszał pretensje swym kocim głosem, niskim i chrapliwym, a potem wbił w nią żółte oczy z zielonymi żyłkami. Próbował ją zmiękczyć.

„Czemu go odtrącać? Gdybym...”

Nagle odskoczyła: zrozumiała.

Brązowawa plamka na rogówce prawego oka!

Kot miał taką samą plamkę w kolorze sepii jak Laure, ciemną smugę,

która przecinała źrenicę i sięgała tęczęwki. Laure i jej matka nazywały ten znak szczególnie „kokieterią w oku”.

Przestraszyło ją to odkrycie. Oto dlaczego, choć nie lubiła kotów, czuła niekiedy, że ten ją pociąga! Wstając, uderzyła rozprostowanymi dłońmi w szybę i wrzasnęła jak obłąkana:

– Odwal się! Zjeżdżaj! Nigdy się ze sobą nie zaprzyjaźnimy.

Przerażony kot umknął, wtapiając się w noc.

W następną sobotę nogi same zaprowadziły ją do więzienia.

Niebo było nijakie. Ni to błękitne, ni to białe. Nijakie.

Élise usiadła naprzeciw Sama, ledwie na niego patrząc. Milczała. Nie miała ochoty zadawać mu pytań – chociaż zostało jej jeszcze kilka, drażliwych – nie miała ochoty podążać za nim w labiryncie jego perwersyjnego umysłu, nie miała ochoty, by ją torturował, wspominając Laure – albo o niej nie wspominając – krótko mówiąc, nie miała najmniejszej ochoty stawić mu czoła. Zadowolona się przyjsciem. Bo przecież musiała. To chyba wystarczy, prawda?

Sam Louis, zbity z tropu, też nie zaczynał rozmowy.

Milczeli.

Od czasu do czasu jedno podnosiło wzrok na drugie, żeby wciągnąć je do dyskusji, dać do zrozumienia, że jest gotowe słuchać, lecz ta ukradkowa wymiana spojrzeń nie wywoływała żadnej reakcji, milczenie się przedłużało.

Sam Louis, początkowo zakłopotany, szybko wrócił do swych nawyków: niema rozmowa przekształciła się w próbę sił. Wkładał teraz całą swą energię w trzymanie języka za zębami, licząc na to, że Élise pęknie.

Cisza stawała się coraz bardziej przytłaczająca.

Więzień nie ustępował. Odwiedzająca traciła zainteresowanie nim.

O ile Sam skrywał gniew podczas tego przeciągania liny, o tyle Élise zaczęło ono w końcu sprawiać przyjemność. Choć raz to ona przejęła rolę

obojętnej, biernej, apatycznej, nieludzkiej. Co za ulga...

Spędzili w ten sposób godzinę, siedząc przy stole kilka centymetrów od siebie, oddzieleni szybą i bardzo odległymi myślami.

O przewidzianej porze rozległ się szczeł żelastwa, klucz ożywił zasuwę, drzwi zaskrzypiały i strażnik przyszedł po skazańca.

Sam wstał z nieżyczliwym grymasem na twarzy i krzyknął ostrym głosem:

– Nie przychodź w przyszłym tygodniu!

W następnym tygodniu Élise stawiała się w rozmównicy punktualnie o piętnastej, a Sam się do niej uśmiechnął.

– Cieszę się.

Skinęła głową, mrużąc powieki. Usiadła i powiedziała szybko:

– Niestety, zostanę tylko pięć minut.

– Dlaczego?

– Mam spotkanie.

– Aha...

– Z kim?

– Z kimś. Po prostu spotkanie.

Zauważyła chmurę zazdrości rzucającą cień na twarz Sama, lecz trwało to tak krótko, że nie była tego pewna.

Zamknął się w sobie, silny, zwały, masywny, zobojętniały. Kupa gliny. Gdy przyglądał się posadzce, jego usta się poruszyły:

– Masz inne dzieci?

– Inne dzieci niż...?

– Niż twoja córka?

– Kto?

– Twoja córka!

– Ona ma imię!

Celowo zwlekał, a potem rzucił:

– Laure.

– Cieszę się, że je pamiętasz...

Sam odwrócił głowę, a Élise wyjaśniła:

– Nie!

– Co?

– Nie mam innych dzieci.

– To dlatego mnie odwiedzasz?

– Być może. Ważne, że przychodzę.

– Być może.

Wpatrywał się w nią swymi dużymi, leniwymi oczami, których powieki zakrywały do połowy brązowe źrenice.

– Nie miałaś syna. Chciałabyś mieć syna?

– Ty nie miałaś matki. Chciałbyś mieć matkę?

Przyglądali się sobie z oszczędną życzliwością. Oswajali się nawzajem.

Sam miał ochotę na rozmowę.

– Chciałbym zrozumieć.

– Co?

– Ty chcesz zrozumieć, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem. Ja chciałbym zrozumieć, dlaczego robisz to, co robisz. Czy nam się to uda?

– Jestem tego pewna, Sam.

Uśmiechnęła się serdecznie.

– Nie oceniaj kobiet na podstawie tych ze swojego dzieciństwa, matki,

która cię porzuciła, pani Vartala, która...

– Moja matka nie tylko mnie porzuciła!

Bąknął to pośpiesznie, a słowa same wytrysnęły z jego ust.

– Opuściła mnie dwa razy. Vartala tak samo. Obie zdradzały mnie powtórnie.

Wpatrywał się w nią, przerażony tym, co właśnie wyjawiał.

Przybrała uspokajający wyraz twarzy.

– Niczego się nie obawiaj. Mnie będziesz mógł powiedzieć wszystko. Dzisiaj, jak już wspomniałam, muszę lecieć. Opowiesz mi w przyszłym tygodniu.

– Jeśli nie...

– Przyjdę, Sam. Nie zostawię cię. Możesz na mnie liczyć. Przyjdę. Jak prawdziwa matka. Do soboty.

Został z rozdziawionymi ustami.

Élise wyszła z więzienia, strzepnęła kurz z żakietu, ze spódnicy, a potem usiadła w ogródku pierwszej kawiarni, jaką znalazła.

Słońce ją oślepiało.

Oczywiście nikt na nią nie czekał, nie miała żadnego spotkania. Chciała po prostu uniknąć tego, by Sam mówił przez przypadek. Musiał czuć potrzebę rozmawiania z nią. Długi tydzień niewątpliwie podsycił to pragnienie.

Co do niej... Chociaż wiedziała, czego oczekuje od niego, nadal nie miała pojęcia, czego oczekuje dla siebie. Coś jednak drgnęło, zakończenie rysowało się na horyzoncie, czuła to, wiedziała, że się pojawi. W końcu na pewno uda jej się znaleźć wyjaśnienie, dlaczego od lat odwiedza tego zbrojnego, dlaczego zadaje sobie ból, przestając z nim, patrząc na niego, słuchając go...

Tamtego wieczoru rozpętała się burza.

Ulewa, grzmoty, błyskawice wspólnie dawały wyraz wściekłości

przyrody. Krople deszczu dziurawiły ziemię tak intensywnie jak pociski wystrzelone z karabinu maszynowego. Wstrętna wilgoć niczym gaz przenikała przez ściany i okna.

Żeby chronić się przed hałasem, Élise posunęła się do przesady: włączyła telewizor, z którego tak mało korzystała, i odcinek amerykańskiego serialu kryminalnego spotęgował zgiełk detonacjami i syrenami policyjnymi.

Pośród tej apokalipsy usłyszała odgłos drapania. Zaniepokojona, bo bała się wtargnięcia do domu jakiegoś gryzonia, bardzo szybko dostrzegła za szybą kota, zmokłego i żalosego, który błagał ją, żeby go wpuściła. Krzyknęła do niego:

– Wracaj, skąd przyszedłeś, wynocha! Jesteś dzikim zwierzęciem.

Nalegał, przyciskając różowe poduszki do szyby.

– Miau...

Nie zadając sobie trudu, żeby zaciągnąć zasłonę, poszła spać.

Nazajutrz, w niedzielę, kot się nie pokazał.

– Nareszcie!

Élise wyszła na taras, który osuszało słońce, i ucieszyła się, że może z niego korzystać nierozpraszana przez kaprysy lub wymagania kota.

Tamtego dnia skończyła przekład. Niezmiernie zadowolona, poprawiała ostatnie słowa w swym dziele, gdy spadł rzęsisty deszcz. Na tę noc zapowiadano burzę równie gwałtowną jak poprzedniego dnia. Krople chłostały bruk, smagały ściany.

Wróciła do środka i szukając wśród swoich płyt muzyki odpowiedniej do gotowania, wybrała melodie kubańskie.

Przeskakując od rondla do obieraczki do warzyw, tańczyła radośnie. *Pepito mi corazon*. Gdy tropikalne rytmy dobiegły końca, puściła je od nowa.

– Cha-cha-cha, nie ma to jak ta – zanuciła cicho, kołysząc biodrami.

A przy okazji, co się stało z kotem? Mimo ulewy nie zastukał w szybę. Szkoda, tego wieczoru być może by mu otworzyła...

W poniedziałek Élise zbudziła się w bardzo złym humorze. Czekają ją ponowne przeczytanie tłumaczenia – nudna część jej pracy – i uprzedzenie agencji, która ją zatrudniała, że odda tekst z tygodniowym opóźnieniem.

Siedząc na tarasie z kawą w ręku, pochyliła się nad ekranem.

– Gdzie on się podziewa?

Mimo że odtrącała kota, przyzwyczała się do jego obecności. Bez niego garsoniera wydawała się bardziej ponura, a trawnik brzydszy. To prawda, często pragnęła, żeby sobie poszedł, ale niepokoiła się, że jej życzenie nieoczekiwanie się spełniło.

Wstała od stołu, przeszła przez ogród, wcisnęła się w żywopłot w miejscu, gdzie ligustry łączyły się ze śliwami wawrzynolistnymi, a następnie, z trudem, ocierając sobie skórę, wydostała się na drugą stronę.

– Kici, kici!

Żadnej reakcji. Tak czy inaczej kot nigdy nie reagował na swoje imię. Zresztą nie miał żadnego imienia.

– Kici, kici, kici, kici!

Postanowiła okrążyć trawnik po zewnętrznej stronie, czego nigdy wcześniej nie próbowała. Zaglądała pod wszystkie krzaki, licząc na to, że zobaczy, jak kot z nich wyskakuje.

Nic.

Czyżby zmienił terytorium?

Zawróciła w stronę swojego bloku, gdy zauważyła jakiś podejrzany kształt na sąsiedniej drodze, kłębek sierści w kolorze kota. Podeszła do niego w pośpiechu.

Zwierzak leżał na asfalcie, z rozerwanym bokiem, wnętrznościami na wierzchu i futerkiem poplamionym brunatną krwią. Zdrętwiały, z błędnymi

oczami, jęczał, dogorywając.

Nie zawahała się. Pobieгла po tacę, którą przykryła ścierką, wróciła do kota, ułożyła go na niej ostrożnie, a potem popędziła do kliniki weterynaryjnej, którą zauważyła w drodze do więzienia.

Gdy tylko dotarła na miejsce, sekretarka, rozumiejąc powagę sytuacji, natychmiast zaalarmowała weterynarza oraz jego asystentów.

Kota ułożono na chromowanym stole.

– Został pogryziony przez psa – postawił diagnozę weterynarz. – Z zjadłością. Brutalnie. Okropnie. Nie do wiary, że jeszcze oddycha...

– Da się coś z tym zrobić?

– Niewiele. Nie.

– Bardzo pana proszę!

– Oczywiście mógłbym go operować. Ale to potrwa i nie ma żadnej gwarancji, że się uda.

– Niech pan spróbuje, proszę!

Wykrzyczała te słowa.

– To będzie sporo kosztować – zwrócił jej uwagę lekarz ze współczuciem.

– Proszę spróbować! Bardzo proszę... Zapłacę.

Weterynarz i jego asystenci wywnioskowali z tego, że mają do czynienia z właścicielką głęboko przywiązaną do swojego pupila, i pośpiesznie przygotowali kota do operacji. W rzeczywistości Élise wpatrywała się w zwierzę, jego odsłonięte mięśnie, przerwane ścięgna, brzuch rozszarpany przez psy, i myślała o Laure, której ciało również zostało rozdarte.

We wtorek o ósmej przyszła do kliniki, tak jak jej poradzono.

– I co?

Weterynarz podrapał się po uchu.

– Włożyłem wnętrzności do jamy brzusznej, zszyłem mięśnie, zaszyłem skórę. Leczymy go antybiotykami, żeby zapobiec infekcji.

– To znaczy, że został ocalony?

Weterynarz odchrząknął.

– Zrobiłem, co mogłem, tak jak sobie pani życzyła, ale nie mogę zapewnić, że się z tego wyliże. To był dla niego zbyt duży wstrząs: walka z psami, obrażenia, operacja. Nadal jest w stanie krytycznym. Jeszcze się nie obudził. Karmimy go przez sondę i bacznie obserwujemy. *À propos*, jak on ma na imię? Moglibyśmy wołać do niego po imieniu, żeby go mobilizować.

Élise spuściła wzrok, zakłopotana, a potem oznajmiła stanowczo:

– Kici.

– Słucham?

– Nazywa się Kici. Wiem, że to mało oryginalne. Już został tak ochrzczony, zanim go dostałam.

Odwróciła się na pięcie.

W środę weterynarz okazywał mniejszy optymizm:

– Uchyła powieki, ale się nie porusza. Bardzo cierpi pomimo morfiny. Gdybym zwiększył dawkę, powstałoby ryzyko, że... rozumie pani.

– Oczywiście.

Ujął nadgarstki Élise i je ucisnął.

– Nie chcę krakać, proszę pani, ale radzę przygotować się na najgorsze. Do jutra.

Czwartek nie przyniósł lepszych wieści, piątek tak samo. Zespół weterynaryjny, chociaż w pełni zmobilizowany, tracił nadzieję.

– Najbliższe dwadzieścia cztery godziny okażą się decydujące. Zapraszam jutro, ale nie przed południem, bo operuję.

– Dobrze, przyjdę po...

Élise omal nie powiedziała „po wizycie w więzieniu”, ale ugryzła się w język.

– Jutro o szesnastej! – ucięła równie gwałtownie, jakby zatrzaśkiwała drzwi.

– Chce pani zobaczyć Kici?

– Słucham?

– Domyślam się, że pragnie pani pogłaskać Kici, coś mu powiedzieć...

Élise wpadła w panikę. „Kici”? Doszło do niezręcznego nieporozumienia: nie była właścicielką kota, nie lubiła tego kota, a nawet gorzej, nie znosiła go. Zabrała zwierzaka i przyniosła tu z... litości. Żeby nie zachować się obojętnie, jak łajdak, morderca, nic więcej. Kwestia przyzwoitości. Czego właściwie od niej oczekiwano? Że wrzuci dogorywającego kota do kontenera na śmieci? Kontenera na śmieci? Jak... W jej głowie eksplodował nagle obraz Laure. Wietrząc niebezpieczeństwo, zamknęła się w sobie i rzuciła weterynarzowi przerażone spojrzenie.

– Dziękuję, nie teraz.

W sobotę o piętnastej Élise i Sam ponownie spotkali się w rozmównicy o ścianach w kolorze skorupki jajka.

Po raz pierwszy zwyczajnie gawędzili, rozmawiając swobodnie o pogodzie, sytuacji politycznej, więzieniu, strażnikach... Wystarczająco długo mieli ze sobą do czynienia, by wiedzieć, że to, co najistotniejsze, czeka cierpliwie za uspokajającymi błahostkami. Oboje postanowili skorzystać z tej chwili wytchnienia.

Sam się odprężył i strzelił stawami palców, które wydały głuchy odgłos rozłupywanego orzecha. Élise popełniła błąd: przyjrzała się rękom osiłka spoczywającym na blacie rozmównicy. Były rozluźnione, spłaszczone, niemal martwe i miały krótkie, owłosione palce z bladymi, niestarannie obciętymi, prążkowanymi paznokciami. Nagle dłońmi wstrząsnął skurcz. Naprężyły się niczym zjeżona pantera, gotowe do skoku. Élise skamieniała.

Przecież to te ręce dręczyły Laure, ręce zabójcy! Ogarnęły ją mdłości, uniosła dłoń do ust, śniadanie podeszło jej do gardła, miała ochotę uciec.

– Coś nie tak? – zapytał Sam z prawdziwą troską.

Élise podniosła głowę, utkwiała wzrok w jego źrenicach i chociaż oczy Sama były nie lepsze od jego rąk, udało jej się zapanować nad obrzydzeniem.

– To nic poważnego. Zjadłam coś, co...

Trzymając się tego tematu, Sam opisał jej żalosne porcje, które tutaj nakładano im czasami do menażek, i zaczął się rozwodzić nad więziennym jedzeniem. Élise nie zwracała uwagi na ten monolog, który jednak pozwolił jej dojść do siebie. Przerwała mu:

– Sam, w zeszłym tygodniu powiedziałeś coś ważnego. Wyznałeś, że kobiety cię porzuciły. Twoja matka. Pani Vartala.

– To chyba oczywiste, nie?

– Dwa razy. Sprecyzowałeś, że każda z nich opuściła cię dwa razy. To już nie takie oczywiste...

Ponownie strzelił palcami. Élise nalegała łagodnie:

– Opowiedz mi o tym, Sam.

– Matka porzuciła mnie po narodzeniu. No dobrze, to w gruncie rzeczy pospolite, tego rodzaju rzeczy zdarzają się od wieków, smarkula w trudnej sytuacji, niedojrzała, podatna na wpływy... Trach! i pozbywa się bachora, powierza go władzom i po sprawie. Zawsze myślałem, że moja matka właściwie była ofiarą.

– Masz rację.

– Akurat! W pewnym momencie miałem nadzieję, że ją odnajdę. Taka mania nastolatka, dokładniej: trzynastolatka. Miałem obsesję na tym punkcie. Ponieważ rodziła anonimowo, oficjalnie nie można było ujawnić mi jej tożsamości, ale znałem kogoś, kto był w posiadaniu tej informacji, René, wychowawcę, z którym zetknąłem się w pierwszym domu dziecka.

Odszukałem go i poszedłem do niego. Oczywiście się wkurzył, a wtedy odstawiłem przed nim cyrk: wyłem, tarzałem się po ziemi, darłem się, że to dla mnie kwestia życia lub śmierci, groziłem popełnieniem samobójstwa i tak dalej. I wiesz co? To było łatwe! Naprawdę. Dzisiaj bym tak nie potrafił. Trzeba pamiętać, że miałem trzynaście lat, a w tym wieku...

Zerkał skołowany na tego niegdysiejszego nastolatka. Élise bała się, że się zatnie.

– I co?

– René obiecał mi, że się tym zajmie. Skontaktował się z moją matką, a ona skoczyła mu do gardła! Wrzeszczała, że nie zamierza się ze mną widzieć, że ma to gdzieś, że liczę się dla niej nie bardziej niż gówno, które wysrała na skraju drogi, a zresztą tym właśnie dla niej jestem, gównem wysranym na skraju drogi!

Élise przełknęła ślinę, zaszokowana taką szorstkością. Sam mówił dalej, oszołomiony:

– Nie zareagowałem. Czuję, że René mnie nie okłamuje. Nawet go nie sprąłem za to, że powtórzył mi jej słowa. To zabolowało. Koniec kropka. Jak pech, to pech. Pani Vartala też zaczęła się na mnie wyżywać. W tamtych czasach wszyscy dawali mi w kość. Uważała mnie za nieudacznika, bo obijałem się w szkole, za świnię, bo onanizowałem się nad pisemkami z dupami, za zepsutego, bo podglądałem przybrane siostry, gdy się myły. A przecież to normalne, nie?

– Tak, Sam. Nie wychowywałam chłopców, ale uważam, że zachowywałeś się normalnie. Poza zaniedbywaniem nauki.

– Okej! Miałem jaja pełne spermy i już nie wiedziałem, co mam z tym robić. Wobec tego spróbowałem szczęścia. Z kim się najlepiej kumpłowałem? Z przybranymi siostrami... Podrywałem Zoé, ale mnie spławiła. Uparłem się. Zgoda, ciut za bardzo. Potem zabrałem się za dwie pozostałe, cholera, przecież proponowałem im coś przyjemnego, coś fajnego, coś, co się lubi, ale one wrzeszczały jak zarzynane gęsi. Kurwa, słysząc to, miałem ochotę je

udusić. Możliwe, że trochę tak zrobiłem...

Spuścił głowę.

– Pani Vartala doniosła na mnie, oznajmiła, że stanowią zagrożenie dla porządku publicznego, że trzeba ją ode mnie uwolnić. Uważam, że w rzeczywistości liczyła już na parę bliźniaków mieszanej rasy, których potem jej powierzono i na których zarobiła podwójnie. Znów wsadzili mnie do poprawczaka. To było nie do zniesienia! Dziewczyny coraz bardziej mnie rajcowały. Beształy mnie, bo szybko zmierzałem do celu. „Zbyt gwałtownie”, powtarzały w kółko. Trzeba było się ociągać, najpierw żarty, potem łożenie tam i z powrotem, głupawe dyskusje, miętowa lemoniada, filiżanka herbaty, dotykam-cię-ale-cię-nie-dotykam, całuję-cię-ale-cię-nie-całuję, czuję-że-ci-stanął-ale-udaję-że-nie-zauważyłam, nie-dziś-wieczór, nie-za-pierwszym-razem, mam-ochotę-ale-nie-czuję-się-gotowa, muszę-być-zakochana, wszystkie te nieznośne sztuczki dziewczyn! Do cholery, nie ma nic bardziej naturalnego niż to, że chłopak i dziewczyna się bzykają, no nie? Po co tyle udawania? Wtedy popełniłem pierwsze głupstwo.

– Mówisz o kobiecie, którą zgwałciłeś na przystanku autobusowym?

– Tak. A pani Vartala zdradziła mnie ponownie. Podczas procesu przyszła mnie pogrzyźć, wykrzykiwała, że jestem potworem, bydlakiem, bestią... Próbowała zgrywać męczennicę. Niewątpliwie dawali za to premię... Trafiłem do pudła, a tam...

– A tam, co?

– Tam zrozumiałem. Zawsze rajcowały mnie łowy. U rodziny Vartala kłusowałem, majstrowałem pułapki, przemierzałem lasy, pola, godzinami czaiłem się za krzakami. Ćwiartowałem zające, oskubywałem przepiórki i bażanty. W bibliotece zakładu karnego czytałem o metodach polowań i obejrzałem reportaż o tygrysach. Olśniło mnie: nie byłem człowiekiem, byłem tygrysem. Ludzie mnie odtrącali? To normalne, nie należałem do ich społeczności. Przerazałem ich? To normalne, byłem tygrysem. Zresztą zamknęli mnie w zoo, w pace, za kratami, to ich reakcja, gdy mają cykora.

Nagle wszystko stało się jasne. Przestałem obwiniać matkę.

– Dlaczego?

– Tygrysica wydaje młode na świat, a gdy już sobie radzą, wysyła je gdzie indziej. Precz! Won! Żadnych sentymentów. Tygrysica już nie rozpoznaje swoich dzieci, będzie z nimi walczyła, żeby pożreć antylopę albo dlatego, że wtargnęły na jej terytorium. Dlatego pozbyłem się wątpliwości: moja matka była tygrysicą, a ja tygrysem.

– I co?

– Po wyjściu z więzienia, dwa lata później, zacząłem żyć, jak należało. Oznaczyłem swoje terytorium, Montparnasse, zrobiłem to, sikając tam wszędzie w nocy, a potem wynajdowałem różne kryjówki u facetów.

– Wybacz, że ci przerwę, Sam, ale przecież spałeś z tymi mężczyznami.

– Nie.

– Ależ tak.

– To oni spali ze mną, a nie ja z nimi. Nie jestem pedałem.

– Słucham?

Tupnął nogą.

– Nie jestem pedałem. Jasne? Te typy mnie dotykały, a ja im na to pozwalałem. Zdarzało się, że ich obmacywałem, ale bez patrzenia. Potem wciskali mi pieniądze, czasem żarcie, czasem dawali pokój. Nie byłem pedałem: podobałem się pedałom, a to różnica! Kiedy ja mam ochotę, mam ochotę na kobietę. Niestety kobiety...

– Tak?

– Z kobietami idzie powoli. Z kobietami to idiotyczne. Z kobietami to skomplikowane.

– Wystarczy! Dziękuję. Nie warto kontynuować.

Przyjrzał jej się urażony.

– Ale...

– Znam ciąg dalszy – wyjaśniła spokojnie. – Twoje łowy... Twoje zdobycze... Piętnaście razy...

– Ale...

Przeciwstawiała mu się.

– Sam, chcę cię o coś zapytać. To bardzo ważne pytanie i proszę, żebyś na nie odpowiedział z taką samą szczerością, jaką właśnie okazałeś. Czy to ci sprawiło przyjemność?

– Co?

– Powiedz szczerze: piętnaście razy, czy to ci sprawiło przyjemność?

Wpatrywał się w nią długo, a potem wyznał:

– Nie... Nie było ani przyjemne, ani nieprzyjemne.

Podrapał się po ramieniu i dodał:

– To niezrozumiałe...

– Wcale nie.

Zdziwiła go jej pewność siebie:

– Co takiego?

– Odczuwałeś przyjemność przedtem, na myśl, że to zrobisz, prawda?

– Tak.

– Oraz przyjemność potem, na myśl, że to zrobiłeś?

– Tak.

– Ale nie w czasie, gdy to robiłeś?

– No właśnie.

– To normalne!

Zmarszczył brwi, a Élise powtórzyła kojącym głosem:

– Normalne. Nie cieszyło cię to, bo zaspokajałeś innego. Potwora. Tego, za którego uważała cię pani Vartala. Tygrysa. Tego, za którego sam się uważałeś. Innego, Sam, innego!

Znieruchomiał, zaskoczony. Élise ciągnęła:

– Prawdziwy Sam różni się od potwora czy od tygrysa. Prawdziwy Sam to chłopiec, który byłby zachwycony, mając matkę, znając ją, i który uwielbiałby ją kochać. Prawdziwy Sam to nastolatek, który zebrał o uczucie pani Vartala. Prawdziwy Sam to człowiek delikatny i wrażliwy, który, chcąc się bronić, wymyślił drapieżnika służącego mu za wzór. Zrobiłeś to wszystko, żeby nie cierpieć, Sam, ale postąpiłbyś lepiej, cierpiąc.

Samowi trzęsły się wargi.

– Kilkakrotnie zapragnąłeś zrezygnować z człowieczeństwa, Sam, bo nie widziałeś w nim miejsca dla siebie, bo wyobrażałeś sobie, że ono cię nie chce. Zabrakło ci cierpliwości, Sam, oto do czego się sprowadza twoja wina. Zabrakło ci pewności siebie, Sam, a na to nie miałeś wpływu. Cofnij się do tamtych chwil, cofnij się do decyzji, które podjąłeś pochopnie: postanowiłeś już nie wierzyć w miłość kobiet, nie czekać na przyzwolenie dziewczyn, naśladować tygrysa. Potem cofnij się jeszcze bardziej, do czasów swej niewinności, delikatności, czystości, a odnajdziesz tam zupełnie innego Sama, tego, który zdecydowałby inaczej, tego, który nie zabiłby piętnastu kobiet, tego, który nie gniłby w więzieniu.

Przycisnęła ręce do szyby, jakby ujmowała w dłonie twarz więźnia.

– Chcę, żebyś wskrzesił tamtego Sama. Chcę rozmawiać z tamtym Samem, chcę go zobaczyć, chcę go odwiedzać. Na tamtego Sama czekam od dwóch lat, odkąd przychodzę do więzienia. Zwróć mi tamtego Sama. Zwróć go nam. Zwróć go sobie.

Pod powieki aresztanta napłynęły łzy. Élise już nie wiedziała, kim jest, gdzie się znalazła ani co wygaduje. Niesiona władczy porywem, który wypływał z najgłębszych zakamarków jej duszy, z każdą sekundą odkrywała to, co wypowiadały jej usta.

– Zgadzam się zostać matką tamtego Sama. Może wyjść ze swego lochu i wesprzeć się na mnie, żeby się odnowić, odważyć się żyć, stawić czoła temu drugiemu Samowi, zabójcy, drapieżcy, nakazać mu, Samowi-tygrysowi, wrócić do jego nory. Słyszysz mnie, Sam? Naprawdę chcę być twoją matką. Twoją prawdziwą matką. Nie rodzoną matką, która zignorowała cudowne dziecko, przechodząc obok niego obojętnie. Nie twoją przybraną matką, która w miejscu serca miała portfel. Twoją rzeczywistą matką, wybraną, wierną. Sam-potwór, Sam-tygrys należy do nich, do tamtych kobiet, był wytworem ich wad. To przez nie przegapiłeś etap, który pozwala chłopakowi stać się mężczyzną. Ty się nie potknąłeś, Sam, to one cię popchnęły. Na nich jednak świat się nie kończy, ja przyszedłam do ciebie, jestem tutaj.

Sam zaszlochał.

Élise uśmiechnęła się do niego czule.

– To ty... ty mi to mówisz – wybełkotał między dwoma napadami czkawki – chociaż... zabiłem twoją córkę.

– Że jestem gotowa cię kochać? Tak, to ja, Sam.

Ukrył twarz w dłoniach, by nadal ronić łzy. Usiłując opanować łkanie, zdołał kilkakrotnie wybąkać:

– Och, jak mi przykro... Gdybyś wiedziała, jak bardzo żałuję... ja...

Élise poczuła ulgę, nieznaną wcześniej spokój, coś łagodnego i promiennego.

Usłyszała wtedy własny głos:

– Wybaczam ci, Sam.

Po tych słowach wydało jej się, że opuszcza ten świat, z jego rzeźbą terenu, jego kształtami, zapachami, kolorami. Z sufitu spływała jakaś wielka moc, która ją otuliła i uniosła z lekkością.

Élise powtórzyła:

– Wybaczam ci, Sam.

Potem uległa olśnieniu.

Kilka minut później dwaj strażnicy, którzy przyszli ogłosić koniec wizyty, osłupieli na widok tego, co odkryli po otwarciu drzwi: po jednej stronie kobieta odwiedzająca więźnia leżała nieprzytomna na posadzce z uśmiechem malującym się na ustach, po drugiej herkules płakał rzewnymi łzami i krzyczał jak dziecko.

Po wyjściu z więzienia Élise, ocucona, odświeżona i pokrzepiona cukrem nasączonym alkoholem miętowym, czuła w sobie dziwną pustkę. Obeszła wysokie mury zwieńczone zwojami drutu kolczastego i posuwała się naprzód jak lunatyczka, nieświadoma chodników, po których stąpały jej stopy, przechodniów, których unikały jej ramiona, czerwonych albo zielonych świateł, którym posłuszne były jej oczy.

Przeszedłszy kilka skrzyżowań, natrafiła na niebieską fasadę, której znajomy widok powstrzymał jej majaczenia. Klinika weterynaryjna... Czy nie powinna do niej zajrzeć i zapytać o kota?

Pchnęła drzwi. Poznając ją, sekretarka popędziła na zaplecze i przyprowadziła weterynarza. Z zatroskanym czołem i smętnym wyrazem twarzy, stosownym do okoliczności, poinformował ją, że rokowania są coraz gorsze i że zwierzę nie przeżyje nocy.

Élise nie odpowiedziała. „Cóż to ma za znaczenie?”, pomyślała.

Weterynarz mówił dalej:

– Nie porusza się, już na nic nie reaguje. Jeśli chodzi o picie czy jedzenie, nie sposób go zmusić. Wbrew temu, co twierdzą ludzie, zwierzęta odgadują, kiedy nadchodzi koniec. Gdy wiedzą, że nie przeżyją, są na tyle mądre, że bez oporu odpływają w śmierć.

Élise skinęła obojętnie głową. Nic nie mąciło jej apatii.

– Chce go pani zobaczyć?

Ponieważ nadal nie odzywała się ani słowem, wziął ją pod rękę i poprowadził. Zobojętnienie sprawiło, że nie zaprotestowała. Sunęła

korytarzami nieobecna duchem, oszołomiona, bezwolna.

Weszli do sali oświetlonej neonówkami, wypełnionej różnych rozmiarów klatkami, które stały wzdłuż ścian. W tych dużych leżały psy, unoszące powieki, żeby zidentyfikować intruzów. Bardziej żwawe koty zajmowały te małe.

Weterynarz zaprowadził Élise do ostatniej klatki, na wysokości człowieka.

Tkwiło tam nieruchomo czarne futerko. Widać było tylko grzbiet leżącego zwierzęcia odwróconego w stronę wnętrza klatki.

– Nie żyje?

– Nie, jeszcze oddycha.

Élise zbliżyła się do siatki i wyszeptała bezwiednie:

– Kici, kici! Kici, kici, kici!

Uniosło się dwoje uszu.

Zachęcona, zaczęła od nowa:

– Kici, kici!

Kot z trudem uniósł głowę i obracając ją do tyłu, odkrył obecność Élise.

– Miau... – odezwał się słabym głosem.

Élise mówiła dalej machinalnie:

– Jak się masz Kici? Hę? Jak się masz?

Przemawiała słodkim tonem, żeby go nie wystraszyć.

Kot oparł się na łapach, skrzywił się, niepewnie wyprężył ciało i zdołał się odwrócić, żeby na nią spojrzeć.

– Miau! – zamiauczał, tym razem głośniej.

Zastukał w siatkę różowymi poduszkami, tak jak wcześniej w drzwi balkonowe.

– Ależ... on się nie ruszał od wielu dni! – wykrzyknął weterynarz.

Popchnął rygiel i otworzył klatkę.

Élise ostrożnie wzięła chorego, uważając, żeby nie uciskać jego boków albo zabandażowanych kończyn. Powierzył się, zwiotczały, jej rękoma. Powolutku przytuliła go do brzucha i pogłaskała. Wyczuwała pod palcami kołatanie małego czystego serduszka, oszalałego z radości, a także rodzące się łagodne mruczenie, które wymagało tylko trochę pewności siebie, żeby się nasilić.

– Nie do wiary – wyszeptał weterynarz. – Nigdy nie widziałem kota, który by tak kochał swoją panią.

– Słucham?

– Zazwyczaj nie docenia się uczuć zwierząt. Proszę spojrzeć na swojego kota. Żeby wyzdrowieć, potrzebował powodu, by żyć: pani. To jego miłość, to pani miłość go wskrzesiła.

Wstrząśnięta Élise, zjednana przez żarliwą czułość, którą ścisła w dłoniach, osunęła się na ziemię, zanurzyła nos w miękkiej, jedwabistej, cieplej sierści i po raz pierwszy od pięciu lat się rozplakała.

*

Zamykała walizkę, gdy zadzwonił do niej adwokat Sama Louisa.

Był to jej ostatni poranek w Ensisheim. O dziewiątej pracownica agencji spisała protokół zdawczo-odbiorczy, zwróciła jej kaucję i poradziła Élise, żeby wychodząc, wrzuciła klucze do skrzynki na listy. W południe na ulicy Steinberga, przed numerem pięć zatrzymał się samochód, taksówka, której kierowca właśnie pakował jej bagaże.

Adwokat przedstawił się przez telefon, przywołując ich spotkanie podczas procesu Sama Louisa, kiedy to... Natychmiast mu przerwała, zapewniając, że go pamięta.

– Czego pan chce, mecenasie?

– Proszę posłuchać, moja sprawa jest trochę niecodzienna. Mój dawny klient, Sam Louis, skontaktował się ze mną, prosząc, żebym panią znalazł.

– I to się panu udało. Co jeszcze?

– Hm... On twierdzi, że odwiedzała go pani regularnie od dwóch lat.

– Zgadza się.

– Stało się coś zdumiewającego, pani Maurier: Sam Louis zdał sobie sprawę, jakich potworności się dopuścił! Uświadomił sobie, że bezwzględnie pozbawił życia piętnaście kobiet. Żałuje tego. Mocno. W najwyższym stopniu. Bolesnie. Chociaż wcześniej opisywał swoje zbrodnie z obiektywizmem kamery wideo, teraz jest załamany na wspomnienie przemocy, którą stosował, i ciosów, które zadawał, gdy przypomina sobie przerażone spojrzenia kobiet, ich krzyki, ich opór. Zdaje się, że go prześladują. Zorientował się również, że zrujnował życie piętnastu rodzinom. Od miesiąca pisze do wszystkich bliskich ofiar, żeby okazać im współczucie i wyrazić skruchę. To swego rodzaju cud, pani Maurier. A ten cud, jego zdaniem, zawdzięcza pani.

– Ach tak?

– Stał się człowiekiem, proszę pani. On! Ponieważ obarczono mnie jego obroną, nie powinienem go obciążać, ale ta metamorfoza wprawia mnie w osłupienie.

– Czy w rozmowie z panem sprecyzował... w jakim momencie... stał się... człowiekiem?

– W dniu, w którym mu pani przebaczyła.

Élise przyjrzała się wróblowi o czarnym jak węgiel upierzeniu, który przysiadł na trawniku. Okiem otoczonym żółtą obwódką niczym monoklem obserwował otoczenie.

Adwokat kontynuował pośpiesznie:

– On płacze, szlocha, dławi się, cierpi. Od półtora miesiąca jest innym

człowiekiem. A raczej jest człowiekiem. Nie rozmawiał z panią od ośmiu tygodni. Niech pani przystanie na jego prośbę, błagam panią. Będzie pani bardzo zaskoczona.

– Nie sędzę.

– Jak to?

– Nie sędzę, żebym była zaskoczona. Moim celem było, przez prowadzenie z nim dialogu, doprowadzenie go właśnie do tego: włączenie go do rodzaju ludzkiego.

– Jest pani świętą.

– Nie było łatwo.

– Założyłbym się, że to się nie uda. Czy to prawda, proszę mi wybaczyć niedyskrecję, ale... Czy to prawda, droga pani, że pani mu... przebaczyła?

– Tak.

– To godne podziwu!

– Cieszę się. To najgorsze, co mogłam mu zrobić.

– Jak to?

– Proszę mu przekazać ode mnie dwie rzeczy, panie mecenasie. Po pierwsze, niech mu pan powie, że już nigdy nie przyjdę go odwiedzić.

– Ale...

– A potem niech mu pan powie, skoro już dołączył do rodzaju ludzkiego...

Zastanowiła się, odchrząknęła i spokojnie wypowiedziała następującą formułkę:

– Witaj w piekle!

Nie dodając już ani słowa, rozłączyła się.

W trawie podskakiwał kos, pochylał głowę, żeby obserwować ziemię,

wydziobywał nasiona, posuwał się do przodu zrywami, jakby nie był zbudowany z kości, lecz ze sprężyn. Przed kilkoma tygodniami zawładnął trawnikiem, kierując się silnym zmysłem terytorialnym, tak jak przed nim kot.

Kierowca taksówki wskazał walizkę stojącą na progu:

- Ostatnia?
- Tak, dziękuję, z wędlinami dla moich sióstr.
- Czekam na panią w samochodzie.

Élise rzuciła okiem dokoła – na kwitnący ogród, na brunatną samicę kosa, która przeprowadzała toaletę pod śliwami wawrzynolistnymi, na sikorki bogatki, które odważyły się przylecieć aż na taras, a potem porwała z podłogi wiklinowy koszyk i wymachując kluczami, oznajmiła:

- Żegnaj, Ensisheim! Zamieszkamy w Paryżu. Może być?

W głębi koszyka kot wyraził zgodę.

Narysuj mi samolot

– Proszę, narysuj mi samolot.

Werner von Breslau się odwrócił. Dziewczynka o ogromnych oczach, w aureoli jasnych włosów, delikatnych niczym puch, podawała mu notes i ołówki. Ufając autorytetowi mężczyzny, wpatrywała się w jego dłonie, pewna ich posłuszeństwa.

– Jak się dostałaś do mojego ogrodu?

Uniosła głowę i popatrzyła na niego, zdziwiona, że musi wyjaśniać tak oczywistą rzecz:

– Wdrapałam się na mur.

– To niebezpieczne.

– Kot robi to codziennie.

– To zabronione.

– A kot o tym wie?

Przypatrywała mu się ze spokojem, jakby ich znajomość sięgała niepamiętnych czasów. On natomiast przyglądał jej się po raz pierwszy. Odgadując, jakie pytania kłębią się w jego głowie, dodała z życzliwym uśmiechem:

– Na imię mi Daphné, mam osiem lat i mieszkam w sąsiedniej willi.

– Aha...

– Nie wiedziałaś o tym?

– Nie. Od kiedy?

Odparła poważnym tonem:

– Od zawsze...

To „zawsze” zrobiło wrażenie nawet na niej.

Wenera von Breslau ubawiła owa wieczność wpisana w osiem krótkich lat życia. Urodził się tutaj dziewięćdziesiąt dwa lata wcześniej, więc jego wieczność sięgała niemal stulecia.

Dziewczynka zmarszczyła brwi.

– Jak na lotnika nie jesteś zbyt dobrym obserwatorem.

– Skąd wiesz, że byłem lotnikiem?

– A już nie jesteś?

– Odszedłem na emeryturę.

Zamrugła, jakby nie była pewna, co znaczy słowo „emerytura”. Wyjaśnianie małemu dziecku, w czym rzecz, wydało się Wernerowi nieznośne, więc uciał stanowczo:

– Wracaj do siebie.

– Proszę, narysuj mi samolot.

– Nie mam czasu, praca na mnie czeka.

– Kłamczuch! Przecież jesteś na emeryturze.

Popatrzył na nią z mieszanymi uczuciami. Irytowała go jej bezceremonialność, a jednocześnie podobała mu się riposta dziewczynki, ta spokojna impertynencja wynikająca raczej ze sprytu niż z napastliwości. Westchnął:

– Nie umiem rysować.

Wzruszyła ramionami

– Wszyscy umieją rysować.

– Nie.

- A właśnie że tak!
- Powiedzmy, że ja brzydko rysuję.
- A ja bardzo ładnie.

Oznajmiła to z dumą, bez cienia wątpliwości co do tej zasadniczej kwestii, i domagała się, by uznał jej wyższość. Skinął głową, ona zaś dodała:

- Tylko że nie rysuję samolotów.
- Dlaczego chcesz rysować samoloty?
- Bo jesteś lotnikiem.

Pomyślał, że nie zrozumiała pytania, więc spróbował inaczej:

- Lubisz samoloty?
- A ty?

Zniecierpliwiał się. Daphné położyła małą rączkę na jego dłoni.

– Jesteś smutny, kiedy patrzysz w niebo. Od dawna widzę ze swojego okna, że śledzisz samoloty w oddali, jakby ci było przykro, że nimi nie lecisz. Kiedyś zauważyłam nawet, że płaczesz.

Przeszedł go dreszcz. Chociaż jak dla niego ta smarkula zjawiała się znikąd, obserwowała go, analizowała, dostrzegła chwile zwątpienia, które ukrywał przed całym światem. Zakłopotany, przez moment miał ochotę wyznać jej, że w tych maszynach przecinających błękit umyka jego młodość, zielone, szalone lata, które nigdy nie wrócą.

- Proszę, narysuj mi samolot.

Przyjrzał się jej ślicznej drobnej rączce, różowej, pulchnej, jakby pozbawionej kości, spoczywającej na jego szorstkiej, opalonej dłoni, pokrytej plamami i kościstej: ileż nadziei w tych okrągłych paluszkach! Ileż witalności! Daphné pulsowała w harmonii z promienną wiosną, która prostowała trawy, przyozdabiała drzewa, rozchylała kwiaty na klombach, rozchmurzała oblicze obłoków.

Wziął od niej notes, postanawiając spełnić jej prośbę. Początkowo zamierzał naszkicować messerschmitta Bf 110 albo focke-wulfa Fw 190, lecz przypomniawszy sobie, że od wojny minęło sześćdziesiąt lat, zdecydował się na airbusa A320, samolot pasażerski średniego zasięgu, który teraz najczęściej przecinał bawarskie niebo.

Niestety, grafit nie chciał go słuchać, palce mu drżały, nadgarstek drętwiał, toteż zdołał jedynie nabazgrać na kartce niewyraźny, koślawy szkic.

Daphné przyjrzała się sceptycznie rysunkowi.

– Jakiś chory ten twój samolot. Nie ma się ochoty nim polecieć.

Mimo trafności tej uwagi poczuł się urażony:

– Zgoda, narysuję ci inny!

Odwrócił kartkę i na następnej przycisnął ołówek na środku. Pokazał Daphné plamkę na pustym tle.

– Masz swój samolot!

– To jest kleks, nie samolot.

– To samolot lecący bardzo wysoko, widziany z dołu.

Dziewczynka potarła podbródek.

– Jeśli pokażę to mamie, zawoła, że się nie wysiliłam, że sobie z niej żartuję.

„I będzie miała rację”, doszedł do wniosku Werner i skupił się na czystej stronie. Jednym ruchem narysował długą kreskę. Tym razem ręka mu nie zadrżała.

Daphné się uśmiechnęła i zaklaskała.

– Och, to mi się podoba!

– Poznałaś, co to jest? – zdziwił się.

– No pewnie! Samolot przelatujący po niebie. Widzisz, że potrafisz, jak się postarasz...

Akceptując tę reprimendę, teraz on się uśmiechnął.

Dziewczynka złapała notes i na następnej stronie narysowała kreskę.

– No proszę: już umiem rysować samolot. Dziękuję.

Czując ulgę, ścisnęła swoje rzeczy pod lewym ramieniem i podśpiewując, podbiegła do muru granicznego, chwyciła prawą ręką gałąź czereśni, wspięła się na nią, złapała drugą... Przestraszony Werner rzucił się w jej stronę pomimo zeszywniałych stawów i zaproponował, że ją przytrzyma.

– Pozwól, że ci pomogę!

Zachichotała, gdy chwycił jej aksamitne uda i podsadził ją w kierunku dachówek wieńczących mur.

– Nie masz prawa pomagać mi się wspinać: to zabronione!

– Kto powiedział, że to zabronione?

– Ty.

Pokręcił przecząco głową i dodał:

– Werner, stary lotnik, który czasem plecie trzy po trzy?

Przez źrenice Daphné przemknął błysk szalonej wesołości. Werner skłonił się nieznacznie.

– Przychodź, kiedy zechcesz, księżniczko.

– Zgoda. Dzięki temu zrobisz postępy...

– Ja? Postępy?

– W rysowaniu. Nie myśl mimo wszystko, że jesteś mistrzem! Zachęcam cię po to, żebyś się poprawił, nie po to, żebyś zatrzymał się w miejscu.

Parsknęła śmiechem i ulotniła się, zeskakując po drugiej stronie.

Stojąc pod gałęziami, Werner von Breslau jeszcze długo słuchał jej perlistego, czystego śmiechu, który oddalał się, w miarę jak podchodziła do swojej willi, aż w końcu zlał się ze świergotem sikorek, gruchaniem

synogarlic, wokalizami kosów, niczym drobinki piany wchłaniane przez morze.

*

– Będziesz musiał mi to wytłumaczyć, tato, bo nie rozumiem!

Jochen von Breslau pomachał listem. Z poczerwieniałą ze złości twarzą, przestraczem w oczach, drżącym podbródkiem i ściśniętymi nozdrzami potępił swojego ojca.

– Dlaczego? Dlaczego!

Werner von Breslau spuścił głowę. Zawsze należałoby się spodziewać najgorszego: nigdy nie dozna się zawodu. Od kilkudziesięciu lat bał się, że ta historia wyjdzie na jaw i rzeczywiście tak się stało. Bomba apokalipsy eksplodowała.

Jochen rzucił dokument na stół, przeczytał go raz jeszcze i uderzył grzbietem dłoni w kartkę.

– Należysz do grupy neonazistów!

– Nie...

– Jesteś członkiem komórki neonazistowskiej! Tak tu napisano czarno na białym.

– Tak, ale...

– I to od 1952 roku. Tuż po moim urodzeniu!

Jochen przemierzał salon, grzmocąc pięściami w ściany, meble, drzwi. Ogarnęła go wściekłość. W ciągu stu lat rodzinna posiadłość nigdy nie doświadczyła takiej przemocy. Bibeloty spadały z półek, podłoga drgała, przepierzenia inkasowały ciosy. Werner nie protestował, zdając sobie sprawę, że syn wali w co popadnie, by powstrzymać się przed uderzeniem własnego ojca.

– Niczego się nie nauczyłeś, tato? Nie zrozumiałeś, co się dzieje w kraju od 1945 roku? Wstyd. Straszny wstyd. Wstyd z powodu popełnionych

okrucieństw. Czyżbyś nie miał sumienia?

Rzucił się w stronę ojca, a starzec odruchowo zamknął oczy i uniósł przedramiona, osłaniając twarz. Wobec tego tchórzliwego gestu usta Jochena pobielila piana pogardy. Skrzywił się.

– Okłamywałeś mnie przez całe życie.

– Jochen...

– Zawsze mi mówiłeś, że nie popierałeś Hitlera, nie aprobowałeś jego rasistowskich majaczeń, jego faszystowskiej ideologii. Zawsze mi mówiłeś, że masz wstręt do antysemityzmu, że odrzucasz nienawiść do komunizmu, że nie uważasz się za przedstawiciela wyższej rasy. Zawsze mi mówiłeś, że walczyłeś z obowiązku, nie z przekonania, ponieważ należałeś do narodu prowadzącego wojnę.

– To prawda.

– Zapewniałeś mnie, że biłeś się jako Niemiec, nie jako nazista!

– Właśnie.

– A teraz dowiaduję się, że jesteś związany z ugrupowaniem neonazistowskim! Dzisiaj! Po sześćdziesięciu latach nadal zadajesz się z takimi łajdakami?

– Jochen, nie rozumiesz...

– Nie, nie rozumiem! I nie akceptuję! Grunt mi się usuwa spod nóg. Dorastałem, wyobrażając sobie, że mój ojciec uosabia uczciwość. Co prawda przez pięć lat toczył pojedynki, ale służył ojczyźnie, nie Hitlerowi. Wierzyłem, że mój ojciec jest szlachetny, prawy, nie pobbłaza niegodziwości. W gruncie rzeczy uważałem cię za ofiarę! Ofiarę poczucia obowiązku, które w sobie nosiłeś. Ofiarę patriotyzmu. Ofiarę krwawego dyktatora, który zniewolił swój naród. Otóż teraz dowiaduję się, że pod maską ofiary kryje się kat!

Zamiast się bronić, Werner potrząsnął głową, świadomy, że jego syn

rozumuje właściwie. Tylko że...

– Oszukałeś mnie, tato. I to w najpodlejszy sposób.

Jego twarz drżała z odrazy. Wymierzył palec w ojca.

– Gdybyś był nazistą, wybaczyłbym ci. Popełniłbyś błąd, nie przewinienie. Zresztą, czemu nie? Każdy człowiek błądzi. Powtarzam młodym ludziom, którzy oceniają przeszłość, że potępienie z perspektywy czasu okazuje się uproszczeniem. Ja sam nie wiem, jak bym się zachował w twoim wieku w twoich czasach. Tak, tato, wybaczyłbym ci, gdybyś był wtedy zwolennikiem nazizmu. Ale ty jesteś nim dzisiaj! Dzisiaj!

– Jochen, uspokój się.

– Nie! Dzisiaj to jest niewybaczalne.

– Jochen...

Drżąc i pocąc się, Werner wyrzucał sobie, że myśli tak powoli i pozwala, by syn dostał napadu wściekłości. Od której strony zabrać się do tej sprawy? W jaki sposób mu to opowiedzieć? Czy Jochen zrozumie?

– Poza tym, jeśli to się rozniesie, zszargasz nie tylko własną reputację, lecz także reputację swojej rodziny! Okrywasz nas hańbą! Mnie, moją żonę, moich synów, swoje wnuki, swoje prawnuczki! Von Breslau, oto nazwisko ostatniego rodu nazistów!

Starzec się wyprostował. Dość tego! Trzeba interweniować, coś...

Nagle zrobiło mu się ciemno przed oczami. W niespełna sekundę Werner von Breslau stracił przytomność i uderzył głową o ziemię.

*

W ogrodzie są miesiące niewdzięczne i miesiące wspaniałomyślne. Kwiecień rozpoczyna ów okres hojności, kiedy praca wykonywana przez cały rok przynosi owoce, kwiaty i liście. Ziemia wynagradza tego, kto dochowywał jej wierności jesienią i zimą.

Werner von Breslau cieszył się widokiem swojego roślinnego

towarzystwa. Tu i tam rozkwitały licznie zwykłe, skromne prymulki. Wyniosłe, dumne tulipany, żółte, koralowe, cyklamenowe, fioletoworóżowe, śliwkowe, liliowe, obnosiły się ze swymi odświętnymi kapturami, eskortowane przez fioletowe anemony o złotym sercu. Na krzewie kamelii pojawił się samotny, arystokratyczny kwiat, tym cenniejszy, że panował niepodzielnie jak diament, dla którego woskowane liście tworzyły szkatułkę. Gałązki rododendronów, z opóźnieniem, lecz zapalczywie, pyszniły się obiecującymi pączkami, podczas gdy glicynia odradzała się, wystając z muru niczym upiór wyłaniający się ze swego grobowca, i liczyła na to, że oderwie się bardziej od kamieni niż w poprzednim roku.

Odpędził owada, który niepokoił czepki żonkili.

– Nie krzywdzisz nawet muchy! – wykrzyknęła Daphné leżąca w trawie obok niego.

Mając w pamięci ostatnie starcie z synem, Werner powstrzymał się od zrządzenia. Skulony, z przygarbionymi ramionami, usiadł na stołku, żeby powyrywać rosnące w kępkach mlecze, bo odkąd stracił przytomność, obawiał się zmian pozycji. Czas najwyższy, żeby w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat zacząć się oszczędzać!

Daphné uniosła głowę i zerknęła w jego stronę.

– Przyleciałeś z nieba w samolocie czy już wcześniej mieszkałeś na ziemi?

– Samoloty produkuje się na ziemi, Daphné.

– Wszystkie?

– Wszystkie samoloty są tworzone na tej ziemi po to, żeby ją opuszczały.

– A ja myślałam, że jest na odwrót. Że przylatują z góry, a potem wracają.

– Nie wznoszą się aż do gwiazd, Daphné. Nie myl samolotów z raketami. Ja na przykład latałem swoim samolotem na wysokości dziesięciu tysięcy metrów.

Daphné próbowała sobie wyobrazić „dziesięć tysięcy metrów”, ale nie potrafiła. Werner jej w tym pomógł:

– Dziesięć tysięcy metrów oznacza, że pola zmieniają się w chusteczki do nosa, rzeczki zmniejszają się do rozmiarów nitki, a duże rzeki do rozmiarów niebieskiej wstążki, wioski się kurczą i już nie dostrzega się ludzi.

Oburzyła się:

– Ludzie znikają?

– Tak.

– Nawet jeśli stanę na środku drogi i będę ci dawała wyraźnie znaki?

Przytaknął.

Wargi Daphné wygięły się w dół pod wpływem konsternacji.

– Och, nie wiem, czyby mi się to spodobało... No ale zaleta jest taka, że tam, w górze oglądasz gwiazdy albo księżyc.

– Wcale nie. Ciała niebieskie znajdują się za daleko.

– Jestem zawiedziona! Gdy podróżowałeś, widziałeś gorzej ziemię i wcale nie lepiej gwiazdy albo księżyc?

– Właśnie.

– Więc po co to robiłeś?

– Żeby latać!

Rozpromieniona, uśmiechnęła się z zapałem.

– I tu cię rozumiem. Ja często latam w snach!

Zerwała się na nogi, rozpostarła ręce i przemieniona w samolot, eksplorowała ogród, wydając ustami lekki odgłos silnika.

Widząc ją, rozmyślał o swoim pracowitym dzieciństwie, o tych godzinach spędzonych w klasie na uczeniu się, powtarzaniu, recytowaniu pod okiem surowych nauczycieli, o tych posępnych, szarych, przygnębiających,

męczących, niekończących się dniach, kiedy nagle widziany za oknem ptak szybujący w powietrzu dawał mu energię, żeby wytrwać. Zawsze wydawało mu się, że zapracuje na wolność, zasłuży na nią, i że pewnego radosnego poranka, dzięki pilności, zdobędzie ją: polecą jak ptak... Niestety, po studiach wojskowych, chociaż pilotował samoloty, chociaż czerpał z tego przyjemność, nigdy nie zakosztował niezależności. Był wolny? Należało włożyć na siebie trzy warstwy ubrań, obciążyć się kaskiem, który uciskał czaszkę, w miarę jak się wznosili, a wysokość rozdymała głowę, przytroczyć ciężki spadochron do pleców, włożyć sztywne rękawice, przypiąć się do maszyny, połączyć się z nią rurą, żeby oddychać tlenem. Wolny? Jego pole widzenia ograniczało się do tablicy przyrządów pokładowych. Wolny? Wspinał się do samolotu jedynie po to, żeby wypełnić misję. Wolny? Obierał kurs, który mu wyznaczono na ziemi. Wolny? Samolot nie słuchał pilota, to pilot słuchał samolotu, wypełniając tysiąc obowiązków, będąc niewolnikiem tarcz, manetek, przycisków, dźwigni, pedałów, przewodów, kabli. Wolny? Ledwie zaczął pilotować, gdy wybuchła wojna: z żołądkiem skurczonym ze strachu patrolował, żeby zabijać, uważając, żeby nie zostać zabitym. Wolny? Kiedy?

Daphné stanęła przed nim i zapytała:

– Umiesz czytać?

Nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

– Oczywiście, że umiem.

– Oczywiście?

– Ludzie w moim wieku umieją czytać.

– Ile masz lat?

Zaprzagnął się pochwalić.

– Sto!

Podskoczyła triumfalnie.

– Wygrałam! Powiedziałam „sto lat” mamie, która uważała, że jesteś młodszy.

Po chwili uspokoiła się.

– Zauważ, że to normalne, że się myliła: nie widziała cię z tak bliska jak ja.

Wskazała siatkę zmarszczek, które pokrywały poważną twarz Wenera. Pożałował przechwałki i wrócił do tematu:

– Chcesz, żebym ci coś przeczytał?

Daphné przystąpiła do wykonywania zdumiewających akrobacji, które wymagały od niej kręcenia piruetów, wzdychania, naciągania się, schylania i prostowania. Czerwona na twarzy w wyniku wstrzymania oddechu, osiągnęła w końcu swój cel i wręczyła Wenerowi książkę, którą przetransportowała na plecach, unieruchomioną między ubraniami podczas wspinania się na mur.

– Jest!

Wener wziął od niej książkę.

– Znasz ją? – zapytała Daphné.

Mały Książę. Antoine de Saint-Exupéry.

Wener pokręcił przecząco głową i szepnął:

– Chodź, siądziemy sobie w cieniu.

Zaciągnął stołek pod lipę, poprawił okulary i otworzył tom.

Daphné, pełna zapału, położyła się obok niego, zamieniając się w słuch.

Wener zaczął czytać:

– „Żyłem więc samotnie, gdyż nie miałem nikogo, z kim mógłbym naprawdę porozmawiać, aż pewnego dnia, sześć lat temu, zepsuł mi się samolot nad Saharą”^{*}.

Odtąd Daphné codziennie odwiedzała Wenera. Gdy była ładna pogoda, zajmowali się pracami w ogrodzie, a gdy brzydka, Werner czytał jej *Małego Księcia*.

Zdziwił się, że ta książka go pasjonowała. Po pierwsze, narrator wykonywał zawód pilota jak on, w tych samych czasach. Po drugie, opowieść go wzruszała, skłaniała do refleksji. Tak więc, gdy przeczytał ostatnie słowa, a Daphné ze łzami w oczach zaproponowała, żeby zaczął jeszcze raz od początku, zgodził się.

Zaliczyli opowieść trzy razy i Werner brał pod uwagę czwarty...

Konkretny, pragmatyczny Werner nigdy nie poświęcał czasu na czytanie powieści. „Po co interesować się fałszem?” – dumał, widząc ludzi pogrążonych w tym steku wymysłów. Przyzwyczajony do tego, by zaprzętać sobie umysł, znajdując zajęcie dla rąk, dużo majsterkował i dużo pracował w ogrodzie w wolnym czasie, na co pozwalała mu posada w Ministerstwie Transportu. Potem, gdy odszedł na emeryturę, zwolnił służącego. W związku z tym nadal miał wypełnione dni, zróżnicowane i męczące. Kiedy czuł się wyczerpany i nie miał siły zabrać się do następnego zadania, udawał się do salonu, opadał na kanapę i słuchał muzyki. Bach, Scarlatti, Mozart, Schubert, Mendelssohn, Chopin, Schumann, Brahms, Ravel, Szostakowicz – oto jego najlepsi przyjaciele, towarzysze podczas sjesty, kompani w nocy, ci, którzy chronili go przed nudą.

Daphné odtrącała każdą książkę oprócz *Małego Księcia*. „Czemu nie? – rozmyślał Werner. – Czyż nie delectowałem się XXV symfonią g-mol Mozarta przynajmniej ze sto razy? Utwór jest wspaniały, gdy dostarcza przyjemności przy każdym wysłuchaniu. Przecież arcydzieła się nie zużywają”.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że *Mały Książę* należał do tej kategorii. Werner, tak jak Daphné, pękał ze śmiechu, gdy *Mały Książę* natykał się na różnych nierozsądnych osobników, na Bankiera, który gromadzi złoto, lecz z niego nie korzysta, Geografa, który inwentaryzuje świat, lecz go nie

zwiedza, Pyszalka, który nieustannie się kłania, Króla, który rządzi bez poddanych, Pijaka, który pije, żeby zapomnieć, że pije. Tak jak ona bał się węża, którego jad sączy śmierć, rozczulał się, gdy lis i dziecko się oswajali. Nie zgadzał się natomiast z Daphné, jeśli chodzi o różę. Dziewczynka potępiała tę próżną kokietkę, która nie potrafi przyjąć miłości Małego Księcia ani mu jej dać. „Nie cierpię jej!”, wykrzykiwała za każdym razem. Z kolei Werner, milczący, z pobłażliwym uśmiechem malującym się na twarzy, uważał, że autor dobrze oddał wieczne niezrozumienie między kobietami i mężczyznami, które zwie się miłością. Ale o tym Daphné przekona się później, w swoim czasie. Tak jak on...

Ktoś zadzwonił do drzwi.

Daphné ześliznęła się z kanapy, na której się rozparła, słuchając opowieści, i pognąła do wyjścia. Werner usłyszał, jak otwiera drzwi i rozmawia z męskim głosem. Potem znów się pojawiła.

– Jakiś stary pan do ciebie.

– Powiedział ci, jak się nazywa?

– Nie, ale chciał wiedzieć, jak ja mam na imię.

W tym momencie Jochen przekroczył próg salonu.

– Prosiłeś, żebym do ciebie zajrzał – burknął – więc jestem.

Werner się wzdrygnął.

– Usiądź, zaraz wracam.

Wstał, wziął Daphné za rękę, przeprosił, że przerywa czytanie, wyszedł do ogrodu, pomógł dziewczynce przesadzić mur graniczny na wysokości kwitnącej czereśni i obiecał jej, że zagwiżdże trzy razy po wyjściu swojego gościa.

– Ten pan nie wygląda przyjaźnie. Kto to jest?

– Mój syn.

– To wcale nie jest zabawne, jak mi się odpowiada byle co –

wymamrotała Daphné, znikając za murem.

Werner wrócił do Jochena, który czekał na niego, nastroszony i sztywny, na tarasie górującym nad ogrodem.

– Nagle polubiłeś dzieci!

– Słucham? – mruknął Werner.

– Dawniej nigdy nie zauważyłem, żebyś lubił dzieci. Nigdy nie poświęcałeś mi czasu, swoim wnukom też nie.

Werner zdał sobie sprawę, że Jochen mówi prawdę. Daphné go zauroczyła. Chociaż nie wiedział, czy „lubi dzieci”, z całą pewnością lubił akurat to dziecko. Domyślając się, że sprawiłby Jochenowi przykrość, gdyby wyjawiał mu taką myśl, pogрузzył się w milczeniu, zanim wrócił do salonu.

Jochen kpił sobie, mierząc starca wzrokiem:

– Doprawdy, zbijasz mnie z tropu. Zarówno w dobrych sprawach, jak i w złych.

– Nie...

– Darowałbym to sobie, wierz mi!

Werner poczuł, że jego syn pozwala się ponieść nowej fali bólu, i usiłował się wytłumaczyć:

– Jochen, jestem ci winny wyjaśnienie. Nie widzieliśmy się od czasu mojej choroby, bo wysłałeś żonę, żeby się mną opiekowała i sprawdzała, co u mnie słychać. Dziękuję ci za to. W ten sposób przekonałem się również, iż potępiasz mnie do tego stopnia, że uciekasz przede mną.

– Unikam cię. Wyobrażałem sobie, że mam takiego ojca, a odnajduję innego.

– Jochen, ja nie należę do tej partii neonazistowskiej.

– List, który dostałem, potwierdza twoją przynależność. Od 1952 roku płacisz składki. Właśnie dlatego odkryłem twój brudny sekret: ponieważ nie

uiściłeś ostatniej, sekretarz generalny skontaktował się ze mną, żeby zapytać, czy umarłeś. Wyobraź sobie, jaki szok przeżyłem!

– Ja ich potępiam. Nie podzielam ani ich nostalgii, ani ich oczekiwań. Nienawidzę nazizmu, a tym bardziej neonazizmu.

– Zaprzeczasz ich twierdzeniom? Zaprzeczasz, że należysz do partii? Że płaciłeś składki?

– Nie.

– Więc co?

– To z powodu samolotu.

Jochen osłupiał.

– Samolotu?

– Mojego samolotu.

Zamilkli. Jochen zmienił się na twarzy. Chociaż nadal nic nie rozumiał, właśnie dostrzegł promyk nadziei i uczepił się tej perspektywy. Odradzała się w nim wiara, że może odzyska ojca, którego uwielbiał. Wstrząśnięty, Werner uświadomił sobie, jak bardzo liczył się dla syna.

– Podczas wojny najpierw latałem messerschmittem Bf 110, a potem pilotowałem focke-wulfa Fw 190, jednomiejscowy, jednosilnikowy myśliwiec bombardujący, istny cud techniki. Oficjalnie zatonął w Bałtyku, a ja w ostatniej chwili wyskoczyłem ze spadochronem i wylądowałem na plaży. W rzeczywistości samolot nie zniknął, bo ja...

– Tak, tato?

– Ja go ukryłem.

Jak miał usprawiedliwić swój postępek? Jak opisać uczucia, którymi darzył połączenie stali, aluminium i kabli? Focke-wulf Fw 190 przez trzy lata był jego rumakiem. O ile rozumiemy przywiązanie jeźdźca do wierzchowca, o tyle z trudem potrafimy pojąć przywiązanie pilota do swojej maszyny, która nie ma wrażliwości ani duszy czy choćby załączka rozumu. A jednak ta blacha

okazała się waleczna, odnosiła rany za niego, chroniła go przed kulami. Zrywna, porywcza, wierna, nosiła jego blizny. Była jego towarzyszką w samotności, jego dobrem użytkowym, dostrzegalną postacią jego brawury, jego powodzeniem, jego talizmanem.

– Gdy wojna dobiegła końca, a admirał Dönitz, następca Hitlera, podpisał w Reims kapitulację Niemiec, walczyłem na froncie wschodnim, z Sowietami. Wtedy, na początku maja 1945 roku, dostrzegłem dwie rzeczy: mój kraj przegrał, a ja przeżyłem. Tamtego ranka, 9 maja, przyglądałem się mojemu samolotowi: zwycięzcy miażdżyli wszystko, niszczyli ślady swego cierpienia podczas wojny, zwłaszcza Rosjanie. Wobec tego obmyśliłem pewien plan i w ciągu kilku godzin wprowadziłem go w życie. Dopuściłem się oszustwa.

– Ty?

– Ukryłem samolot w lesie, w pobliżu Rostoku, obok pola, na którym udało mi się wylądować. Zaparkowałem go w oborze, zapłaciłem gospodarzowi i udałem się na klif, odludne miejsce, z dala od świadków. Wyjąłem tam spadochron, rozciągnąłem go na trawie, jakbym się nim posłużył, przypaliłem i porozdzierałem ubranie, skręciłem sobie kostkę, położyłem się na ziemi i przespałem tę noc pod gwiazdami. Nazajutrz rano zauważył mnie jakiś chłop. Opowiedziałem mu o swoim rzekomym wypadku: samolot trafiony przez Rosjan rozbił się na falach, a ja wyskoczyłem i wylądowałem na brzegu. W tamtych czasach nie szukano wraków w głębinach, były pilniejsze rzeczy do roboty.

– Ten myśliwiec bombardujący nie był twoją własnością.

– To był mój samolot... Dla Niemiec, dla aliantów, jeden samolot mniej czy więcej nie miał żadnego znaczenia! Dla mnie tak.

Jochen skinął głową, poruszony szczerością ojca.

– Co to ma wspólnego z neonazistami, tato?

Werner westchnął.

– Mijały lata. Co miesiąc wysyłałem pieniądze gospodarzowi, swojemu wspólnikowi, płaciłem mu w pewnym sensie za garażowanie... Niestety, któregoś dnia poinformował mnie, że sprzedaje gospodarstwo i muszę znaleźć nową kryjówkę. Zostało mi niewiele czasu na działanie. I tak pojawili się w tej historii neonaziści.

Napił się wody gazowanej, bo od wspomnień zaschło mu w gardle.

– Dowiedziałem się, że nawiedzeni rewanżyści podtrzymują kult Trzeciej Rzeszy. Dążyli do uratowania od zapomnienia doktryny hitlerowskiej i przedmiotów świadczących o jej potędze. Niektórzy kolekcjonowali broń. Skontaktowałem się z jednym z nich, Martinem Müllerem, esesmanem z Buchenwaldu, i powiedziałem mu o samolocie.

Znów napił się wody.

– Natychmiast zgodził się mi pomóc i obiecał zorganizować transport, w nocy, z zachowaniem dyskrecji. Dostawałem zapewnienia, że mój samolot przetrwa, pielęgnowany, ubóstwiany, regularnie doglądany przez mechanika, który był członkiem tej grupki. W rzeczywistości nie złożyłem im przysięgi wierności, ich zdaniem jednak najwyraźniej myślałem tak jak oni. Z powodu samolotu i przez tchórzostwo pozwoliłem im zatem zakładać to, co chcieli. Żeby partycypować w kosztach, zapisałem się do partii i zapłaciłem składkę. W swoim mniemaniu po prostu regulowałem opłatę za miejsce parkingowe.

Werner popatrzył na Jochena. Zdradzając swój sekret, czuł się nędzniejszy niż kiedykolwiek. Syn naprawdę miał rację, odtrącając go! Tak się skompromitować, pomagać tym szaleńcom, usprawiedliwiać ich i faworyzować, a wszystko to z powodu kupy złomu!

Jochen rzucił się ojcu w ramiona.

– Dziękuję! Odzyskałem cię, tato: jesteś rzeczywiście tym, za kogo cię uważałem.

Werner dygotał, zawstydzony.

– To, co zrobiłem, jest idiotyczne.

– Idiotyczne, ale nie ma nic wspólnego z nazizmem.

*

Przez całe popołudnie Daphné i Werner rozmawiali o lisie. Nie o prawdziwym lisie z ostrymi zębami, cuchnącym szkodniku, który mógłby spustoszyć ogród, pożerając ptaki, lecz o lisie zamieszkującym cudowną książkę de Saint-Exupéry.

Daphné uważała, że lis niesłusznie oswoił dziecko.

– Będzie płakał, gdy Mały Książę odejdzie. Poczuje się samotny. Gdyby lisowi nie zależało, żeby zostać przyjacielem Małego Księcia, nie martwiłby się.

Werner odparł:

– Być nieszczęśliwym to forma kochania.

– Żartujesz?

– Straciłem Evę, moją żonę, trzydzieści lat temu i nadal czuję smutek. Smucę się, wiedząc, że ona już nie korzysta z życia. Smucę się, stwierdzając, jak bardzo mi jej brakuje.

– Nie wyleczyłeś się z tego?

– Oczywiście, że nie.

– Jak to?

– Moje cierpienie mi się podoba.

– Jak to?

– Pielęgnuję swój smutek, zależy mi na nim. Gdyby osłabł, byłbym nieszczęśliwy.

– Przecież i tak jesteś nieszczęśliwy!

– Ale nie w ten sam sposób. Istnieje nieszczęście gorące i nieszczęście zimne. Gorące jest wtedy, gdy kochasz. Zimne, gdy nie kochasz. W gorącym ktoś jest. W zimnym nie ma nikogo. Cierpienie z powodu nieobecności Ewy

przywraca mi jej obecność. Gdybym już przez to nie cierpiał, sprawiłbym, że odeszłyby po raz drugi, zniknęłyby na zawsze.

– Mimo wszystko... Byłoby lepiej, gdyby ona była tu na zawsze.

– Oczywiście. Ale nikt nie jest „tu na zawsze”.

– Właśnie że tak! Ty i ja.

Pogłaskał dziecko po policzku, bardziej pokrytym meszkiem niż brzoskwinia.

– Mam dziewięćdziesiąt dwa lata, Daphné: nie będę „tu na zawsze”.

– Ach tak?

– Oczywiście! Nie powinnaś była mnie oswajać...

Daphné spoważniała i utkwiała wzrok w ziemi.

– Kiedy odejdziesz, będę patrzyła na ogród i myślała o tobie. Będę patrzyła na niebo i myślała o tobie. Ciebie już tu nie będzie, ale będziesz wszędzie, niewidzialny.

Werner przytulił Daphné i tak trwali, siedząc na trawie, pod słodką lipą, oddając się czystej radości istnienia. Jakże by się cieszył, gdyby mógł jeszcze długo towarzyszyć tej małej istocie! Przewrotność starości polegała jedynie na tym, na tej niemożności, na zerwaniu, na pęknięciu, które niebawem nastąpi.

Odegnął melancholijne myśli i oznajmił jej:

– Dziś wieczorem wezmę udział w odczycie na temat towarzysza Małego Księcia.

– Lotnika?

– Antoine’a de Saint-Exupéry. Nic o nim nie wiem. W Domu Literatury, w centrum, pewien pisarz z Berlina opowie o jego życiu. Zauważyłem ogłoszenie w gazecie.

– Zabierzesz mnie?

- To się zaczyna o dwudziestej pierwszej.
- Kiedy śpię? Jaka szkoda...
- Skupię się dziś wieczorem, żebym mógł ci wszystko jutro opowiedzieć.

Daphné przystała na to, wyraźnie pod wrażeniem tej wiadomości.

Werner również był pod wrażeniem swoich poczynąń: nigdy nie postawił stopy w miejscu związanym z kulturą. Dom Literatury należał do innego świata niż jego świat. Gdyby nie odkrył tej książki, *Małego Księcia*, nigdy by nie przeszedł przez tamte drzwi.

Owego wieczoru, siedząc w pierwszym rzędzie przepelnionej sali, słuchał, jak prelegent opowiada o życiu sławnego pisarza. Oczarowany, ze zdziwieniem odkrył kilka podobieństw między nim a sobą: Antoine de Saint-Exupéry pochodził ze szlacheckiego rodu i w dzieciństwie stracił ojca. Później Werner poczuł dumę, że osiągnął coś, co Antoine'owi de Saint-Exupéry się nie udało: ukończył szkołę wojskową. Następnie po bratersku dzielił z nim zamiłowanie do lotnictwa i zachwycił się początkami kariery zawodowej tego człowieka, który pracował w Towarzystwie Lotniczym, przewożąc pocztę. Starając się zilustrować swoje wywody, prelegent cytował fragmenty *Nocnego lotu* oraz *Poczty na południe*, jego pierwszych powieści, a Werner, reagując w duchu na to, co opisywał żądny przygód pisarz, za każdym razem obiecywał sobie, że je kupi.

W końcu prelegent doszedł do czasów wojny. Wtedy Werner ponownie ocenił różnice między Saint-Exupéry a sobą. Francuz wylatał tylko kilka godzin w małej francuskiej eskadrze w 1940 roku, bo podpisano rozejm sankcjonujący porażkę. Wyjechał do Nowego Jorku, gdzie przez parę lat zabiegał o włączenie się Amerykanów do konfliktu. Ponownie zaczął latać dopiero wiosną 1944 roku, z członkami ruchu oporu, na Sardynii, a potem na Korsyce.

Werner uśmiechnął się na wspomnienie tych chwil. Znał scenę tamtejszych działań zbrojnych, bo krążył po niej w tym okresie. Gdy mówca sprecyzował, że Saint-Exupéry pilotował lockheeda P-38 lightninga,

przypomniawszy sobie, że natykał się na te wspaniałe amerykańskie myśliwce, które Niemcy nazywali „diabłami o rozwidlonym ogonie”.

Prelegent zakończył wzmianką o „tajemnicy jego śmierci”. Saint-Exupéry zniknął w morzu wraz ze swym samolotem Lockheed P-38 Lightning podczas misji rozpoznania fotograficznego między Bastią a Chambéry 31 lipca 1944 roku. Długo nie było wiadomo, gdzie ani jak to się stało, ale w 2000 roku nurkowie znaleźli u wybrzeży Marsylii należącą do niego bransoletkę i fragmenty kabiny jego samolotu.

Werner zbladł.

– U wybrzeży Marsylii? – wykrzyknął.

Prelegent pochylił się nad swoimi notatkami i odpowiedział:

– Nieopodal wyspy Riou, naprzeciw zatoczek otoczonych skałami.

Werner dygotał na całym ciele, ale zdobył się na jeszcze jedno pytanie:

– Przez jaki samolot został trafiony?

– Świadczenie pewnego człowieka mieszkającego w sąsiedztwie, uzyskane w 1950 roku, mówi o maszynie Focke-Wulf Fw 190.

Werner bardzo dobrze to pamiętał: niedaleko Marsylii stracił Lightninga P-38 w dniu urodzin Evy, 31 lipca 1944 roku. Zanim stracił przytomność, zdążył jeszcze jęknąć:

– Nie...

*

Spędził tydzień w łóżku. Jego syn Jochen przynosił mu posiłki przyrządzone przez swoją żonę, a Daphné zjawiała się ukradkiem codziennie po południu, żeby dotrzymać mu towarzystwa. Ze względu na powtarzające się dolegliwości nie mógł odmówić zatrudnienia gosposi, którą poleciła mu rodzina. Tak więc musiał teraz znosić u siebie obecność niejkiej Marii Magdaleny, hałaśliwej Szwabki, która służyła mu również za pielęgniarkę, tłukając raz po raz różne przedmioty i roztaczając wokół siebie zapach

kwaśnego mleka.

Doszedł do wniosku, że się starzeje.

Powinien komuś o tym powiedzieć? Ale komu?

Powinien zredagować wyznanie dla prasy?

Czy mógłby się przyznać synowi, że unicestwił jednego z wielkich pisarzy XX wieku?

Czy mógłby wyznać Daphné, że zlikwidował jej ulubionego autora? Ich ulubionego autora?

Bez przerwy wracał myślami do tamtego dnia, do swojej misji, do przelotu nad wybrzeżem, kiedy to dostrzegł w dole amerykański myśliwiec. Strzelił natychmiast, z idealną precyzją, a wtedy lightning P-38 pikował prosto do wody. Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund. Czysta robota. Po chwili Werner już nawet o tym nie myślał...

W tamtym okresie mnóstwo samolotów patrolowało terytorium Francji. Innymi słowy, był kroplą w oceanie. Dlaczego natknął się akurat naten?

Na jego prośbę Jochen kupił mu książkę autora, który wygłosił prelekcję na temat Antoine'a de Saint-Exupéry. W zakończeniu berlińczyk do znudzenia snuł domysły dotyczące śmierci lotnika. Szczegóły, które podał podczas swego wystąpienia, nie zaspokoily jego ciekawości, bo uparcie wysuwał rozmaite teorie... Wspominał o tak powszechnej w tamtych czasach awarii technicznej maszyny – sam Antoine de Saint-Exupéry miał ich kilka. Sugerował też złe samopoczucie pilota. Gorzej, posunął się nawet do poparcia hipotezy o samobójstwie: Saint-Exupéry, niedomagający, bez sił, niezdolny do zamknięcia samemu osłony kabiny swojego samolotu, zaniepokojony najbliższą przyszłością Europy przyprawiającą go o zawrót głowy, pesymista pogrążony w rozpacz, miałby się zdecydować, tak jak Stefan Zweig, na opuszczenie tego świata. Przecież w przeddzień śmierci napisał do jednego z przyjaciół: „Jeśli zostanę zestrzelony, nie będę żałował niczego, absolutnie niczego. Przyszły kopiec termitów mnie przeraża. I nienawidzę ich natury

robotów. Urodziłem się, żeby być ogrodnikiem”.

Werner czytał te zdania wciąż od nowa i stale je roztrząsał.

Daleko im było do listu samobójczego, dostrzegał w nich natomiast okoliczności łagodzące dla siebie: Saint-Exupéry był gotów umrzeć, zginął, nie czując rozczarowania. On, Werner, nie przerwał zatem żadnego wielkiego projektu ani nie zniweczył radości życia.

Im dłużej jednak Werner von Breslau rozmyślał nad tymi zdaniami, tym większe dostrzegał pokrewieństwo z wrogiem, którego unicestwił. Zaakceptować śmierć, sam praktykował tę mądrość podczas wojny. Co do obawy przed jutrem, czuł ją do tego stopnia, że ze strachu ukrył swój samolot po klęsce. A ta ostatnia refleksja, „urodziłem się, żeby być ogrodnikiem”, czyż nie wyrażała przywileju Wenera, który po przejściu na emeryturę poświęcił się roślinom?

Jest wyjście: napisać do prelegenta list, który położy kres tej zagadce!

Niestety, ów autor sprawiał wrażenie niedojrzałego. Berlińczyk okazywał wstręt do faktów, ujawniając pociąg do tajemnicy, nie do prawdy. Dla niego ważne było stworzenie „legandy Antoine’a de Saint-Exupéry”, która, jak wszystkie legandy, w większym stopniu karmiła się tym, co nieznanne, niż tym, co znane. Nawet gdyby Werner napisał do prelegenta, wyznając mu prawdę, ten przypuszczalnie upierałby się przy minimalizowaniu jego słów, woląc podtrzymywać mit.

– Chodź.

Daphné chwyciła Wenera za rękę i, jakby dysponowała siłą zapaśnika, próbowała nakłonić go do wstania z łóżka. On jednak nadal zachowywał się biernie. Dziewczynka nalegała:

– Chodź, bo zaczynasz zapominać.

– O czym zapominać?

– O tym, co piękne.

Na twarzy Wenera pojawił się grymas zaciekawienia. Daphné wyjaśniła mu to, zawiedziona, że musi ubierać w słowa coś tak oczywistego:

– Zapominasz o świetle, kwiatach, śpiewie ptaków. Przestałeś się ruszać. Zamykasz się w tym, co twarde.

– Twarde?

– W domu, w kamieniach, w ścianach. Martwisz mnie.

Zebrał siły i wyprostował się. Chcąc go pokrzepić, dodała:

– Ogród cię potrzebuje.

Gdy zeszli z tarasu, ogród olśnił Wenera. Czerwiec witał róże tysiącami, stare o bujnych płatkach, nowe o żywych pączkach, dzikie o strzelistych pędach. Był wzruszony, widząc, że przyroda tak ciężko pracowała w czasie jego rekonwalescencji, jakby dowodziła mu, że ona nie zaniedbuje swoich obowiązków.

– Widzisz, trzeba poprzycinać tu i tam.

Werner ujął sekator, który mu podała, i przystąpił do pielęgnowania krzewów.

– Patrzę na ciebie – oznajmiła Daphné, siadając na pniaku. – Uwielbiam, jak robisz toaletę ogrodowi.

W tym momencie Wenerowi zrobiło się słabo. Znowu niedomaganie? Hałas się nasilił i staruszek uświadomił sobie, że przeszkodził mu odgłos szybującego nad nimi samolotu, dwusilnikowej maszyny, która leciała nisko, kojarząc mu się z wojną, z Saint-Exupéry... Poczul, że intensywny niepokój przeszywa mu klatkę piersiową.

– Proszę, narysuj mi samolot.

– Co?

Daphné zdawała się zdziwiona prośbą Wenera. On jednak nalegał:

– Pójdź po swój notes, po swoje kredki i, proszę, narysuj mi samolot.

Słyszając jego stanowczy ton, doszła do wniosku, że to dla niego ważne. Ulotniła się i wróciła z przyborami.

Podczas gdy on zajmował się różami, ona długo obgryzała ołówek, szukając inspiracji, a potem zaczęła gryzmolić jakąś figurę geometryczną.

– Gotowe!

Wręczyła mu rysunek przedstawiający skrzynkę.

– Co to jest?

– Hangar.

– A gdzie samolot?

– W środku.

Gdy zmarszczył brwi, zaznaczyła:

– Hangar jest niezbędny. Chroni samolot. Jeśli dobrze policzysz, samolot spędza więcej czasu w swoim hangarze niż na niebie. A niebo się gniewa, zsyłając burze, chmury, pioruny, inne samoloty. W gruncie rzeczy dla samolotu najważniejsze jest znalezienie dobrego hangaru, gdzie może odpocząć. Mógłby nawet w nim zostać po odejściu na emeryturę.

Werner von Breslau, zakłopotany podobieństwem swojego życia do tego, o czym opowiadała mu dziewczynka, szykował się do wyjawienia jej prawdy: pewnego dnia zabił ojca *Małego Księcia*. Czuł jednak, jak bardzo by ją to zasmuciło, i zdołał się powstrzymać.

– Cóż to za głupia mina... – wykrzyknęła. – Co jest nie tak?

– W tej chwili nie jestem z siebie dumny.

– Z siebie?

– Kiedyś zrobiłem coś złego.

– I co?

– Nie potrafię sobie tego wybaczyć.

Daphné wzruszyła ramionami.

– Ale jesteś głupi!

Werner drgnął.

– Słucham?

– Powiedziałeś mi, że nie potrafisz sobie wybaczyć, bo kiedyś zrobiłeś coś złego, więc odpowiadam: jesteś głupi!

– Dlaczego?

– Bo coś to nie ktoś.

*

Jochen von Breslau przeglądał lokalną gazetę, siedząc naprzeciwko ojca na tarasie ocienionym winoroślą.

Werner obserwował syna, zastanawiając się z zakłopotaniem, jak stworzył tego starca. Co się stało? Kto zrobił mu ten paskudny kawał? Jeszcze niedawno w towarzystwie Evy trzymał w ramionach gładkie, grubiutkie niemowlę i oto teraz musiał znosić towarzystwo kluchowatego waźniaka, w okularach w rogowej oprawie, ubranego bez gustu i wdzięku, o czerwonej skórze nadętej z powodu wina i zbyt obfitych posiłków, krótko mówiąc, człowieka równie brzydkiego, co banalnego, z którym nigdy by się nie zadawał, gdyby nie nosił jego nazwiska.

Od czasu do czasu Maria Magdalena, Szwabka, proponowała im coś do picia albo częstowała ich suchymi ciastkami. „Suche ciastka?” – zastanawiał się Werner. „Czemu suche ciastka? Tylko tym się żywi? No właśnie, wymawia »suche ciastka« suchymi ustami i to odbiera człowiekowi ochotę, żeby odżywiać się tak jak ona!” Werner pogodził się z jej obecnością jak ze zrzędzeniem losu, tak samo jak pogodził się z bólem stawów czy z tym, że chodzi wolniej od jeża.

Jego serce było już tylko marną grzechotką w klatce piersiowej. Werner bez przerwy tracił przytomność. Niedomagania wyznaczały rytm tygodnia.

Domyślał się, że jego dni są policzone, być może wystarczą do tego palce jednej ręki.

– No proszę, interesuje cię Saint-Exupéry, więc przeczytaj to!

Jochen podał mu gazetę.

Werner zerknął na tytuł wydrukowany dużymi literami: „Pokonał autora *Małego Księcia*”.

Zbladł.

– Coś nie w porządku, tato?

Jochen podbiegł do trupio bladego ojca, który mrugał, oddychając z trudem. Utkwił wzrok w starcu i mówił do niego bardzo głośno:

– Tato! Tato! Nie odchodź! Tato!

Werner przełknął ślinę i zmusił się do spokojnego oddychania.

– To przejdzie... już dobrze.

Rzucił okiem na gazetę: zdjęcie przedstawiało jakiegoś osobnika, który wcale nie był do niego podobny.

– Co to za historia? – mruknął do Jochena, wskazując na dziennik.

– Nieważne! Nic takiego! Nie podejrzewałem, że to cię tak poruszy. Chodzi o pilota z czasów wojny, który przypomniał sobie, że stracił samolot Antoine’a de Saint-Exupéry.

Odzyskawszy siły, Werner wziął do ręki gazetę. Mario Schulz, weteran, zdradzał swój sekret: ostrzelał sławnego pisarza lotnika.

Werner omal się nie udusił... Mario Schulz! Największy kretyn, z jakim się zetknął podczas wojny! Tchórz, który nadawał się tylko do tego, żeby wrzeszczeć wieczorami i się upijać! Mario Schulz, który piętrzył wymówki niepozwalające mu wypełnić misji. Mario Schulz, którego podejrzewano, że nie stawia czoła wrogowi, lecz przed nim ucieka. Mario Schulz, którego w końcu zatrzymano na ziemi. Mario Schulz, który nie zestrzelił samolotu

Antoine'a de Saint-Exupéry, ponieważ w tym czasie wysłano go na przepustkę do rodziny – dobrze to pamiętał, bo właśnie Mario przywiózł prezent urodzinowy dla Evy wybrany wcześniej przez Wenera. Mario Schulz, ten konfabulator i blagier, wierny swej mierności, jeszcze większy oszust po osiemdziesiątce niż w wieku dwudziestu lat, wygłaszał fałszywe wyznania, żeby przyciągnąć uwagę i zapisać się na kartach historii.

– Puste słowa! Nic, tylko puste słowa!

– Co mówisz, tato?

– Gazety opowiadają bzdury.

Uspokojony Jochen przytaknął pobłaźliwie:

– Obawiam się, że masz rację.

Przyszła Szwabka i oboje pomogli Wenerowi położyć się w salonie na sjęstę.

Gdy już został sam w pokoju z boazerią z ciemnego orzecha, wrócił myślami do pilota, Mario Schulza, który szukał sławy, podczas gdy on, Wener, poszukiwał prawdy.

W gruncie rzeczy już jej nie szukał. Cierpiał z jej powodu. Nie wiedział, jak oswoić prawdę. Krępowała go.

Do tej pory nigdy nie żałował własnego zachowania podczas wojny. Nie zabijał ludzi, zabijał wrogów. Przeciwnik niczym się nie wyróżniał. Ten, którego atakował, stanowił ekscytującą abstrakcję. Czy to Rosjanin, Anglik czy Amerykanin, nie miał rysów twarzy, ciała ani biografii. Wener wiedział o nim tylko tyle, że ów pilot także ma prawo go wyeliminować. Panowała zatem idealna symetria. Wręcz równość. Równość w obliczu śmierci. Wojna sprowadzała się do reguł, w których nie było miejsca na przypadki indywidualne. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, że zestrzeliwuje jakiegoś konkretnego żołnierza, mającego konkretną żonę i dzieci, bo on sam również nie był konkretnym żołnierzem dla swoich przeciwników. We własnym mniemaniu nigdy nie dopuścił się najmniejszego okrucieństwa. Zabijał

w ogóle, nie w szczególe...

Tymczasem przed kilkoma tygodniami wróg przybrał pewną postać, postać Antoine'a de Saint-Exupéry. To było nie do zniesienia! Przeciwnik nigdy nie powinien mieć twarzy. Werner odkrywał, że unicestwił wybitnego człowieka, człowieka wyjątkowego, człowieka, którego kochał, tak, kochał go, bo napisał tę znakomitą opowieść, którą uwielbiał, gdyż przedstawiała życie pełne trosk i uniesień podobnych do jego własnych. Sześćdziesiąt lat później znajdował w Saint-Exupéry brata, brata wyjątkowego, brata godnego podziwu. I tego właśnie brata kiedyś ukatrupił. Co za hańba! On, osobnik pozbawiony geniuszu, zabił geniusza... Jak to sobie wybaczyć...

Przemknęło mu przez myśl zdanie wypowiedziane przez Daphné: „Coś to nie ktoś”.

Wyprostował się. Złote słowa. Nie należało mylić postępku z osobą. Nie należało sprowadzać Wenera do tej jednej chwili, tej, w której zestrzelił samolot Antoine'a de Saint-Exupéry. Werner to tysiące uczynków, dobrych, wspaniałych, przeciętnych, nieudolnych. Werner to tysiące uczuć, patriotyzm, niemiecka duma, zimna wściekłość w chwili ataku, ale też miłość do bliskich, do rodziców, do Evy, do krewnych, do przyjaciół, do kolegów. Miłość do przyrody, do drzew, do milionów kwiatów, o które się troszczył od ich rozkwitu do obumarcia. Miłość do zwierząt, którym dawał schronienie, które karmił i pielęgnował. To radość ze słuchania Mozarta, przyjemność z trzymania Evy w ramionach. Daphné miała rację: nie wybacza się czegoś, wybacza się komuś. Postępek nadal jest zły, lecz osoba nie staje się zła. Nie można jej sprowadzić do jednego szkodliwego czynu. Wybaczenie oznacza przyjrzenie się całemu człowiekowi, okazanie mu szacunku i zaufania, na które zasługuje.

Werner zepchnął pled zarzucony na nogi i postawił stopy na podłodze. Wstydził się pewnych uczynków, to prawda, ale nie wstydził się siebie. Jeśli zabił Antoine'a de Saint-Exupéry, wcale tego nie chciał. Zresztą komuś, kto by mu to zaproponował, odmówiłby z oburzeniem.

Serce biło mu tak mocno, że bał się kolejnego omdlenia. Słyszał krew pulsującą w skroniach. „Nie teraz. Proszę”. Jego oczy wpatrywały się w ogród za szybą, w którym Daphné bawiła się w naśladowanie samolotu pod skapanymi w słońcu gałęziami.

Uśmiechnął się. Krążenie się uspokoiło, a jego klatka piersiowa przestała dyszeć w sposób niezależny od niego. Odzyskał panowanie nad swoimi płucami.

Jego życie nie zostanie ograniczone do tego jednego czynu, zestrzelenia lightniga P-38 Antoine’a de Saint-Exupéry, mógł dokonać wielu innych rzeczy. Jeszcze dzisiaj potrafił wybrać dobro.

Komu był posłuszny podczas tego nieszczęsnego dziesięciolecia? Hitlerowi. Klice barbarzyńców, którzy podbili Niemcy, najpierw działając legalnie, poprzez wybory, potem nielegalnie, za pomocą terroru. Później Niemcy, osaczeni przez wojnę, skazani na wspieranie swego narodu, choć popadł w obłąd, byli zmuszeni posunąć się do ostateczności w walkach nie do usprawiedliwienia. W gruncie rzeczy nierzadko służył złu. Natura ludzka niezbyt często wznosi się na wyżyny samej siebie. Stawia najlepszych w położeniu bez wyjścia. Może powinien był się sprzeciwić, okazać nieposłuszeństwo, albo...

Właśnie wtedy olśniła go pewna myśl!

– Naturalnie...

*

Daphné gawędziła z żabami pływającymi w misie z brązu, gdy podszedł do niej Werner, wręczając jej jakiś pakunek.

– To prezent dla ciebie, Daphné.

Wzięła do ręki przedmiot i przyjrzała mu się uważnie.

– Książka!

– Zgadza się.

– Jaka?

– Piękne opowieści Antoine’a de Saint-Exupéry.

Otworzyła szeroko oczy, już zaciekawiona.

– Inne niż *Mały Książę*?

– Oczywiście.

Zdjęła opakowanie i odkryła opasły tom w okładce z karmelowej skóry, liczący co najmniej pięćset stron.

– Ojej! – wykrzyknęła łakomie.

Otworzyła go i drgnęła. Spodziewając się jakiejś pomyłki, oglądała kartki, z przodu i na odwrocie, coraz szybciej z każdą sekundą, a potem, z przygnębioną miną, uniosła głowę i popatrzyła na Wenera.

– Ale... tu nic nie ma.

– Przeciwnie.

– Właśnie że tak! Kartki są czyste.

– Ach, jednak przyznajesz, że coś jest.

– Nie rozumiem.

Werner podszedł do niej, nachylił się na tyle nisko, na ile pozwalała mu sztywność karku, klęknął mimo bólu, który kąsał mu stawy, i pogłaskał ją po rękę.

– Przypomnij sobie, Daphné. Opowiadałem ci, że Antoine de Saint-Exupéry zmarł w wieku czterdziestu czterech lat, wkrótce po napisaniu *Małego Księcia*, ponieważ jego samolot spadł do morza i zatonął. Miał czterdzieści cztery lata, był w kwiecie wieku! Stworzyłby wiele arcydzieł. Otóż w tej książce przeczytasz opowieści, które Saint-Exupéry mógłby napisać, gdyby przeżył. Wszystkie je tu zebrano. Niektóre cię zachwycą.

Dziewczynce rozbłyły oczy. Zrozumiała, co chciał jej powiedzieć Werner. Ponownie sięgnęła po książkę i metodycznie, z szacunkiem zaczęła

przewracać dziewicze kartki, poświęcając im pełną uwagę. Miało się wrażenie, że coś na nich odczytuje.

– Ładne, prawda? – zapytał Werner.

– Ładne.

Daphné przyjrzała się Wernerowi z powagą.

– Myślisz, że pewnego dnia je zobaczę... naprawdę?

– Z twoją wyobraźnią, bez najmniejszej wątpliwości. A wyobraźni masz pod dostatkiem. Przypomnij sobie: „To, co najważniejsze, jest niewidoczne dla oczu. Dobrze widzi się tylko sercem”^{**}.

Przytaknęła prostodusznie. Później przyjrzała mu się, patrząc na jego zapadniętą twarz, podkrążone oczy, dolną wargę wstrząsaną nerwowym tikiem.

– Wyglądasz trochę dziwnie...

– To dlatego, że w tej chwili nie bardzo się lubię.

– Jeśli ty się nie lubisz, ja będę cię lubiła za nas dwoje.

Daphné wypowiedziała te słowa spontanicznie, z mocą i szczerością. Werner wpadł w zachwyt, patrząc na dziewczynkę, jej perłowe usta, spienioną grzywę jej platynowych włosów.

– Daphné!

Za murem rozległ się kobiecy głos:

– Daphné!

– Muszę wracać – szepnęła Daphné, jakby przyłapano ją na jakimś przewinieniu. – Mama na mnie czeka.

– Idź.

Werner ucałował ją i obrócił się na pięcie. Pomaszerował w stronę tarasu swojego domu na tyle szybko, na ile pozwalały mu stawy biodrowe, nie oglądając się za siebie, żeby nie dostrzegła jego łez. Daphné nie mogła się

dowiedzieć, że już nigdy nie będzie z nim rozmawiała.

*

Tamtego ranka świat miał przejrzystość akwareli. Morze, ziemia i niebo skąpane były w olśniewającym świetle zacierającym wszelkie rozgraniczenia. Zniknęły kontury, zniknęły granice, pozostało jedynie ledwie widoczne cieniowanie. Wciąż pojawiały się zatarte horyzonty, a Werner von Breslau w swym kokpicie unosił się w mglistej przestrzeni.

Jak w czasach swojej młodości, focke-wulf Fw 190 zwinnie i szybko przecinał przestworza. Co więcej, maszyna wyrywała się naprzód, rozhukana i pełna euforii, że ponownie zdobywa podniebne szlaki, chmurne pastwiska, spojrzenie bladego słońca. Werner śmiał się, uradowany ograniczeniami narzuconymi mu przez samolot, zachwycony, że ponownie wykonuje czynności, których mu brakowało, podekscytowany wibrowaniem unisono z kadłubem. Chociaż w uprząży, ubrany w sztywną skórę, po raz pierwszy czuł się wolny. Tamtego dnia postanowił wzbić się w powietrze po ustaleniu celu, po opuszczeniu ziemi o wybranej porze, bez niczyjej pomocy ani rady. Zresztą zrobił to wszystko nielegalnie: w nocy otworzył wytrychem drzwi hangaru, zwędził paliwo, wyprowadził samolot na pas, zczekał na nadejście świtu i wystartował, nie uprzedzając żadnej wieży kontrolnej.

Werner von Breslau, człowiek obowiązkowy, nie słuchał już nikogo oprócz siebie. Sam wyznaczył sobie misję. Gdy wartownik odkryje, że włamał się do hangaru i buchnął samolot, będzie już za późno, by go powstrzymać. Zresztą kogo miałby zaalarmować ów pracownik? Swoich szefów z nielegalnej organizacji nazistowskiej... Policję naziemną czy policję powietrzną? Werner miał zatem przed sobą dobrą godzinę.

Przeleciał nad mrocznymi lasami iglastymi, bujnymi, gęstymi i zwartymi, a potem nad polami, które z racji bruzd wyoranych przez traktory wyglądały niczym tkane płótno. Lecąc wzdłuż leniwie płynącej rzeki, nie mógł się pomylić: wystarczyło, że liczył miasta, by się orientować.

Szczękał zębami. Mimo wielu warstw ubrania, które na siebie włożył,

było mu zimniej niż w młodości, ale za to zauważył pewną poprawę: na dużej wysokości hełm mniej ugniatał mu skronie – może z wiekiem jego czaszka się skurczyła?

Pędził w kierunku celu z prędkością pięciuset kilometrów na godzinę.

Dwa poprzednie dni nie przypominały żadnego innego okresu z jego życia. W sobotę rano spotkał się w Wims z wnukiem Martina Müllera, Heinrichem Müllerem, który kierował wówczas organizacją neonazistów. Ów mężczyzna, rzeźnik z zawodu, zaprowadził go do Arsenału, ich dumy, dzieła kilku dziesięcioleci. Na odległym krańcu zalesionej posiadłości, obok tartaku, na przedłużeniu magazynów, stał częściowo zasłonięty ogromnymi dębami budynek kryjący skarby.

Zainstalowano w nim opancerzone drzwi, zamki elektroniczne i liczne alarmy, żeby zniechęcić intruzów.

Heinrich Müller wyjaśnił Wernerowi, zakłopotanemu z powodu tylu środków ostrożności:

– Po wojnie trzeba było się ukrywać przed władzami, żeby zachować pamięć o Trzeciej Rzeszy. Obecnie trzeba się zabezpieczać przed złodziejami. Rynek się organizuje. Kolekcjonerzy zlecają włamania. Kompletny mundur żołnierza SS odsprzedaje się za dziesięć tysięcy euro, podczas gdy cena munduru brytyjskiego żołnierza piechoty nie sięga nawet tysiąca euro. Czas przywraca prawdziwe wartości. Pamiątki po zwycięzcach się dewalują, tak jak ich idee... Proszę na przykład zwrócić uwagę, że obraz namalowany przez Hitlera kosztuje sto razy więcej niż namalowany przez Churchilla! Koniec końców jest sprawiedliwość...

Po odblokowaniu systemów alarmowych Heinrich oprowadził Wenera po Arsenał, który stanowił ogromne i imponujące muzeum Trzeciej Rzeszy. Relikty i pozostałości po niej tworzyły aleje, wzdłuż których uszeregowano monety, insygnia, sztandary, mundury, stalowe kanistry – ówczesny wynalazek niemiecki – motocykle, przyczepy, samochody marki Volkswagen, czołgi. Tu znicz olimpijski z 1936 roku, tam komputer zuse 4,

równie ogromny jak organy. Kilka gablot zawierało naczynia należące do Hitlera, srebrne sztuce Himmlera, kufle Goebbelsa.

Werner von Breslau wskazał palcem na obite stalową blachą drzwi po prawej stronie.

– A tu?

– Przedmioty pochodzące z obozów koncentracyjnych. Handel nimi jest zakazany. Z czasem to one nabiorą największej wartości. Czy chce pan...

– Nie, dziękuję. A tam?

– Cud nad cudami. Proszę pozwolić, że panu pokażę.

Przeszli przez podwójne drzwi i znaleźli się w gigantycznym podziemnym pomieszczeniu. Werner nie wierzył własnym oczom: spoczywała tam rakieta dalekiego zasięgu, słynna V2, która przekonała Amerykanów, że naziści dysponują bombą atomową. Dokoła, w rogach, stały spiętrzone skrzynie z granatami, bronią, amunicją.

– Niebezpieczne miejsce – mruknął Werner.

– Życie jest niebezpieczne – podsumował Heinrich Müller.

Odjechali razem, Werner von Breslau zamyślony, Heinrich Müller rozgadany. Narzekał, że zainteresowanie skarbami Arsenалу zmieniło charakter. Z sentymentalnego i politycznego stało się finansowe. Te przedmioty były warte fortunę. Niektórzy rzucali się na nie z powodów wyłącznie komercyjnych. Bez niezbędnych przekonań.

– Na aukcjach widywałem synów bojowników francuskiego ruchu oporu kupujących przedmioty, które nas interesowały. Pewnego razu był nawet jakiś Żyd. Odrażające! Powinno się tego zakazać. Należałoby mieć certyfikat narodowego socjalizmu, żeby nabywać nazistowskie trofea. W przeciwnym razie wszystko się rozproszy, wszystko zginie. Co za gówniane czasy!

Werner przytaknął, nie rozwijając tej myśli.

W niedzielę rano sekretarz partii neonazistowskiej Günter Schneck zabrał

Wenera samochodem dwieście kilometrów dalej, do hangaru, w którym przechowywano jego samolot. Budynek należał do amatorskiego lotniska, już nieużywanego, chyba że w czasie dorocznego festiwalu szybowcowego. Teraz z pasów startowych sterczały kępki trawy.

Werner ze wzruszeniem odkrył, obok dwóch zabytkowych messerschmittów, swojego focke-wulfa Fw 190, nieskazitelnego, lśniącego, czystego jak nigdy, gorliwie konserwowanego przez mechanika pasjonata, który po przejściu na emeryturę poświęcił się obiektom kolekcjonerskim.

– Zdaje się, że latają – dodał Günter Schneck. – Dwa lata temu mechanik sprawdził je dyskretnie wraz z pewnym weteranem z Wehrmachtu.

Werner ucieszył się, że los tak bardzo mu dopomógł. Dzięki temu mógł skonkretyzować swój plan.

Tego ranka pilotował zatem swoją maszynę, której intensywny dźwięk, nieznośny i uwielbiany, dawał mu poczucie niepewnego bezpieczeństwa, przywoływał smak krwi zwiastujący zagrożenie.

Leciał...

Nagle dostrzegł punkt orientacyjny, na który czekał: dwa dopływy wpadające do rzeki oraz strumień przepływający przez las. Gdy minie czwarte zakole, tuż przed kopcem, dotrze do tartaku i...

– Jest!

Pod konarami dębów, częściowo widoczny, tajny arsenał ukazywał dach z blachy laminowanej.

Werner minął go, zawrócił, okrążył, a następnie obrał stosowny kurs. Cieszył się. Lecąc pod tym kątem, miał pewność, że osiągnie swój cel.

Rozpoczął procedurę. Obiekt namierzony, przyrządy zablokowane, samolot już nie zboczy z kursu, roztrzaska się o arsenał. Nawet gdyby Werner nagle stracił przytomność, arsenał zostanie rozpruty, stanie w płomieniach, eksploduje.

Werner, uspokojony, utwierdzony w swoich zamiarach, odprężył się i uśmiechnął do zenitu. Choć miał pewne wątpliwości co do znaczenia własnego życia, wiedział, że jego śmierć będzie użyteczna.

Czteryście metrów prosto w dół...

Trzysta metrów...

Dwieście...

Sto...

Muskając popielatą blachę, dostrzegł przelotnie, na skraju lasu, szmaragdowy staw okolony liliowymi kwiatami i zdążył jeszcze pomyśleć przed ostatecznym zderzeniem: „Urodziłem się, żeby być ogrodnikiem”.

* A. de Saint-Exupéry, *Mały Książę*, tłum. A. Trznadel-Szczepanek, Warszawa 1997.

** A. de Saint-Exupéry, *Mały Książę*, dz. cyt.

Inne książki Erica-Emmanuela Schmitta
w Znak:

Pan Ibrahim i kwiaty Koranu

Dziecko Noego

Małe zbrodnie małżeńskie

Opowieści o Niewidzialnym

Moje Ewangelie

Oskar i pani Róża

Kiedy byłem dziełem sztuki

Przypadek Adolfa H.

Małe zbrodnie małżeńskie z ilustracjami

Moje życie z Mozartem

Tektonika uczuć

Odette i inne historie miłosne

Marzycielka z Ostendy

Ulisses z Bagdadu

Zapasy z życiem

Historie miłosne

Trucicielka

Kiki van Beethoven

Księga o Niewidzialnym

Kobieta w lustrze

Kobieta w lustrze (z audiobookiem)

Intrygantki

Małżeństwo we troje

Ewangelia według Pilata

Tajemnica pani Ming

Papugi z placu d'Arezzo

Napój miłosny

Sekta egoistów

Talent do życia. Najpiękniejsze aforyzmy

Zazdrośnice

Noc ognia

Człowiek, który widział więcej

Spis treści:

Okładka _

Karta tytułowa

Siostry Barbarin

Mademoiselle Butterfly

Zemsta i przebaczenie

Narysuj mi samolot

Inne książki Erica-Emmanuela Schmitta w Znak

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału

La vengeance du pardon

Copyright © Editions Albin Michel – Paris 2017

Copyright © for the translation by Łukasz Müller

Projekt okładki

Katarzyna Borkowska

kb-design@o2.pl

Fotografia na okładce

Copyright © negatina / Moment / Getty Images

Copyright © coka / Shutterstock

Opieka redakcyjna

Monika Janota

ISBN 978-83-240-5644-6

znak *litera
nova*

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek